

NIGEL BARLEY
NIEWINNY ANTROPOLOG

Notatki z glinianej chatki
Przełożyła Ewa T. Szyler
Nigel Barley (fot. (c) John Foley)
Prószyński i S-ka

Copyright (c) Nigel Barley, 1983
All rights reserved
Tytuł oryginalu
The Innocent Anthropologist
Copyright (c) for the Polish translation
by Ewa T. Szyfer 1997
Okładkę i strony tytułowe według projektu
Pawła Pasternaka opracował Zbigniew Karaszewski
Fotografia na okładce
Nigel Barley
Mapka
Brunon Nowicki
Konsultacja etnologiczna
dr Ryszard Vorbrich
Redaktor serii
Monika Machlejd-Ziemkiewicz
Redaktortekniczny
Elżbieta Urbańska
Wydanie pierwsze
Warszawa 1997
ISBN 83-7180-035-5
Wydawca:
Prószyński i S-ka
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
Skład komputerowy
Dorota Krall
Druk i oprawa:
Łódzkie Zakłady Graficzne
90-019 Łódź, ul. Dowborczyków 18

Na podstawie mapy Donalda Roouma
copyright D British Museum Publications Ltd, 1983
Dlaczego by nie?

Dla Jeepa

"Dlaczego by właściwie nie pojechać w teren?" Takie oto pytanie rzucił jeden z moich kolegów na koniec mocno zakrapianej dyskusji o stanie antropologii, nauczania uniwersyteckiego oraz życia akademickiego w ogólności. Podsumowanie nie wypadło najlepiej. Niczym pani Hubbard z angielskiej piosenki dla dzieci, szukaliśmy jedzenia w pustym kredensie.

Moja historia niewiele różni się od innych. Wykształcenie zdobyłem w instytucjach szkolnictwa wyższego, a nauczycielem zostałem bardziej przez przypadek niż wskutek zamierzonego działania. Życie uniwersyteckie w Anglii opiera się na kilku niemożliwych do przyjęcia założeniach. Zakłada się mianowicie, że kto jest dobrym studentem, ten będzie dobrym naukowcem. Kto jest dobrym naukowcem, będzie dobrym nauczycielem. A kto jest dobrym nauczycielem, zechce z pewnością przeprowadzać badania terenowe. Żaden z

tych związków w rzeczywistości nie zachodzi. Znakomici studenci przeprowadzają zatrważająco złe badania. Wspaniali akademicy, których nazwiska wciąż się spotyka w fachowych periodykach, prowadzą tak ogłupiające i nudne zajęcia, że studenci opowiadają się przeciw, wyparowując z sal wykładowych niczym rosa pod afrykańskim słońcem. Jest w zawodzie mnóstwo oddanych badaczy terenu, o skórach wyprawionych skwarem, którzy przez całe lata, zaciskając zęby, obcuja z tubylcami i którzy sprawami uczelni interesują się niewiele albo wręcz nie interesują się nimi wcale.

Z tymi badaniami terenowymi, jak uznaliśmy - my, zniewieściali "młodzi antropolodzy" z doktoratami pisanymi po bibliotekach - mocno przesadzano. Naturalnie starsi nauczyciele, którzy "pełnili służbę" w czasach imperium i przy okazji swoich obowiązków "tyknęli trochę antropologii", mieli własny interes w podtrzymaniu kultu boga, którego najwyższymi kapłanami się mienili. Za dużo znieśli trudów oraz niedostatków na bagnach i w dżunglach, żeby jakimś smarkaczom pozwalać iść na skróty. Przyciskani podczas dyskusji na temat rozmaitych zagadnień teorii czy metafizyki, kiwali smutno głowami, pykali z wolną fajkę, głaskali brody i mruczeli coś o "ludziach z krwi i kości", którzy nijak nie pasują do abstraktów powołanych do życia przez "tych, co nigdy nie byli w terenie". Okazywali autentyczny żal wobec nieświadomości swych kolegów, bo sprawa wydawała się całkowicie jasna. Oni tam byli, oni widzieli. O czym więc tu mówić.

Po paru latach nauczania wciąż tych samych, powszechnie przyjętych zasad na wydziale antropologii o nie wyróżniającym się poziomie akademickim nastał, jak mi się wydawało, czas na zmiany. Niełatwo było określić, czy badania terenowe są równie nieprzyjemną powinnością co służba ojczyźnie i należy przecierpieć je w milczeniu, czy też stanowią dodatkową korzyść, za którą powinno się być wdzięcznym losowi.

Opinie kolegów w tej sprawie okazały się niezbyt pomocne.

Większość z nich miała dość czasu, by ubrać swoje doświadczenia w poświatę romantycznej przygody. Fakt odbytej wyprawy w teren zdaje się bowiem dawać licencję nudziarza.

Znajomi i krewni kogoś takiego są nad wyraz zdziwieni, gdy najprostsze czynności - od przepierki po leczenie kataru - nie są oblane sosem etnograficznych reminiscencji. Dawne przeżycia stają się najlepszymi przyjaciółmi i wkrótce w pamięci nie pozostaje nic poza "starymi dobrymi czasami" w terenie może z wyjątkiem paru przypadków okropnych męczarni, których nie da się zapomnieć ani utopić w ogólnej euforii. Jeden

z moich kolegów na przykład twierdził, że doskonale było mu pomiędzy zgodnymi, uśmiechniętymi tubylcami, którzy obdarowywali go koszami owoców i kwiatów. Tymczasem wnikliwsza kronika wypadków obfitowała w sformułowania typu:

"Było to wkrótce po tym, kiedy się zatrąłem" albo "Nie mogłem dobrze chodzić, bo wciąż dokuczał mi ropiejący czyrak pod palcem". Rzecz miała się więc jak z owymi wesołymi dykteryjkami z czasów wojny, które sprawiają, iż wbrew zdrowemu rozsądkowi gotowiśmy żałować, że nie było nas wtedy na świecie.

Może jednak uda się coś zyskać na doświadczeniach z terenu.

Seminaria przestaną ciągnąć się niemiłosiernie. Stojąc przed

koniecznością mówienia o czymś, o czym nie będę miał bladego pojęcia, sięgnę do worka z etnograficznymi anegdotami, jak to czynili w swoim czasie moi nauczyciele, i rozwinę opowiastkę, dzięki której moi uczniowie choć dziesięć minut przetrwają w skupieniu. Dostępny stanie się też cały zestaw technik dystansowania ludzi. I tu przypomina mi się pewien przykład.

Podczas jednej z konferencji, nudnej wedle obowiązujących standardów, rozmawiałem z kilkoma starszymi kolegami, a wśród nich z dwójką ponurych australijskich etnografów. Uczestnicy rozmowy wycofywali się po kolei, jakby się umówili, aż zostawili mnie całkiem samego na pastwę owego okropieństwa z antypodów. Po kilku minutach milczenia nieśmiało zaproponowałem drinka w nadziei przełamania lodów.

Australijska etnografka skrzywiła się z niechęcią.

Phi sarknęła, wydymając usta dość tego mieliśmy w buszu.

Pobył w terenie ma tę wielką zaletę, że daje możliwość rzucania podobnych uwag, na co zwykły śmiertelnik nie mógłby sobie pozwolić.

Sądzę, że posługiwanie się takimi właśnie zdankami stworzyło aurę ekscentryczności wokół nudnych w gruncie rzeczy osobników z wydziałów antropologii.

Antropologowie mają dużo szczęścia, jeśli idzie o ich wizerunek w oczach opinii publicznej.

Wiadomo na przykład, że socjologowie to pozbawieni poczucia humoru lewicujący głosiciele nonsensów i truizmów. Antropologowie tymczasem siadują u stóp kapłanów

hinduizmu, oglądają cudzych bogów i plugawe rytuały, odważnie udają się tam, dokąd przed nimi nikt nie dotarł. Otacza

ich aura świętości i boskiego oderwania się od spraw przyziemnych. Dla własnej korzyści uczynili się błogosławionymi

męczennikami angielskiego kościoła ekscentryzmu. Propozycję przystania do tego grona niełatwo odrzucić.

9

Uczciwie mówiąc, należało także pomyśleć chociażby

przelotnie o tym, że moje badania w terenie mogą wnieść

coś istotnego do stanu ludzkiej wiedzy. Na pierwszy rzut oka

wydawało się to jednak mało prawdopodobne. Samo gromadzenie faktów ma bowiem niewiele uroku. Antropologii nie

brakuje faktów, lecz inteligentnego ich wykorzystania. Skłonność do

"kolekcjonerstwa" jest w tej dyscyplinie powszechna

i trafnie charakteryzuje wysiłki wielu etnografów oraz nieudolnych

interpretatorów, którzy po prostu grupują zgrabne

przykłady dziwnych obyczajów wedle obszarów albo alfabetycznie, albo w porządku zmian ewolucyjnych zależnie od

bieżącej mody.

Gwoli szczerości, wydawało mi się wówczas, i nadal mi się

wydaje, że usprawiedliwienie badań terenowych oraz innych

poczynów akademickich tkwi nie tyle w chęci uczestnictwa

we wspólnym dorobku, ile w samolubnym planowaniu własnego rozwoju. Badania

akademickie są, niczym życie klasztorne, nieustannym doskonaleniem ducha. Mogą też służyć szerszej pojmowanym celom, nie należy jednak oceniać ich wyłącznie na

takiej podstawie. Sformułowany tu pogląd nie pasuje

naturalnie ani do akademickiej konserwy, ani do tych, którzy

mają się za siły rewolucyjne. I jedni, i drudzy skażeni są nadmiernym pietyzmem wobec samych siebie oraz napuszoną zarozumiałością, co sprawia, że trudno im uwierzyć, by świat

mógł nie śledzić każdego ich słowa.

Stąd owo gremialne oburzenie w środowisku, gdy Malinowski, "wynalazca" badań terenowych, przedstawił się w swym

dzienniku jako istota ludzka i omylna. Bywał czasami rozwścieczony przez "czarnych" albo nimi znudzony, dręczyło go pożądanie, doskwierała mu samotność. Wedle powszechnego odczucia dzienniki należało wycofać z obiegu, bo "źle służyły sprawie", bo były niepotrzebnie obrazoburcze i wielorako lekcewały starszyznę zawodu. Daje tu o sobie znać nieznośne zakłamanie u części wtajemniczonych, któremu powinno się przeciwdziałać przy każdej sposobności. Tak tedy, z głową pełną tych i innych myśli, rozpocząłem spisywanie świadectwa o moich własnych poczynaniach. Świadectwa nie będącego niczym nowym dla tych, którzy przeszli podobne doświadczenia, zamierzałem jednak uwypuklić aspekty traktowane w monografiach entograficznych jako "nieentograficzne", "nie mające związku z"..., "nieważne". W pracy zawodowej zawsze bardziej pociągały mnie wyższe stopnie abstrakcji i spekulacje teoretyczne, bo tylko postęp w tych właśnie dziedzinach może uczynić interpretację faktów bliższą rzeczywistości. Utkwiwszy wzrok w ziemi, zapewniamy sobie widok nie tylko mało interesujący, ale i częściowy. Książka ta może więc przywrócić w tym względzie równowagę, a zarazem pokazać studentom oraz, życzymy sobie tego, osobom nie związanym z antropologią, jak się ma gładka pisanina do orki na ugorze rzeczywistości, z której owa pisanina czerpie, oraz dać wyobrażenie o pracy w terenie tym, którzy czegoś takiego nie przeżyli. A zatem pomysł wyjazdu zagnieździł się w moich myślach i niczym ziarno w żyznej glebie, zaczął powoli kiełkować. Dlaczego właściwie zachciewa mi się terenu? spytałem kolegę. Uczynił obszerny gest, jeden z repertuaru gestów wykładowcy. Posiłkował się nim wówczas, gdy studenci zadawali pytania typu:

- Co to jest prawda?

Albo:

- Jak się pisze: "wół"?

Odpowiedź była jednak odpowiedzią. Między bajki włożyć należy opowiadki o antropologach trawionych żądzą przebywania pośród wybranej, jednej jedynej grupy mieszkańców tej planety i strzeżenia jej sekretów - sekretów wielkiej wagi - przed resztą ludzkości, oraz o tym, że sugerowanie im, by zajęli się czym innym, jest jak sugerowanie, że mogli byli poślubić kogokolwiek, niekoniecznie swego wyjątkowego trafnie dobranego partnera. Moja praca dyplomowa została napisana na podstawie materiałów drukowanych i rękopisów w języku staroangielskim. Określiłem to wówczas, może nieco górnolotnie, że "podróżowałem w czasie, a nie w przestrzeni". Sformułowanie takie łagodziło surowość moich egzaminatorów, ale i tak czuli się w obowiązku grozić mi palcem, przestrzegając, bym w przyszłości zajmował się bardziej konwencjonalnymi obszarami. Nie miałem słabości do żadnego kontynentu, a ponieważ nie wyspecjalizowałem się w żadnym konkretnym rejonie podczas studiów, nie żywiłem też uczucia odrazy do żadnej lokalizacji. Wnioskując z istniejących opracowań - mających odzwierciedlać badane ludy, a nie ludzi, którzy te ludy badali - Afryka wydawała mi się zdecydowanie nudnym kontynentem. Po znakomitym początku Evansa-Pritcharda tematy gwałtownie ograniczono do pseudosocjologii i systemów pokrewieństwa jako funkcjonujących całości. Później prace poprawiły się nieco, gdy należało zacząć rozważać "poważne" zagadnienia, takie

jak uświęcone zwyczajem małżeństwa czy symbolizm, ale dalej wypadały blado. Antropologia afrykańska jest pewnie jedną z niewielu dziedzin, gdzie nudną opieszałość uznaje się za zasługę. Fascynująca musiała być natomiast Ameryka Południowa, lecz wiedziałem od kolegów, że kwestie polityczne nieustannie utrudniają pracę, a co więcej, pracuje się tam jakby w cieniu Levi-Straussa i antropologów francuskich. Oceania była chyba najłatwiejsza z punktu widzenia warunków bytowych, lecz wszystkie badania w Oceanii prowadziły do tego samego. Aborygeni zdawali się mieć monopol na diabelnie skomplikowany system związków małżeńskich. Indie byłyby wspaniałym miejscem, lecz dokonanie tam czegoś sensownego wymagałoby osiedlenia się na dobre pięć lat i nauczania się najpierw kilku języków, by w ogóle zacząć. Daleki Wschód? Należało się zorientować, co tam da się zrobić. Taką ocenę można w istocie określić jako pobieżną, jednak wielu moich rówieśników, i późniejszych badaczy, postępowało w tenże sposób. Większość naukowych dociekań zaczyna się przecież od nieokreślonego zainteresowania jakimś obszarem wiedzy i rzadko się zdarza, że człowiek wie, o czym będzie traktować jego praca, póki nie zostanie napisana.

Kilka następnych miesięcy spędziłem na śledzeniu politycznych niepokojów w Indonezji, urozmaicanych ogólnymi wiadomościami o okrucieństwach i destrukcji w całej Azji. W końcu zacząłem się skłaniać ku Timorowi Portugalskiemu.

Wiedziałem, że bardziej interesuje mnie symbolizm kulturowy i świat wierzeń aniżeli polityka czy społeczne procesy urbanizacji, a Timor zdawał się stwarzać po temu najrozmaitsze możliwości, ze swoimi królestwami i nakazowym systemem koligacenia się, w myśl którego małżeństwo należy zawrzeć w ob.-

rzebie danej kategorii grup krewniaczych. Zdaje się być regułą, że uporządkowana struktura symboli często uwidacznia się wyraźniej, gdy mają miejsce zjawiska tego rodzaju. Już miałem zacząć opracowywać plan, gdy w gazetach zaroiło się od doniesień o wojnie domowej, ludobójstwie i inwazji. Biali najwyraźniej obawiali się o swoje życie, pojawiła się groźba głodu. Musiałem zapomnieć o tej podróży.

Szybka konsultacja poprzez znajomości w handlu doprowadziła mnie do wniosku, że lepiej zrobię wracając do pomysłu

Afryki, gdzie uzyskanie pozwolenia na prowadzenie badań nie było zbyt trudne, a warunki życia wydawały się bardziej stabilne. Skierowano moją uwagę na lud Bubi z Fernando Po. Tym,

którzy nigdy nie dotarli na Fernando Po, pozwolę sobie wyjaśnić, że jest to wyspa u wybrzeży Afryki Zachodniej, dawna hiszpańska kolonia zarządzana jako część Gwinei Równikowej. Zacząłem węszyć za literaturą. Wszyscy bardzo nieepochlebnie wyrażali się o Fernando Po i Bubi. Brytyjczycy sztychli,

że jest to miejsce, "gdzie nawet późnym popołudniem można spotkać rozmamłanego hiszpańskiego urzędnika wciąż w piżamie", i rozwodzili się z upodobaniem nad dokuczliwym gorącem i chorobami, z których owo miejsce słynęło. Dziewiętnastowieczni badacze niemieccy uznali tubylców za degeneratów. Mary Kingsley opisała wyspę jako obiecujące źródło węgla.

Richard Burton zadziwił wszystkich faktem, że wybrał się tam i przeżył. W sumie - deprymująca perspektywa. Na szczęście dla mnie, jak wówczas sądziłem, miejscowy dyktator zaczął uprawiać, oględnie mówiąc, politykę wyrzynania swoich oponentów. Nie mogłem zatem pojechać na Fernando Po. Wtedy właśnie jeden z moich kolegów podsunął mi dziwnie

zaniedbywaną grupę pogańskich górali w północnym Kamerunie. W ten oto sposób zetknąłem się z Dowagami*, którzy mieli stać się w przyszłości "moimi Dowayami" na dobre i na złe. Niczym kula rzucona na równię pochyłą ruszyłem na spotkanie Dowayom. Poszukiwania w indeksie Międzynarodowego Instytutu Afrykańskiego zaowocowały kilkoma wzmiankami francuskich

* W opracowaniach francuskich grupę tę wymienia się pod nazwą "Namchi" lub "Doayo" (przyp. konsultanta).

13

zarządców z czasów kolonialnych i bodaj dwiema wzmiankami przejeżdżających tamtędy podróżników. Dość w każdym razie napisano, bym mógł stwierdzić, że Dowayowie są wielce interesujący: uprawiają mianowicie kult czaszek, poddają się obrzezaniu, mają świszczącą wymowę, mumie oraz reputację ludzi krnąbrnych i dzikich. Wspomniany kolega podał mi nazwisko misjonarza, który mieszkał wśród nich przez wiele lat, skierował do paru lingwistów, którzy zajmowali się językiem Dowayów, a także potrafił wskazać mi na mapie miejsce, gdzie Dowayowie żyli. Chyba więc się załapałem. Natychmiast wziąłem się do roboty, zapominając całkowicie o pytaniu, czy rzeczywiście chcę dokądkolwiek wyjechać. Na przeszkodzie stał mi jedynie brak pieniędzy i pozwolenia na prowadzenie badań. Gdybym od początku zdawał sobie sprawę, że zdobycie obu tych rzeczy jednocześnie zajmie mi dwa lata ustawicznych starań, prawdopodobnie powróciłbym do pytania, co to wszystko warte. Na szczęście moja niewiedza okazała się wielce korzystna i zacząłem zgłębiać sztukę podlizywania się fundatorom.

14

Pełna gotowość

Na początku uznałem za słuszną pokazać ciału dysponującemu pieniędzmi, że proponowane badania są interesujące, nowatorskie i ważne. Tkwiłem wszelako w błędzie. Kiedy niedoświadczony etnograf podkreśla powyższe aspekty swych badań, komitet przyznający pieniądze zaczyna dociekać, być może na podstawie doświadczenia, czy planowane badania są standardowe, zwyczajne i czy stanowią kontynuację poprzedniej pracy. Podkreślając ogromne teoretyczne znaczenie moich skromnych badań dla przyszłości antropologii, stawiałem się w sytuacji człowieka piejącego z zachwyty nad rostbefem podczas przyjęcia wegetariańskiego. Wszystko, co robiłem, pogarszało tylko sprawę. Po jakimś czasie dostałem list, że komitet jest zainteresowany skompletowaniem danych etnograficznych tego terenu - czyli ordynarnym zebraniem faktów. Napisałem podanie na nowo, uwzględniając wszystkie kretyńskie szczegóły. Komitet zaczął martwić się, dla odmiany, że będę robił badania na nieznaną grupie ludzi. Napisałem podanie po raz kolejny i tym razem przeszło. Przyznano mi pieniądze. Pierwsza poprzeczka została pokonana. Uzyskanie pozwolenia na prowadzenie badań stało się zatem problemem kapitalnej wagi, by czas i pieniądze nie przeciekały przez palce. Już przed rokiem napisałem do ministerstwa w Kamerunie. Przyrzeczono mi odpowiedź w stosownym czasie. Napisałem ponownie. Poproszono o przedłożenie szczegółów moich planów naukowych. Uczyniłem to i czekałem.

Kiedy już straciłem nadzieję, otrzymałem pozwolenie na złożenie podania o wizę i na udanie się do stolicy, Jaunde. Z zażenowaniem przyznam się starym afrykańskim wyjadaczom, że w swojej naiwności uznałem to za kres moich kontaktów z biurokracją. Podejrzewam, że na tamtym etapie wyobrażałem sobie ludzi z administracji jako towarzyskich facetów wykonujących niezbędne minimum roboty z życzliwością i zachowaniem zdrowego rozsądku. W kraju o siedmiu milionach mieszkańców większość spraw można załatwić podczas zwykłej rozmowy, bez ceregieli, jak za starych dobrych czasów imperium brytyjskiego. Takie przekonanie okazało się jednak więcej niż nieporozumieniem nawet w przypadku najdrobniejszych kwestii. Już same kontakty z ambasadą kameruńską powinny były być dla mnie lekcją. Ja jednak, wedle najlepszych antropologicznych wzorców, zaniechałem pochopnego wysnuwania wniosków i czekałem, aż zgromadzę wszystkie dowody. Zatelefonowałem do ambasady, by upewnić się, czy jest czynna, po czym zjawiłem się ze wszystkimi dokumentami, dumny ze swej zapobiegliwości w postaci dwóch koniecznych zdjęć paszportowych. Ambasadę zastałem zamkniętą. Natrętne dzwonienie spowodowało, że powściągliwy głos, odmawiający użycia jakiegokolwiek innego języka poza francuskim, obwieścił mi, żebym przyszedł jutro. Wróciłem nazajutrz, lecz zdołałem dostać się jedynie do holu. Tam poinformowano mnie, że potrzebny mi džentelmen jest nieobecny i nie wiadomo, kiedy wróci. Odniosłem wrażenie, że występowanie o wizę jest czymś dziwnym i niezwykłym. Zdobyłem jednak jedną użyteczną informację: nie mogłem prosić o wizę bez ważnego biletu tam i z powrotem. Udałem się więc do biura linii lotniczych. Kameruńskie linie lotnicze Air Cameroon postrzegały klientów jako dokuczliwą przykrość. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że w ten sposób funkcjonowali w Kamerunie wszyscy rządowi monopolisci, i składałem tę okoliczność na karb trudności językowych. Podejrzliwie przyglądano się zwykłemu czekom, gotówka okazała się kłopotliwa. W końcu zapłaciłem za bilet francuskimi czekami podróżnymi. Jak to załatwiali inni, nie mam pojęcia. (Pierwsza dobra rada dla początkujących antropologów: wszystkie sprawy z egzotycznymi liniami lotniczymi załatwiajcie zawsze za pośrednictwem brytyjskiej agencji. Agencja zgodzi się przynajmniej na normalną formę płatności). Będąc w biurze linii, spytałem o pociągi z Jaunde do Ngaoundere, następnego przystanku w mojej podróży. Poinformowano mnie surowym tonem, że jestem w biurze linii lotniczych, a nie kolei, ale tak się akurat składa, że pomiędzy miastami kursuje klimatyzowany pociąg, a podróż trwa około trzech godzin. Uskrzydłony triumfem, z biletem w kieszeni wróciłem do ambasady. Rzeczonego džentelmena wprawdzie jeszcze nie było, pozwolono mi jednak wypełnić, w trzech kopiach, stosowny formularz. Uczyniwszy to, zdumiałem się wielce, gdy pierwsza z kopii, ta nad którą tak się mozoliłem, została wyrzucona do śmieci. Czekałem około godziny. Nic się nie działo. Wchodzili tylko i wychodzili rozmaici ludzie, mówiący w większości po francusku. Warto wspomnieć, że Kamerun był dawniej kolonią niemiecką, przejętą przez Brytyjczyków i Francuzów podczas pierwszej wojny światowej, i że otrzymał następnie niepodległość jako republika federacyjna, by przekształcić się z kolei w republikę zjednoczoną. I chociaż Kamerun jest teoretycznie krajem

dwujęzycznym, francusko-angielskim, zbytnią śmiałością byłoby przypuszczać, że daleko zajdzie się z samą tylko znajomością angielskiego. W końcu wkroczyła ogromna Afrykanka i stałem się tematem długiej rozmowy toczonej w języku mi nie znanym. Obecnie podejrzewam, że był to angielski. Jeśli na dawnych terytoriach brytyjskich ktokolwiek zagadnie cię w języku całkowicie niezrozumiałym, w którym nawet podstawowe dźwięki brzmią obco, będzie to prawdopodobnie angielski. Poprowadzono mnie do innego pomieszczenia, gdzie rzędami wokół ścian stały liczne tomy teczek. Stwierdziłem, że zawierają one szczegółowe informacje - oraz fotografie - dotyczące osób niemiłe w Kamerunie widzianych. Wciąż nie mogę się nadziwić, skąd tak młode państwo wzięło tak wiele niepożądanych osób. Kobieta szukała mnie daremnie przez dłuższy czas, po czym odłożyła akta z wyrazem, jak mi się wydawało, głębokiego rozczarowania. Kolejny problem stanowiły moje związane ze sobą zdjęcia paszportowe. Powinny być osobno i dostałem burę, że przedłożyłem je w innej postaci. Rozpoczęły się zmusne

17

poszukiwania nożyczek. Zaangażowano wielu urzędników, przesuwano meble, przetrząsano tomy z danymi o niepożądanych osobach. Starając się wykazać dobrą wolę, zerknąłem bez przekonania na podłogę. Znowu zostałem zbesztany. Byłem w ambasadzie i nie powinienem ani niczego dotykać, ani się rozglądać. Wreszcie wysledzono nożyczki u człowieka z parteru, który, jak się zdaje, nie był uprawniony do ich używania. Wyjaśniano sprawę bardzo szczegółowo. Wszyscy winniśmy byli okazać oburzenie. Następnie powstał problem, czy moja wiza ma być płatna, czy też nie. W swojej naiwności ochoczo zaferowałem opłatę, nie zdając sobie sprawy, że to nie błahostka, o której ja powinienem rozstrzygać. Decyzję należało pozostawić szefowi wydziału. Wróciłem do poczekalni, gdzie w końcu pojawił się kolejny Kameruńczyk, przejrzał dokumenty z wielką uwagą i zażądał ponownych wyjaśnień, odnosząc się podejrzliwie do pobudek kierujących moimi zamierzeniami. Główną trudnością, tu jak i gdzie indziej, było wytłumaczenie, dlaczego rząd brytyjski uważa za warte zachodu płacenie młodym ludziom stosunkowo dużych sum pieniędzy, by jechali w odludne części świata i rzekomo prowadzili badania wśród ludzi znanych w okolicy ze swej ignorancji i zacofania. Jak można zarobić na takich badaniach?

Najpewniej tkwi w tym jakaś ukryta intencja. Szpiegowanie, poszukiwanie zasobów mineralnych, przemyt - oto prawdziwe motywy. Jedynym wyjściem było robienie z siebie nieszkodliwego idioty, który niczego nie rozumie. I to mi się udało. Dostałem wizę, wielkiego ostemplowanego cukierka, na którym widniał mocno zafrykanizowany wizerunek Marianny, bohaterki francuskiego rewolucjonizmu. Wyszędłszy, czułem się osobliwie zmęczony długotrwałym poniżaniem mnie i okazywaniem mi nieufności. Uczucie to dane mi było poznać

w przyszłości bardzo dokładnie.

Miałem przed sobą około tygodnia na uporządkowanie spraw i zakończenie przygotowań. Istotny element mojej codzienności w ciągu ostatnich kilku miesięcy stanowiły szczepienia

- została jeszcze ostatnia dawka przeciw żółtej febrze, żebym był całkowicie zabezpieczony. Niestety szczepionka wywołała atak gorączki i wymiotów, co uszczupliło radość przyjęć pożegnalnych. Zaopatrzono mnie w zastraszająco duże pudło

18

lekarstw oraz listę dolegliwości, które można przy ich pomocy kurować i których w większości zaznałem wskutek szczepień.

Nadszedł moment na ostatnie dobre rady. Moja najbliższa rodzina, zupełnie nie zorientowana w antropologicznych eksperymentach, wiedziała jedynie, że muszę być szalony, skoro

udaję się do dzikich krajów, gdzie będę najpewniej mieszkać w dżungli, narażając się nieustannie na niebezpieczeństwo ze strony lwów i węży, i jedynie jeśli dopisze mi szczęście, uniknę garnka ludożerców. W swoim czasie krzepiace wydały mi się słowa naczelnika mojej wioski na ziemi Dowayów, który żegnając mnie, powiedział, że chętnie towarzyszyłby mi w podróży do mojej angielskiej wioski, lecz obawą napawa go kraj, gdzie jest zawsze zimno, gdzie żyją dzikie bestie, takie jak europejskie psy w miejscowej misji, i gdzie, jak wiadomo, mieszkają kanibale.

Książka tego rodzaju powinna bez wątpienia zawierać "porady dla młodych etnografów dotyczące badań terenowych".

Krażą pogłoski, że wybitny antropolog Evans-Pritchard mówił swoim podopiecznym po prostu: "Kup sobie w sklepie Fortnuma i Masona koszyk z jedzeniem na piknik dla czterech osób i trzymaj się z dala od miejscowych kobiet". Inny znawca Afryki Zachodniej dowodził, że sekretem powodzenia badań

terenowych jest posiadanie dobrego siatkowego podkoszulka. Mnie osobiście radzono, bym spisał testament (co uczyniłem), zabrał lakier do paznokci dla miejscowych strojnisiów

(czego nie zrobiłem) i kupił sobie porządny scyzoryk (który mi się zламаł). Pewna pani antropolog podała mi adres sklepu w Londynie, gdzie mogłem się zaopatrzyć w krótkie spodnie z kieszonkami mającymi zabezpieczenie przed szarańczą.

Uznałem to jednak za zbędny luksus.

Przed wyjazdem etnograf postawiony zostaje przed koniecznością podjęcia decyzji, czy potrzebny mu będzie pojazd mechaniczny, czy też nie. Może on nabyć taki pojazd, zanim wyjedzie, zapakować weń wszystko, co potrzebne, by przetrwać, a następnie wysłać go statkiem do miejsca przeznaczenia.

Może też bez jakiegokolwiek obciążenia dotrzeć do celu i tam dokonać niezbędnych zakupów. Zaletą pierwszego rozwiązania jest niski koszt i pewność, że kupi się to, czego się szuka.

19

Wadą - konieczność dodatkowych kontaktów z urzędnikami celnymi i innymi biurokratami, którzy mogą ci zwyczajnie wszystko zarekwirować, pobrać opłatę celną, poddawać twoje rzeczy działaniom monsunu, póki nie zbutwieją, narazić je na grabież, mogą żądać szczegółowego spisu twoich dóbr w czterech egzemplarzach oraz kontrasygnat i pieczęci z urzędów odległych o setki kilometrów, w razie sprzeciwu zaś nie omieszkają radośnie szykanować cię i dręczyć. Mnóstwo z owych trudności ustąpiłoby jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wskutek właściwie umieszczonej łapówki, lecz skalkulowanie odpowiedniej kwoty oraz wybór momentu, w którym łapówkę należy zaproponować, wymaga znakomitego wyczucia, którego nowo przybyłemu zazwyczaj brakuje. Mogłoby nawet skończyć się to dla niego kłopotami, gdyby przedsięwziął podobne kroki nie dość ostrożnie.

Trudność drugiego ze sposobów, czyli zakupienia wszystkiego na miejscu, leży w niezmiernej drożyznie. Samochody kosztują przynajmniej dwa razy tyle co w Anglii, wybór zaś jest bardzo ograniczony. Przybysz, jeśli nie towarzyszy mu wyjątkowe szczęście, najprawdopodobniej nie dobieje korzystnego targu.

W swojej naiwności optowałem jednak za drugim rozwiązaniem, po części dlatego, że nie chciałem już tracić czasu na przygotowania - chciałem wyruszyć jak najprędzej.

W góry

Ledwie samolot osiadł na pogrążonym w ciemnościach nocy lądowisku w Duali, do kabiny wdarł się specyficzny zapach piżma i gorąca, aromatyczny i pospolity zapach Afryki

Zachodniej. Padał deszcz, a był tak ciepły, że miało się wrażenie, jakby to krew spływała po twarzach, gdy przemierzaliśmy pole startowe. Wewnątrz budynku lotniska panował najbardziej osobliwy chaos, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Tłumy Europejczyków cisnęły się w bezładnych grupach lub wrzeszczały na Afrykanów. Afrykanie wrzeszczeli na Afrykanów. Jedyne Arab krążył posępnie od okienka do okienka.

Przed każdym z nich szalała przepychająca się ciżba, w której rozpoznałem "stojących w kolejce" Francuzów. Tu pobrałem drugą lekcję kameruńskiej biurokracji. Najwyraźniej obowiązywały nas trzy dokumenty: wiza, zaświadczenie lekarskie i potwierdzenie szczegółów pobytu. Dostaliśmy do wypełnienia wiele formularzy. Trwała intensywne wymiana sprzętu do

pisania. Kiedy wreszcie Francuzi utorowali sobie łokciami drogę ku wątpliwemu przywilejowi czekania na bagaż w strugach deszczu, zajęto się nami. Niektórzy z nas popełnili ten

błąd, że nie potrafili podać dokładnego adresu miejsca, do którego się udają, oraz nazwisk osób, z którymi mają kontakty

zawodowe. Urzędnik ogromnych rozmiarów siedział za biurkiem, czytając gazetę i ignorując nas całkowicie. Kiedy ustalona została zadowolająca go hierarchia naszej ważności, rozmawiał z każdym po kolei, dając nam odczuć, że nie jest człowiekiem skłonny do żartów. Widząc, jak się sprawy mają,

21

,3

4podałem całkowicie fikcyjny adres, do którego to sposobu uciekło się także kilka innych osób. W przyszłości zawsze byłem przesadnie skrupulatny w wypełnianiu wszelkich formularzy, które bez wątpienia stawały się karmą dla termitów lub

nie przeczytane lądowały w śmieciach. Raz jeszcze powędrowaliśmy wszyscy do trzech kolejnych okienek, a następnie do stanowiska odprawy celnej, gdzie rozgrywał się właśnie prawdziwy dramat. W bagażu jednego z Francuzów znaleziono

rozmaite aromatyczne substancje. Próżno człowiek zaklinał się, że są to przyprawy do sosów kuchni francuskiej. Urzędnik

był przekonany, iż złapał ważnego handlarza narkotykami, choć wiedziano wszem i wobec, że to uprawianą w Kamerunie marihuanę szmuglowano poza jej granice. Francuzi znów

zaczęli się pchać i szło im całkiem nieźle, póki nie pojawiła się ogromna figura stuprocentowego Afrykanina, który w Nicei zajął na pokładzie samolotu miejsce w pierwszej klasie. Pstryknięciem zdobnych w złote pierścienie palców wskazał bagaż,

który niezwłocznie pochwycili tragarze. Miałem szczęście mój bagaż stał na zawadzie jego bagażowi i fala wielkiego

wynoszenia wyniosła i mnie na zewnątrz, ku Afryce.

Pierwsze wrażenie niezmiernie się liczy. Człowiek nie dość

brązowy rzuca się w oczy ludziom wszelkiego autoramentu.

W każdym razie mój nesesor z aparatem fotograficznym porwany został przez, jak mi się wydawało, usłużnego tragarza.

Skorygowałem wszak ów pogląd, gdy człek zaczął się chyżo oddalać. Ruszyłem za nim w pogoń, posiłkując się różnymi zwrotami nie używanymi w codziennej mowie:

- Au secours! Au voleur!* - wołałem.

Na szczęście przeszkadzał mu panujący wokół ruch, schwyciłem go więc i zaczęła się szamotanina. W końcu otrzymałem

szybki cios, który rozkrwawił mi twarz, ale neseser został mi oddany. Troskliwy taksówkarz zawiózł mnie do hotelu, biorąc ode mnie tylko pięciokrotność obowiązującej opłaty. Następnego dnia uciekłem od uroków Duali i poleciałem bez przeszkód do stolicy, z tym tylko, że przejałem od innych pasażerów głośny i wrogi sposób odnoszenia się do tragarzy * Au secours! Au voleur! - (franc.) Na pomoc! Trzymaj złodzieja! (przypisy nie podpisane inaczej pochodzą od tłumaczki).

22

oraz taksówkarzy. W Jaunde przyszło mi przeżyć silny atak biurokracji; ponieważ przygotowywanie moich dokumentów trwało około trzech tygodni, nie miałem nic innego do roboty, jak tylko udawać turystę.

Na pierwszy rzut oka miasto pozbawione jest wszelkiego wdzięku. Nieprzyjemnie zakurzone w porze suchej, w porze deszczowej zamienia się w rozległe grzęzawisko. Ważniejsze budowle przypominają wyglądem kawiarnie przy autostradzie. Zapadające się kratki odpływowe w chodnikach wiodą nieuważnego gościa ku miejskim kanałom. Nowo przybyłemu trudno ustrzec się przed zwichnięciem choćby jednej kończyny. Życie ekspatriantów koncentruje się wokół dwóch czy trzech kafejek - spędza się tam czas w głębokiej nudzie, patrząc na przejeżdżające żółte taksówki i odpierając ataki sprzedawców pamiątek. Owi sprzedawcy to panowie o niezwykłym uroku, którzy zdążyli się już nauczyć, że biały człowiek kupi absolutnie wszystko, jeśli tylko cena przekracza wartość towaru. Oferują tedy możliwe do przyjęcia rzeźby oraz kompletne śmieci jako "oryginalne starocia". Handel uprawia się na zasadach swoistej gry. Ceny przekraczają mniej więcej dwudziestokrotnie rozsądne wartości. Jeśli klient protestuje, że jest okradany, handlarze, chichocząc, przyznają mu rację i pięciokrotnie obniżają stawkę. Niektórzy handlarze idą ze zblazowanymi Europejczykami na typ relacji klient-patron, świadomi faktu, że tym większa uciecha, im bardziej oburzająca jest ich bezczelność.

Najsmutniejsze przypadki to dyplomaci, którzy zdają się prowadzić politykę minimalizowania kontaktów z tubylcami, przemieszczając się z zamkniętych biur do zamkniętych posesji via kawiarnia. Z powodów, które wyjaśnię później, sprawiłem miejscowemu środowisku Brytyjczyków trochę kłopotu.

O wiele bardziej interesująca była francuska społeczność młodych cooperants, ludzi wykonujących tu rozmaite zadania w ramach zastępczej służby wojskowej. Uwzględniając w nieznacznym tylko stopniu fakt, że przebywają w Afryce Zachodniej, zdołali stworzyć odpowiednik życia towarzyskiego prowincjonalnej Francji z elementami takimi jak barbecue, rajdy samochodowe czy przyjęcia. Szybko nawiązałem kontakt z pewnym domostwem, dziewczyną i dwoma chłopcami - za23

..!

angażowanymi jako profesjonalni nauczyciele - co bardzo mi się później przydało. W przeciwieństwie do dyplomatów ci młodzi ludzie opuszczali czasem stolicę, mieli więc informacje o stanie dróg, o rynku samochodowym i tak dalej, a rozmów z Afrykanami nie ograniczali do wydawania poleceń służbie. Byłem zaskoczony - po oficjalnych kontaktach z różnymi urzędnikami - że ci młodzi potrafią być tak przyjacielscy i mili.

Nie spodziewałem się tego po nich. Wobec niesnasek politycznej natury pomiędzy mieszkańcami Indii Zachodnich a Indianami, których znałem w Anglii, wydało mi się niesamowite, że właśnie w Afryce ludzie różnych ras mogą spotykać się na normalnych zasadach. Naturalnie okazało się, że nie jest to aż takie proste. Relacje pomiędzy Europejczykami i Afrykanami są utrudniane przez najrozmaitsze czynniki. Afrykanie potrafią często dostosować się tak dobrze, że stają się bez mała czarnymi Francuzami. Z drugiej strony, europejscy rezydenci w Afryce starają się być dziwacznymi ludźmi. Niemniej może wskutek ich wyraźnej pospolitości społeczność dyplomatów tak źle sobie radzi; szaleńcy - spotkałem kilku - radzą sobie znakomicie, pomijając zniszczenia, które po sobie pozostawiają. Jestem Anglikiem, więc zapewne nadmierne wrażenie robił na mnie fakt, że ludzie zupełnie obcy uśmiechają się do mnie, pozdrawiają mnie na ulicy, i to najwyraźniej bez ukrytych pobudek. Dni tymczasem mijały, a afrykańskie miasta wcale nie są tanie. Jaunde zostało sklasyfikowane jako jedno z najdroższych dla cudzoziemców miast na świecie. Chociaż nie żyłem wystawnie, pieniądze szybko się rozchodziły i po prostu stanąłem przed koniecznością wyjazdu. Byłem gotów urządzić awanturę. Przygotowałem się psychicznie i poszedłem do biura imigracyjnego. Za biurkiem siedział wyniosły inspektor, z którym miałem już do czynienia podczas poprzednich wizyt. Spojrzał znad dokumentów, które właśnie przeglądał, i rozpoczął zawiłe manipulowanie papierosem i zapalniczką. Ignorując moje pozdrowienie, rzucił mi paszport na biurko. Zamiast dwu lat, o które prosiłem, z jakiegoś tajemnego powodu dano mi wizę na dziewięć miesięcy. Ciesząc się z tego, co mam, wyszedłem.

24

Zrobiłem następnie dwa głupstwa, świadczące o tym, jak mało wiedziałem o świecie, do którego się udawałem. Po pierwsze poszedłem na pocztę, by nadać telegram do Ngaoundere, mojego następnego postoju na kolejowej trasie, w którym uprzedzałem o moim rychłym przyjeździe. Dotarł do miejsca przeznaczenia dwa tygodnie później, co starzy afrykańscy wyjadacze uznali za wynik przeciętny. Na poczcie zawarłem znajomość z pewnym osobliwym Australijczykiem, który doprowadzony do rozpacz przez aroganckich urzędników i tubylców, przeszkolonych w rozpychaniu się łokciami przez Francuzów, stał na środku urzędu i wykrzykiwał ku ogólnemu zdumieniu:

- Rozumiem. Jestem niedobrego koloru, tak?

Następnie okrągłymi zdaniem deklarował, że już nigdy nie napisze do swojej matki z Kamerunu. Szczęściem, mogłem mu odstąpić jeden z moich znaczków, wobec czego odezwało się w nim rzewne uczucie wspólnoty i nalegał, żebym napił się z nim piwa. Po kilku piwach okazało się, że podróżując od dwóch lat, nigdy nie wydawał więcej niż pięćdziesiąt pensów dziennie. Pozostawałem pod dużym wrażeniem tej okoliczności do chwili, gdy dżentelmen wstał i odszedł, nie płacąc za piwo.

Wówczas to popełniłem najpoważniejszy z błędów. Do tamtego czasu trzymałem większość pieniędzy przeznaczonych na badania w postaci międzynarodowego czeku, który zawsze miałem przy sobie. Wydało mi się jednak rozropne zdeponować go w banku. Kosztowało mnie to jedynie godzinę przepychanek i znoszenia impertynencji. Zostałem uprzejmie zapewniony przez młodego i, zdawać by się mogło, wiarygodnego człowieka, że książeczka czekowa zostanie wysłana mi do

Ngaoundere w ciągu dwudziestu czterech godzin, a zatem będę mógł korzystać ze swego konta w każdej potrzebie. Idiotyczne, ale uwierzyłem mu. Minęło ładnych pięć miesięcy, zanim zyskałem dostęp do pieniędzy, które z taką łatwością powierzyłem bankowi. Ale i tak uznałem to za sukces wobec przerażających opowieści o karygodnych występkach, które to opowieści krążyły wśród białej społeczności. Wielu mężczyzn przejęło zniewieściały zwyczaj Zachodu używania małych torebek do noszenia dokumentów, które należało mieć przy sobie

25

Tymczasem gangi ogromnych afrykańskich kobiet przeciągały po zmiernych ulicami i wyrwały samotnym mężczyznom szaszetki, bijąc tych, którzy odważyli się stawiać opór.

Rzecz jest całkiem prawdopodobna. Afryka to siedlisko osób o najbardziej zadziwiającej budowie ciała, zarówno jeśli chodzi o mężczyzn, jak i kobiety, co wynika z nieustannej ciężkiej fizycznej pracy i diety ubogiej w białko. Smukły mieszkaniec Zachodu czuje się zrazu śmiesznie mały przy rozbudowanych klatkach piersiowych południowych Kameruńczyków.

Z uczuciem pewnej ulgi wymeldowałem się z hotelu i pożegnałem z rozbrzmiewającą dzień i noc muzyką afrykańskich

gitar, po raz ostatni też przemknąłem między szpalerem prostytutek. Były one chyba najmniej subtelnymi przedstawicielkami tej branży, jakie kiedykolwiek widziałem. Powszechnie

przyjęty sposób zaczepiania mężczyzny polegał na tym, że pani podchodziła do upatrzonego osobnika i najzwyczajniej chwytła go za przyrodzenie z siłą imadła - ze wszech miar należało wystrzegać się uwięzienia w takich okolicznościach

w windzie.

Wkrótce potem dotarłem cało do dworca kolejowego, powątpiewając jednak coraz bardziej w rozkosze klimatyzowanego pociągu, które opisywała mi w Londynie panią z biura linii lotniczych. Skład pociągu stanowiły wagony z okresu pierwszej wojny światowej, przybyłe tu, nie wiedzieć dlaczego, z Włoch. Pociąg był rozrzutnie ozdobiony upomnieniami

w języku włoskim, co można, a czego nie można względem urządzeń sanitarnych i zaopatrzenia w wodę. Problemy związane z tłumaczeniem rozwiązano gładko - żadnych tłumaczeń nie było.

Trochę przepychanki i nabyłem bilet, wypełniwszy uprzednio nie mniej formularzy niż przy zakupie ubezpieczenia na życie.

Podróże po Afryce Zachodniej zdają się mieć wiele wspólnego z podróżami dyliżansem z wczesnych westernów. Obsada jest prawie zawsze taka sama. Wszystko jedno, czy się jeździ pociągiem, czy taksówką - te ostatnie odgrywają istotną rolę w poruszaniu się po kraju. Taksówki to duże furgonetki marki Toyota albo Saviem, przystosowane do przewozu od dwunastu do dwudziestu osób, lecz właściciele upychają w nich trzydzieści do pięćdziesięciu dusz. Gdyby pojazd sprawiał fałszywe wrażenie, że pęka w szwach, należy ruszyć z kopyta, po czym gwałtownie zahamować, a z tyłu zawsze znajdzie się jeszcze miejsce dla jednego lub dwóch pasażerów.

Pożądane jest, jak się zdaje, by w każdym pojeździe znalazło się ze dwóch wojskowych: kaprali albo poruczników. Żandarmi wybierają zwykle najlepsze miejsce, obok kierowcy, i uprzejmie odmawiają uiszczenia opłaty. Zazwyczaj jedzie też paru nauczycieli z Południa, niezadowolonych z przenosin

na mużułmańską Północ. Po namowach, acz niezbyt długich, zabawiają towarzyszy podróży opowieściami o trudach, które stały się ich udziałem w tych pogrążonych w mroku barbarzyństwa okolicach, demaskując tamtejszy brak ducha przedsiębiorczości, dzikość pogańskich mieszkańców, niejadalna żywność. Podróżuje też zwykle jakaś poganka w niebieskich plastikowych butach, karmiąca piersią niemowlę - czynność ta zdaje się wypełniać cały czas większości kobiet. Obrazu dopełnia para wymizerowanych mużułmanów z na poły pustynnej Północy, zakutanych w arabskie suknie, ściskających kurczowo maty do modlitw i kociołki na wodę. Tak samo było w pociągu. Przejawem postępu technicznego, szczerze docenianego przez miejscowych, jest obecność radiomagnetofonu, dzięki któremu można nagrać na kasetę program radiowy - zanikającą miarowo kakofonię słów, potężnego szumu oraz trzasków biorących się z zakłóceń atmosferycznych - i odtwarzać go pasażerom możliwie jak najgłośniej i bez chwili przerwy. Mużułmanie z Północy i chrześcijanie z Południa nieustannie współzawodniczą o prawa do powietrznej przestrzeni radiowej. Zwycięstwo zapewnia jednej ze stron możliwość odtwarzania swojej kasety niezależnie od pory dnia i nocy oraz określa, czy będzie to nie kończący się i pozbawiony melodii zachodnioafrykański pop pełen nigeryjskiej łamanej angielszczyzny (O me mammy I don' forget you), czy produkt krajowy (Je suis un enfant de Douala olei, czy też ochrypłe zawołanie w stylu arabskim. Najkrótsza chwila przerwy stwarza szansę przeciwnikowi, nie można więc do niej dopuścić. Obszary zamieszkałe przez lokalnych biurokratów i cudzoziemskich wysłanników różnią się zasadniczo poziomem hałasu. Afrykanie zdają się być prawdziwie

26 27

zakłopotani szczególnym upodobaniem człowieka Zachodu do poruszania się w ciszy i skupieniu, choć wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stać go na tyle baterii, by radia grały dzień i noc.

Kolejna istotna różnica pomiędzy mużułmanami i chrześcijanami jest taka, że chrześcijanie rodzaju męskiego siusiają na stojąco, dzięki czemu udaje im się sięgnąć do przeznaczonego na ten cel zlewu w toalecie, mużułmanie zaś siusiają w kucki, a zatem, narażając się na niebывałe ryzyko, rozpościerają swoje suknie w ogromny namiot i wychylają się do połowy przez drzwi jadącego wagonu.

Podczas tej szczególnej podróży siedziałem naprzeciwko niemieckiego specjalisty od rolnictwa, zmierzającego ku Północy na drugą część kontraktu. Jego zadaniem, jak mi wyjawiał, było zachęcanie tubylców do uprawy bawełny na eksport.

Bawełna sprzedawana jest przez rządowych monopolistów i stanowi źródło wielce pożądanego walut obcych, jej produkcję silnie popierają więc scentralizowane władze. Czy mu się powiodło? Niezmiernie. Ludzie tak dużo czasu poświęcali bawełnie, że zaniechali uprawy żywności, ceny strzeliły w górę, klęsce głodu udało się zapobiec jedynie dzięki interwencyjnej pomocy Kościoła. Mój rozmówca nie odczuwał wszak przygnębienia z powodu takiego obrotu sprawy, brał go raczej za dowód faktu, że bawełna się przyjęła.

Podczas mojego pobytu w Kamerunie spotkałem wielu podobnych specjalistów, niektórzy z nich zarzucali mi "pasożytowanie na afrykańskiej kulturze". Oni przyjechali, by szerzyć wiedzę i odmienić życie tubylców. Ja przybyłem po to, by obserwować i ewentualnie, we własnym interesie, utwierdzać

miejscowych w pogańskich zabobonach i zacofaniu. Czasami, w bezsenne noce, zastanawiałem się nad tym, tak jak w Anglii zastanawiałem się nad istotą akademickiej egzystencji.

Ale gdy przychodziło co do czego, tamci chyba niewiele osiągnęli. Rozwiązując jeden problem, tworzyli dwa nowe. Wydawało mi się raczej, że to właśnie ci, którzy pretendowali do

roli jedynych znawców prawdy, powinni czuć się zażenowani z powodu zniszczeń, jakie powodowali w cudzym życiu.

O antropologu można powiedzieć, że jest tylko nieszkodliwym wyrobnikiem, skoro jedną z podstawowych zasad etyki jego rzemiosła jest dołożenie wszelkich starań, by nie zakłócać obserwowanych zjawisk bardziej, niż to konieczne.

Takie oto myśli przychodzą do głowy naukowcom, którzy jedzą w pociągu za dużo bananów. Podróż, jak mnie zapewniano, miała trwać trzy godziny. Trwała godzin siedemnaście.

Ale temperatura obniżała się stopniowo, w miarę jak wspinaliśmy się na płaskowyż ku miastu Ngaoundere. Noc zapadła

gwałtownie, w pociągu nie było światła. Siedzieliśmy w ciemnościach, zjadając banany, rozmawiając łamaną niemiecką

i patrząc na karłowaty busz, zlewający się z czernią nocy.

W końcu, kiedy już zaczęło się wydawać, że resztę życia jest mi pisane spędzić w pociągu, dotarliśmy do Ngaoundere.

Natychmiast ogarnęło mnie uczucie wyobcowania, o wiele

dotkliwsze niż na Południu. Ngaoundere uważa się za granicę pomiędzy Północą i Południem, jest to miejsce popularne

wśród białych z uwagi na chłodny klimat i kolejowe połączenie ze stolicą. Choć zmieniało się szybko wskutek istnienia

linii kolejowej, wciąż pozostawało ogromnym obszarem domostw tradycyjnie krytych strzechą.

Bardziej na południu materiał ten został całkowicie wyparty przez blachy faliste, żelazne lub aluminiowe, nieznośnie

nagrzewające się od słońca i działające jak kolosalne wymienniki ciepła, wskutek czego noce były równie gorące jak dni.

Owe uwielbiane przez tubylców karbowane dachy przyczyniały się w znacznej mierze do brzydoty, którą dostrzegali

w Afryce przybysze z zachodniego świata. Jest to właściwie

czysty etnocentryzm. Podczas gdy chaty kryte strzechą są

"malownicze i rustykalne", pokryte blachą są "slumsami".

Ngaoundere jednakże nie było miastem aż tak odpychającym

jak większość miast afrykańskich. W ciemności, z rozpalonymi setkami ognisk, nad którymi gotowano, wyglądało tak, jak

wyobraża sobie Afrykę przybysz z Zachodu. W świetle dnia

widać było stosy gnijących odpadków, przez które miejscowa złota młodzież

wybierała drogę dla swoich motorynek

przystrojonych sztucznymi kwiatami.

Nas obu tymczasem pochłonęły bez reszty targi z taksówkarzem. Podczas gdy ja skłaniałem się do zaakceptowania swej

historycznej roli bycia kimś, kogo się okrada, Niemiec zaangażował się w spór z zajadłością i nie skrywaną głęboką po28 '~ 29

gardą dla wszystkich taksówkarzy, co ostatecznie uznałem za

właściwość osoby rzeczywiście znającej się na rzeczy. W rezultacie dojechaliśmy szybko i za rozsądne pieniądze do misji katolickiej, gdzie zostaliśmy ciepło

przyjęci przez duchownych, których Niemiec dobrze znał.

Istnieje powszechne przekonanie, że misjonarze wzięli na

siebie obowiązek udzielania podróżnym gościny wedle średniowiecznych reguł.

Niektórzy istotnie udostępniają kwatery,

lecz częściej "swoim", podróżującym z konferencji na konferencję, niż marudnym wędrowcom. Dość wycierpieli od autostopowiczów bez grosza, którzy sądzą, że będą żyć w Afryce równie dostatnio jak w Europie. Wskutek ich naporu gościnność ograniczono, inaczej misje musiałyby się zajmować wyłącznie hotelarstwem.

Spieszno mi było do misji protestanckiej, gdzie - jak sądziłem - czekano na mnie. Chociaż przebywałem w Kamerunie

już od dwóch miesięcy, to wskutek opóźnienia związanego z dokumentami nie widziałem jeszcze ani jednego Dowaya.

Dręczyła mnie myśl, że Dowayowie mogą w ogóle nie istnieć, a samo słowo "Dowayo" może w miejscowym narzeczu

znaczyć "nikt", co pieczołowicie zapisywano jako odpowiedź na pytania miejscowych urzędników.

- Jacy ludzie zamieszkują te okolice? - dopytywałem u katolickich misjonarzy.

A jednak istnieli. Katolicy niewiele mieli z nimi do czynienia, co przyjmowali z ulgą - Dowayowie byli ponoć okropni.

W prowadzonej przez duchownych szkole zyskali opinię najgorszych uczniów.

Dlaczego interesowałem się właśnie Dowayami? Powód, że żyli tak, a nie inaczej był prosty: nie wiedzieli, że może być inaczej.

Honi soit qui Malinowski*

Młodzi antropolodzy wiedzą o misjonarzach wszystko, zanim któregokolwiek z nich poznają. Misjonarze odgrywają

istotną rolę w demonologii przedmiotu, obok obłudnych administratorów i wyzyskujących tubylczą ludność kolonialistów.

Jedyną uzasadnioną rozumowo odpowiedzią na potrząsanie

ci przed nosem skarbonką z datkami na cele misyjne jest świadome

przeciwstawienie się całej idei misyjnej ingerencji. Istnieje na ten temat

dokumentacja. We wstępnym kursie dla studentów antropolodzy zwracają uwagę na nadużycia i krótkowzroczność misji melanezyjskiej, które doprowadziły do kultów

cargo i klęsk głodu. Brazylijskie porządki w Amazonii są odpowiedzialne za rozwój handlu niewolnikami i dziecięcej prostytucji, za rozkradanie ziemi,

zastraszanie tubylców siłą fizyczną oraz ogniem piekielnym. Misje rujnują tradycję kulturową i poczucie godności, sprowadzając ludzi na całym

globie do stanu bezradnych, zbitych z tropu kretynów, żyjących

z dobroczynności pod ekonomicznym i kulturalnym jarzmem

Zachodu. Największa nieuczciwość polega wszakże na eksportowaniu do Trzeciego Świata systemów myślenia, które

Zachód sam już w większości odrzucił.

Miałem to wszystko na uwadze dotarwszy do amerykańskiej

misji w Ngaoundere. Czymś na kształt zdrady w aspekcie etyki antropologicznej była sama rozmowa z misjonarzami:

* Honi soir qui mol y pense - dewiza Orderu Podwiązki: "Hańba

temu, kto widzi w tym coś złego".

31

antropolodzy mają obsesję na punkcie trzymania się z dala od

tej zarazy, odkąd Malinowski, samozwańczy odkrywca badań

terenowych, zaapelował płomiennie, by etnografowie opuścili misyjne werandy i powędrowali do wioski. Ja jednak zamierzałem strzec się diabelskich podszeptów i

zaoszczędzić

sobie sporo czasu rozmawiając z ludźmi, którzy już byli zdomowieni w krainie Dowayów.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu zostałem przyjęty bardzo serdecznie. Misjonarze, nie mając zgoła nic wspólnego

z rozpasanym imperializmem kulturowym, okazali się niezwykle powściągliwi - może z wyjątkiem jednego czy dwóch

starej daty - w narzucaniu swych poglądów. Antropologii

przypisuje się kłopotliwie wysoką pozycję jedyne go środka

na pożałowania godne wypaczenia kulturowe - pozycję, o którą bym, szczerze mówiąc, dla antropologii nie zabiegał.

Pierwszą znajomość nawiązałem z Ronem Nelsonem, który prowadził misyjne studio radiowe. Programy odbierano

w większej części Afryki Zachodniej, jeśli tylko nadajniki nie były nacjonalizowane przez któryś z rządów. On i jego żona emanowali spokojną siłą, jakże daleką od hysterii nawracania, której się spodziewałem - bo przecież skoro ktoś zabiera się do chrystianizowania pogan, musi być religijnym fanatykiem.

Naturalnie spotkałem i takich wśród bardziej skrajnych grup pracujących w Kamerunie - ludzi, którzy złorzeczyli mi, że zabieram figurki boginek płodności do Europy, czyli sprowadzam szatana na terytorium Boga, i że należałoby te figurki spalić, zamiast wystawiać je na widok publiczny. Na szczęście ludzie ci należą do mniejszości, i to zanikającej, sądząc po poznanych przeze mnie młodszych misjonarzach.

Ogólnie rzecz biorąc, byłem zdumiony, jak dużo pracy poświęcano miejscowej kulturze: językom, przekładom i badaniom natury czysto lingwistycznej, ile podejmowano wysiłków, by zaadaptować liturgię do miejscowych symboli. Nie wykonałbym też moich własnych badań bez wsparcia, którego udzieliła mi misja. Wobec faktu, że moje fundusze zostały nierozważnie ulokowane w czeluściach afrykańskiego banku, tylko dzięki pożyczce z misji zdołałem zaopatrzyć się w rzeczy niezbędne w terenie. Gdy byłem chory, ratowano mnie w szpitalu misyjnym. Pomagano, gdy byłem w tarapatkach.

32

Kiedy kończyły mi się zapasy, pozwalano mi robić zakupy w sklepie, który teoretycznie służyć miał wyłącznie personelowi misji. Dla umęczonego, wygłodniałego naukowca był ów sklep prawdziwą jaskinią Aladyna, pełną importowanych towarów po niskiej cenie.

Misja nie była jednakże wyłącznie punktem pierwszej pomocy dla antropologa kompletnie nie przygotowanego ani materialnie, ani psychicznie do pracy w buszu, lecz także nader

ważnym przybytkiem, dokąd się uciekało, gdy miał człowiek wszystkiego dosyć, gdzie można było zjeść trochę mięsa, pogadać po angielsku i pobyć z ludźmi, którym nie musiało się obszernie wyjaśniać nawet najprostszych sformułowań.

Misjonarze francuscy także wzięli mnie pod swoje skrzydła, stojąc na stanowisku, że Europejczycy powinni trzymać się

razem wobec Amerykanów. Moim ulubieńcem był Pere Henri, wesoły, energiczny ekstrawertyk. Mieszkał przez kilka lat

z wędrownym plemieniem Fulanów i, jak to ujął jeden z jego kolegów, "nie umiał się zmusić, by wygłaszać do nich kazania". Był w owych Fulanach niezmiernie zakochany i potrafił

dyskutować całymi godzinami o subtelnych zawiłościach gramatyki z tak zwanymi "purystami języka fulańskiego". Jego pokój w szkole na wzgórzu był zarazem świątynią i pracownią.

Posługując się najwymyślniejszymi urządzeniami (z gatunku dziwactw Heatha Robinsona*), nagrywał spostrzeżenia etnografów, redagował je, przegrywał, opracowywał odsyłacze wszystko za pomocą przycisków uruchamianych uderzeniem

łokcia, naciśnięciem stopy, pchnięciem kolana. Zdawał się pracować dwakroć szybciej niż zwykli śmiertelnicy. Usłyszawszy, że szukam samochodu na podróż w teren, natychmiast obwiozł mnie po znajomych, gdzie obejrzeliliśmy kilka

uszkodzonych gruchotów do sprzedania za pół darmo. Wylądowaliśmy w końcu na lotnisku, w barze prowadzonym przez typowego francuskiego osadnika, który, jak się okazało, był rodowitym londyńczykiem i znał pewnego faceta, który znalazł * Heath Robinson (1872-1944)-brytyjski malarz i grafik, który zyskał sobie sławę rysunkami będącymi satyrą na "wiek maszyn", przedstawiającymi absurdalne i skomplikowane wynalazki, ułatwiające wykonywanie najprostszych czynności.

3 - Niewinny antropolog 33

innego faceta, który znał... i tak dalej. Nim nastał wieczór, samochody zjechały, by zaprezentować się po raz drugi, a Pere Henri negocjował skomplikowane kombinacje opcji i prerogatyw, aby ubezpieczenie mogło objąć wszystko, co tylko się da. Ostatecznie kupiłem samochód Rona Nelsona za pieniądze pożyczone od misji i załadowałem go niezbędnymi produktami, gotów natychmiast wyjechać w teren. Rozmaici ludzie użyli mi materiałów gromadzonych podczas dwudziestu z okładem lat spędzonych w krainie Dowayów, a dotyczących nie tylko zagadnień lingwistycznych, ale też zasad określania pokrewieństwa (całkowicie błędnych) i wszelkiego rodzaju etnograficznych drobiazgów, które dają mi możliwość przekonania Dowayów, że wiem o ich kulturze zdecydowanie więcej, niż na to wygląda, a zatem wykryję wszelkie ich półprawdy i wykręty z największą łatwością. Jeszcze w Anglii nawiązałem korespondencję z dwoma badaczami Letniego Instytutu Językowego, którzy wyposażyli mnie w listę słówek, schemat systemu czasownikowego i podstawowych fonemów, czułem się więc tak dobrze wyekwipowany, jak powinienem. Naiwnie wyobrażałem sobie, że wyruszę w busz następnego dnia o świcie, gdy powietrze jest czyste i rześkie, by rozpocząć od podstaw gruntowną analizę kultury mojego własnego prymitywnego ludu. I znowu biurokracja sprowadziła mnie na ziemię. Rozrośnięty i przestarzały francuski system administrowania oraz afrykański klimat kulturowy tworzą kombinację zdolną wykończyć najwytrwalszego. Moi gospodarze zwrócili mi uwagę w sposób delikatny, z pełną zażenowania wyrozumiałością, rezerwowaną zwykle dla nie uświadomionych lub tępych, że nie mogę wyjechać z miasta moim peugeotem 404

bez uporządkowania spraw papierkowych. W rozmaitych miejscach mianem bowiem napotykać żandarmów, którzy nie interesują się niczym innym, jak tylko kontrolą dokumentów. Ponieważ trudno przewidzieć, który z nich potrafi czytać, a który nie, próba blefu mogła być podjęta tylko w razie wyjątkowej potrzeby.

Udałem się do prefecture z niezbędnymi dokumentami w dłoni. I tu rozpoczęła się niepojęta i w najwyższym stopniu skomplikowana procedura. Powiedziano mi, abym uiścił opłatę

w wysokości stu dwudziestu funtów, i po niewielkich, w stosunku do

34

oczekiwanych, przepychankach oraz umiarkowanej arogancji zdobyłem papier, który miałem zanieść do ministerstwa finansów. Tam odmówiono jego przyjęcia z uwagi na fakt, że nie było na nim znaczka skarbowego za dwieście franków, która to kwota miała pokryć koszty administracyjne.

Znaczki skarbowe, zgodnie z regulacją wprowadzoną wyjątkowo na ten jeden dzień, należało kupić w urzędzie pocztowym przy stanowisku z napisem "paczki". Na poczcie nie

mieli znaczków tańszych niż dwieście pięćdziesiąt franków, wziąłem więc, jaki mieli. W ministerstwie finansów uznano

moje postępowanie za niewłaściwe i sprzeczne z obowiązującymi zasadami. Postanowiono odwołać się do decyzji inspektora. Niestety, jak stwierdzono z żalem, inspektor został "zatrzymany na służbowym obiedzie", ale miał niebawem wrócić. Tego dnia wszakże nie wrócił. Spotkałem tam wierzącego w przeznaczenie taksówkarza, człowieka z plemienia Fulanów, wyciszonego, czerpiącego w tych tak niepomysłnych czasach pociechę ze swej muzulmańskiej religii. On także zaangażowany był w nie lada przedsięwzięcie - aby opłacić rachunek za elektryczność, miotał się między jednym urzędem a drugim, próbując wziąć któryś z nich przez zaskoczenie. Witano go z coraz większym niezadowoleniem i chyba jako karę za swój nieprzyzwoity pośpiech potraktował fakt, że mój kawałek papieru został postemplowany przez stosowne władze i że znalazłem się na kolejnym etapie załatwiania sprawy już po trzech godzinach. Następnego dnia odwiedziłem powtórnie urząd, od którego zacząłem, i wymieniłem papiery na jakieś inne, także w trzech egzemplarzach; te z kolei wymieniłem po kilku godzinach na jeszcze inne, ostemplowane w urzędzie na drugim końcu miasta (z krótkim powrotem do punktu wyjścia po kolejne znaczki skarbowe). W ministerstwie finansów natknąłem się na mojego taksówkarza, pogrążonego w modlitwie, przekonanego, że tylko interwencja sił wyższych może mu pomóc. Poszedłem w swoją stronę. Z końcem następnego dnia wydałem już prawie dwieście funtów i zmierzałem ku końcowi mojej odysei. Mężczyzna z prefecture, z którym miałem do czynienia na samym początku, przyjął mnie tym razem z radością i przegonił innych petentów, by móc mi zaoferować krzesło.

35

- Gratuluję! - powiedział, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. - Innym zajmuje to o wiele więcej czasu. Czy ma pan dokumenty, kwity i oświadczenie?

Przedłożyłem je natychmiast, a on wsunął wszystkie do teczki. ,

- Dziękuję. Proszę wpaść w przyszłym tygodniu.

Wzdrygnąłem się melodramatycznie.

- Zabrakło druków, ale spodziewamy się ich za kilka dni odparł z błogim uśmiechem.

Najwyraźniej jednak zaczynałem się adaptować, bo twardo upierałem się przy swoim, rzucałem argumenty mocne a zjadliwe i opuściłem biuro z tymczasowymi dokumentami oraz całą teczką pod pachą.

Podróż do Gouny - pierwszy zjazd z głównego szlaku - odbywała się w strugach ulewnego deszczu, ale minęła bez przeszkód. Droga była wyasfaltowana i jak na tutejsze warunki -,

dobrze. Uprzedzony o niektórych jej osobliwościach, wolno przemieszczałem się z płaskowyzu ku równinie, a temperatura rosła, jakbym wjeżdżał do pieca. Jednym z głównych niebezpieczeństw jazdy samochodem w tych okolicach były nierówności szosy, mające spełniać rolę ograniczników prędkości. Szerokość mostów, które leżały na trasie, pozwalała na, jeden kierunek ruchu. Aby zapobiec wjeżdżaniu na nie z niebezpieczną prędkością, władze roztropnie kazały ułożyć w poprzek drogi, z jednej i drugiej strony mostów, po dwa rzędy cegieł - nie postawiono natomiast, przynajmniej za moich czasów, informujących o pułapce znaków drogowych. Wypalone; wraki samochodów osobowych i ciężarówek, których kierowcy nie byli świadomi owego "ostrzeżenia", tkwią w korytach rzek. Wielu prowadzących te pojazdy zginęło. Oglądanie

nowych wraków przy drodze było sposobem na nudę towarzyszącą jeździe wśród wyglądających wszędzie tak samo zarośli. Kiedy podróżowało się przez busz taksówką, każdy nowy wrak stanowił okazję do opowieści podejmowanych przez dobrze poinformowanych współpasażerów. Oto ciężarówka z Czadu, która stanęła w płomieniach, ponieważ pękł zbiornik paliwa. Tam zaś jest szkielet motocykla, którym je-, chało dwóch Francuzów. Wpadli na cegły z prędkością ponad stu dwudziestu kilometrów na godzinę i rzuciło ich na balustradę mostu.

36

Żeby jednak podróżni mający pewne doświadczenie nie stali się zbyt pewni siebie, odcinki szosy o gorszej nawierzchni miejscowe władze zaleciły oznaczać granitowymi okrągłakami, które stawały się niewidoczne o zmierzchu. Przez jeden z nich kiedy indziej omal nie straciliśmy życia - ja i moi przyjaciele. Tymczasem udało mi się przejechać szczęśliwie dwieście kilometrów i po raz pierwszy patrzyłem z bliska na busz, wioski, machające samochodom dzieci i stopy pochryznu sprzedawane przy drodze. Przypadał właśnie kulminacyjny moment pory deszczowej, koniec lipca, krajobraz tworzyła więc masa karłowatych zielonych krzewów i traw. Pożary podczas pór suchych sprawiały, że nie rosły tu żadne drzewa, i w oddali widać było szczyty górskiego łańcucha Godet, poszczerbione kły nagiego granitu, gdzie żyli Dowayowie.

Kilka godzin później dotarłem do Gouny i bezskutecznie szukałem zaznaczonej na mapie stacji paliw. Po prostu nie istniała. Wielkie są różnice w przedstawianiu terenu na mapach wydawanych przez Ordnance Survey* i na mapach francuskich, w które się zaopatrzyłem. W przeciwieństwie do brytyjskich mówiły mi niewiele o przejściach przez rzeki oraz o tym, czy kościoły mają strzeliste wieże, za to przykładały wielką wagę do restauracji i imponujących widoków. Z owej francuskiej mapy wynikało, że dane mi będzie przemieszczać się z łatwością z jednego miejsca zmysłowych rozkoszy do drugiego.

Przez pierwsze piętnaście kilometrów polnej drogi jechało się względnie wygodnie. Po obu jej stronach rozciągały się zadbane pola, z łatwością rozpoznałem kukurydzę, która okazała się wszakże prosem, przeplatany połaciami szerniałych zarośli. Przydrożne ogródki okopywali motykami ludzie, których przyjechałem zobaczyć, Dowayowie. Zrobili na mnie korzystne wrażenie. Uśmiechali się i machali, przerywając swoje czynności, by śledzić wzrokiem mój przejazd, i wszczynali ożywione dyskusje, próbując najwyraźniej mnie zidentyfikować. Droga stawała się coraz gorsza, aż wreszcie jej powierzchnię tworzyły same okrągłaki i głębokie dziury. Najwyraźniej zboczyłem z trasy. Wtedy nadbiegło dwóch małych

* Państwowy urząd kartograficzny, przygotowujący bardzo szczegółowe i staranne mapy Wielkiej Brytanii i Irlandii.

37

chłopców niosących buty na głowach, by uchronić je od kontaktu z błotem. Z ulgą stwierdziłem, że mówią po francusku.

A więc była to jednak droga. Nie taka zła? Bywała lepsza. Dowiedziałem się później, że fundusze na jej remont zniknęły w tajemniczych okolicznościach. Miejscowy sous prefet mniej więcej w tym samym czasie kupił sobie wielki, nisko zawieszony amerykański samochód. Uważano, że oddał sam sobie niedźwiedzią przysługę, gdyż stan drogi nie pozwolił mu jeździć owym autem do miasta. Chętnie zaoferowałem chłopcom podwiezienie do szkoły, która, jak mnie zapewniali, mieściła się niedaleko. Podskakując i trzęsąc się niemiłosiernie

na wybojach, braliśmy jeszcze innych chłopców, póki nie miałem ich siedmiu czy ośmiu.

Spotkawszy wreszcie moich Dowayów, nie bardzo wiedziałem, jak rozpocząć rozmowę. - Wszyscy jesteście Dowayami? - spytałem.

Zapadła zupełna cisza. Powtórzyłem pytanie. Jak jeden mąż zakipieli gniewem. Wyniośle odzegnali się od jakiegokolwiek pokrewieństwa z tym niewiele wartym plemieniem psich synów. Musieli widać należeć do plemienia Dupa. Dali mi jasno do zrozumienia, że tylko idiota może pomylić jednych

z drugimi. Dowayowie mieszkali po przeciwnej stronie gór. Na tym rozmowa się skończyła. Po piętnastu kilometrach, albo i dalej, wysiedli przy szkole, wciąż trochę obrażeni, podziękowali jednak grzecznie. A ja wbrew trudnościom brnąłem naprzód.

Zgodnie z moją mapą Poli powinno być sporym miasteczkiem. Brakowało wprawdzie informacji o liczbie mieszkańców, ale wiedziałem, że to sous prefecture ze szpitalem, dwiema misjami, stacją paliw i lądowiskiem. Nawet na angielskich mapach o dużej skali przedstawiało się pokaźnie. Kojarzyło mi się z miastem wielkości Cheltenham*, choć może nie z tak okazałą jak tamtejsza architektura.

Tymczasem była to po prostu mała wioska. Jedyna ulica ciągnęła się na przestrzeni paruset metrów, z lepiankami albo chatami z aluminiowej blachy po obu stronach, i kończyła się niespodziewanie w płataninie krzewów masztem na flagę. Za* Miasto wielkości Gniezna w południowo-zachodniej Anglii.

38

wróciłem, szukając dalszego jej ciągu; zwyczajnie go nie było.

Mieścina przypominała miasteczko na Dzikim Zachodzie, gdzieś w Meksyku, podczas sjesty. Kilka obdartych postaci sнуło się ulicą i gapiło się na mnie. Szyld obwieszczał istnienie baru - chaty o przygnębiającym widoku, upstrzonej reklamami loterii krajowej i hasłami kampanii przeciw analfabetyzmowi, z mnóstwem okrągłych sformułowań w rodzaju:

"Człowiek dorosły nie potrafiący czytać i pisać, pozbawiony informacji, stanowi przeszkodę w podejmowaniu inicjatyw służących podniesieniu ogólnego poziomu państwa". Nie bardzo wiadomo, jak analfabeta miałby przeczytać to hasło. W barze nie było żywego ducha, ale siadłem na stołku i czekałem, posępnie kontemplując morze Mota upiększające ulicę.

Na całym świecie bary są miejscem, gdzie odczuwa się atmosferę miejscowości, ogólne jej położenie w danej chwili,

i ten bar nie stanowił wyjątku. Po dziesięciu minutach pojawił się mężczyzna o chytrym spojrzeniu i powiedział mi, że nie

mam po co siedzieć, bo piwo skończyło się przed trzema tygodniami. Następna dostawa spodziewana jest w ciągu dwudziestu czterech godzin. Tutejsza choroba na optymizm była

mi już znana, wstałem więc i wyszedłem, kierując się ku misji protestantów.

Misja okazała się zbiorowiskiem domów krytych blachą ocynowaną - co, jak zauważyłem, było w stylu wszystkich

misji - zgrupowanych wokół kościoła o żużlobetonowych

ścianach z falistym, strzeliście zakończonym dachem. Wszystkim kierował amerykański pastor o dzikim spojrzeniu, który

mieszkał tu z rodziną i pracował w misjach od dwudziestu

pięciu lat. Była to filia misji z Ngaoundere, zaproponowano mi

więc uprzejmie gościnę, póki nie zainstaluję się w swojej wsi.

Jedno mnie tylko dziwiło: gdziekolwiek pytałem o misję w Poli,

ludzie natychmiast uciekali ze wzrokiem lub odpowiadali wymijająco. Mówili o zmęczeniu buszem, o osamotnieniu, o upałach. Ledwie zobaczyłem pastora Browna, zrozumiałem

wszystko. (Brown to nieprawdziwe nazwisko, mogą więc państwo uznać pastora za postać fikcyjną).

Wychynał z domu dziwaczny osobnik, obnażony do pasa, z wielkim brzuszyskiem. Na głowie miał topi, hełm tropikalny w kolonialnym stylu, który zdecydowanie kontrastował

39

z jaskrawoczerwonymi okularami przeciwsłonecznymi. W dłoni dzierżył potężny pęk kluczy i kombinerki. Przez cały czas

kiedy miałem do czynienia z Herbertem Brownem, nigdy nie

słyszałem, by dokończył zdanie, mimo że wymawiając zaledwie cztery wyrazy, posługiwał się trzema językami jednocześnie, przestawiając się z angielskiego na

język Fulanów,

z języka Fulanów na francuski i z powrotem. Krótki, gwałtowny wybuch słów kończyło fulańskie przekleństwo albo

gest, albo zmiana tematu. Podobny był też jego styl życia.

Przerywał zajęcia z religii, by przystąpić do spawania ramy roweru w warsztacie, który był całą jego radością, zostawiał

spawanie, by rzucić się z pięściami na stary generator, który źle

się sprawował, pędził do domu sporządzać mikstury od kaszlu, nie sprawdzwszy, czy bicie generatora przyniosło efekt,

a po drodze często gęsto natykał się na konieczność przegonienia kóz z ogrodu albo wygłoszenia kazania o szkodliwości zaciągania pożyczek. Temu wszystkiemu towarzyszyły krzyki

i wybuchy złości, rozpacz i frustracja, które sprawiały, że purpurowiał na twarzy, a obserwatorzy lękali się o jego życie.

Święcie wierzył w Szatana, z którym pozostawał w stałym,

bolesnym zwarciu. Dlatego nic, co usiłował zrobić dla ludzi,

nie udawało się. Traktory, które sprowadzał, rozlatywały się

na kawałki, pompy się psuły, waliły się budynki. Swoim życiem tkwił w nie

słabnącym wirze walki przeciw entropii sztukując, naprawiając, pożyczając trochę stąd, by załatać tam,

używając jednego, by podtrzymać drugie, piłując, odcinając, przybijając, kując.

Miejsce to, pogrążone w atmosferze szaleńczego napięcia,

stanowiło ogromny kontrast z pobliską misją katolicką, gdzie

panował spokój i porządek. Kierował nią francuski ksiądz

z dwiema "matkami", czyli siostrami sporządzającymi lekarstwa. Były tam nawet

kwiaty. Dowayowie wiedzieli, jak wyjaśnić tę sytuację; podkreślali, że

protestant jest kowalem.

U Dowayów kowale stanowią osobną grupą, z którą kontakty powinny być

skrupulatnie ustalane. Kowale nie mogą wstępować w związki małżeńskie z innymi Dowayami, jeść razem

z nimi, czerpać wspólnie z nimi wody ani też wchodzić do ich

domów. Kowale bowiem zakłócają porządek hałasem, zapachem i dziwnym sposobem mówienia.

Zaprowadźcie mnie do waszego wodza

W Afryce dni zaczynają się wcześniej. W Londynie zwykłem wstawać pół do dziewiątej - tutaj wszyscy byli na nogach już o piątej trzydzieści, ledwie

robiło się jasno. Gdy

z wielką punktualnością budziły mnie pokrzykiwania i odgłosy kutego metalu, wiedziałem, że misjonarz przystąpił do

zajęć. Przeznaczono dla mnie duży budynek starej misji. Nie

zdawałem sobie wówczas sprawy, z jakiego korzystam luksusu; ostatni raz miałem do czynienia z bieżącą wodą, że nie

wspomnę o prądzie. Niezmiernie zdziwiła mnie chłodziarka

naftowa - po raz pierwszy widziałem jedno z tych monstrów.

Kapryśnie nieprzewidywalne - ongi przedmioty pierwszej

potrzeby w buszu - stały się rzadko spotykane i zbyt kosztowne z chwilą wprowadzenia elektryczności. Z czystej przekory spontanicznie rozmrażały się i niszczyły miesięczne zapasy mięsa albo emitowały dość ciepła, by spopielić wszystkich obecnych. Należało je chronić przed przeciągami, wilgocią, nierównościami podłogi, a wówczas, jeśli dopisało szczęście, zapewniały uprzejmie stosunkowo umiarkowane chłodzenie. W Kamerunie, wobec różnorodności języków i ich zniekształceń, występują też inne zagrożenia. Angielskie paraffin (nafta) i petrol (benzyna) mieszają się z francuskimi petrole (nafta) i essence (benzyna) oraz amerykańskimi kerosene (nafta) i gas (benzyna). Znane były przypadki, gdy zapobiegliwi służący dolewali do lodówek naftowych benzyny, naturalnie z opłakanym skutkiem. Zajrzałem do środka: leżały

tam starannie ułożone torby z wielkimi żółtymi termitami.

40 f~ 41

Zdawały się kłębić nawet po śmierci. Nigdy nie potrafiłem zmusić się do zjedzenia więcej niż jednego lub dwóch owych ł afrykańskich przysmaków, w których Dowayowie niepoprawnie gustują. Owady te wyrajają się z początkiem pory ',, deszczowej i lgną do światła. Najpopularniejszym sposobem ich łowienia jest umieszczenie go w wiadrze z wodą. .:'

Gdy dotrą do światła, tracą skrzydła i wpadają do wody, skąd są wyławiane, a ich tłuste ciała pieczone albo jedzone na ; surowo.

Po dniu wytchnienia znów przyszedł czas na kontakt z administracją. W misji w Ngaoundere ostrzegano mnie, żebym nie zapomniał zameldować się w miejscowej siedzibie policji i przedstawić się miejscowemu sous-prefetowi, reprezentującemu rząd. Uzbroiłem się zatem we wszystkie dokumenty i ruszyłem na piechotę do miasta. Chociaż dystans nie przekraczał półtora kilometra, wyglądało na dużą ekscentryczność ze strony białego człowieka pokonywanie go spacerem. Ktoś spytał, czy popsuł mi się samochód. Wieśniacy wybiegali i ściskali mi dłoń, trajkocząc nieźbornie w języku Fulanów. W Londynie nauczyłem się podstaw tego języka, a w każdym razie potrafiłem powiedzieć: "Przepraszam, nie mówię w języku Fulanów". Ponieważ powtarzałem sobie to zdanie wielokrotnie, wypowiadałem je dość płynnie, co jedynie potęgowało niemożność dojścia do porozumienia. Posterunek policji obsadzony był piętnastoma uzbrojonymi po zęby żandarmami. Jeden z nich polerował lekki karabin maszynowy. Komendant okazał się ogromnym Południowcem, mierzącym ze sto dziewięćdziesiąt centymetrów. Wezwał mnie do swojego pokoju i drobiazgowo przejrzał dokumenty. Jaki jest powód mojego pobytu? Przedstawiłem zezwolenie na prowadzenie badań, papier robiący największe wrażenie, pokryty fotografiami i stemplami. Funkcjonariusz wyglądał na głęboko nieszczęśliwego, gdy próbowałem objaśnić istotę antropologicznych' dociekań.

- Po co to? - pytał.

Wybierając pomiędzy zaimprovizowaną wersją wykładu

"Wstęp do antropologii" i czymś mniej rozbudowanym, odparłem cokolwiek mętnie:

- To moja praca.

Później dopiero zdałem sobie sprawę, jak bardzo satysfakcjonujące musiało być takie wyjaśnienie dla urzędnika, który spędza większość swego życia na jałowym przestrzeganiu reguł stanowiących cel sam w sobie. Przypatrywał mi się uważnie spod przymkniętych powiek. Spostrzegłem wówczas, że ma w ustach szpilkę. Przytrzymał ją językiem, tępym końcem

na zewnątrz. Zgrabnym ruchem wsunął ją całkowicie do ust, tam dokonał zmiany jej położenia tak, że ukazała się w innej części warg, wystając ostrym końcem. I znów do środka, i tępy koniec na zewnątrz, i do środka... Ta zabawa do złudzenia przypominała ruchy węzowego języczka. Wyczuwałem czekające mnie kłopoty i okazało się, że miałem rację. Tymczasem jednak pozwolił mi odejść jak ktoś, kto pozwala łobuzowi wziąć dość sznura, by mu starczyło na stryczek. Moje nazwisko i dane personalne zostały zapisane w przepastnej księdze, która przypominała spisy niepożądanych osób w ambasadzie w Londynie. Sous prefet mieszkał w wilgotnym, odrapanym domu z czasów francuskich kolonizatorów. Mchy i pleśń towarzyszyły każdemu pęknięciu i każdej szczelinie jego fasady. Na wzgórzu nad miastem sous-prefet wznosił olśniewający nowy pałac, który jednak stał pusty - nie działała klimatyzacja, kafłowej podłogi nie dotknęła stopa ludzka. Wyjaśniano ów stan rzeczy na kilka sposobów. Niektórzy twierdzili, że rząd skonfiskował pałac jako dowód korupcji. Dowayowie, gdy już ich poznałem, opowiadali inną historię. Dom został postawiony, mimo ich protestów, na ziemi, gdzie dawniej grzebano zmarłych. Dowayowie nie chcieli, jak twierdzili, nikogo straszyć, nie musieli nikogo straszyć, znali przecież duchy swoich przodków. Poinformowali jedynie sous-prefeta, że w dniu, w którym się tam wprowadzi, umrze. Tak czy siak, ten nie wprowadził się do nowego domu, a jedynie przyglądał się mu z okiem starego.

Wysłuchawszy, co mam do powiedzenia, surowy służący wprowadził mnie do środka. Uderzający był fakt, że ukląkł, nim odważył się odezwać do swego pracodawcy.

Uprzedzono mnie zawczasu, że prezent w postaci papierosów zostanie "zaakceptowany", papierosy zostały więc wręczone i łaskawie przyjęte, by zniknąć pośpiesznie pod fałdzistą

42 ~ 43

suknią. Ja dalej stałem, służący klęczał, a sous prefet siedział. Moje dokumenty zostały po raz kolejny wnikliwie sprawdzone. Zacząłem się obawiać, czy nie zużyją się, nim opuszczę ten kraj.

- Wykluczone - stwierdził beznamiętnie. - Nie może pan zostać w Poli.

Było to coś w rodzaju przykrej niespodzianki; sądziłem, że przyszedłem z wizytą kurtuazyjną.

- Zgoda na przeprowadzenie badań uzyskana, w Jaunde zauważyłem ostrożnie - pozwala mi tu przebywać.

Zapalił jednego z moich papierosów.

- Tutaj nie jest Jaunde. Nie ma pan mojej zgody.

Zdecydowanie nie był to stosowny moment na przepływ jakiegokolwiek gotówki pomiędzy nami, tym szczególnie, że leciwy członek świty dostojnika wciąż tkwił na klęczkach, świadom każdego wypowiedzanego przez nas słowa.

- W jaki sposób mogę uzyskać pańską zgodę? - obstawałem przy swoim.

- Wystarczy list od prefekta, zwalniający mnie z odpowiedzialności. Prefekta znajdzie pan w Garoua.

Odrócił głowę i zajął się swoimi papierami. Posłuchanie dobiegło końca.

Wróciłem do misji. Pastor Brown najwyraźniej uznał taki bieg wypadków za uzasadnienie swego pesymizmu. Moje niepowodzenie wzruszająco podniosło go na duchu. Powątpiewał też, czy uda mi się dostać do prefekta, nawet jeśli będzie

akurat tam, gdzie ma być, a nie w stolicy, skąd wróci nie wcześniej niż za parę miesięcy. Jego własne życie obfitowało w wiele zawodów tego rodzaju. Wszystko było beznadziejne, ot, Afryka. Odszedł, chichocząc. Obliczyłem, że mam dość benzyny, by dotrzeć do Garoua, leżącego w odległości około stu sześćdziesięciu kilometrów, i postanowiłem wyruszyć o brzasku następnego dnia. Kiedy wyszedłem rano z domu, zaskoczył mnie widok wielkiej liczby osób, czekających z przekonaniem, że będą mogli mi towarzyszyć. Jest coś tajemniczego w sposobie, w jaki rozchodzą się wiadomości tego rodzaju. Ludzie Zachodu często nie zdają sobie sprawy, jak uważnie są obserwowani. Wystarczy, by miejscowi spostrzegli, że sprawdzasz poziom paliwa, a natychmiast zasypią cię prośbami o podwiezienie. Odmowa w ogóle nie wchodzi w grę. Kto zarzuca Europejczykom paternalizm, ten nie potrafi dostrzec relacji, które tradycyjnie istnieją w większej części Afryki pomiędzy biednymi i bogatymi. Człowiek, który dla ciebie pracuje, nie jest jedynie twoim pracownikiem - raczej ty jesteś jego dobrodziejem. I jest to związek oparty na bardzo niejasnych warunkach. Jeśli zachoruje jego żona, będzie to w równym stopniu twój, jak i jego problem, będzie się od ciebie oczekiwało, że zrobisz co w twojej mocy, by ją leczyć. Jeśli chcesz cokolwiek wyrzucić, on jako pierwszy musi oświadczyć, że także tego nie chce. Ofiarowanie tej rzeczy komu innemu nie byłoby właściwe. Bez mała nie sposób wytyczyć linii pomiędzy tym, co jest twoją sprawą, a co jego prywatnym życiem. Nierozważny Europejczyk, jeśli nie jest wyjątkowym szczęśliwcem, szybko uwikła się w skomplikowane powinności. Zły to znak, gdy zatrudniony przez ciebie człowiek zaczyna zwracać się do ciebie "ojcze". Rychło usłyszysz historyjkę o nie opłaconym wianie albo padłym bydle i poczytane ci będzie za najczystsza zdradę, jeśli nie weźmiesz na siebie części owego brzemienia. Granica pomiędzy "moje" i "twoje" jest przedmiotem nieustannych renegocjacji, Dowayowie zaś są równie dobrzy w czerpaniu korzyści z powiązań z bogatymi, jak i wszyscy inni. Niezrozumienie faktu, że wzajemna zależność pojmowana jest niejednakowo przez obie strony, prowadzi do rozmaitych tarć. Ludzie z Zachodu zawsze mają coś do zarzucenia "śmiałości" albo "bezczelności" swoich pracowników (dzisiaj już nie nazywa się ich "chłopcami na posyłki" czy "służącymi"), którzy uprzejmie oczekują, że pracodawcy będą ich otaczać troską i zawsze wydobędą z tarapatów. Z początku, w sytuacjach takich jak ta, czułem się bardzo zmieszany. Wydawało się, że nigdy nie będę mógł zrobić niczego spontanicznie ani udać się donikąd, nie wlokąc za sobą owego ogromnego balastu powinności. Co przykrzejsze, kiedy już dotarło się do miasta, pasażerowie okazywali najwyższe niezadowolenie, gdy w ślad za podwiezieniem nie szła, automatycznie, pożyczka na sfinansowanie ich pobytu. To ja przywiozłem ich w to obce miejsce, nie do pomyślenia jest więc, bym ich pozostawił na łasce losu.

44 45

Jednakże za pierwszym razem nie wiedziałem tego wszystkiego i załadowałem ich tyłu, ilu mogłem. I znów europejskie i afrykańskie wyobrażenia są całkowicie rozbieżne. Wedle tutejszych standardów samochód, w którym siedzi sześć osób, jest

pusty. Jakiegokolwiek uwagi, że nie ma więcej miejsca, przyjmowane są za oczywiste nieporozumienie. Ograniczywszy w końcu liczbę chętnych poprzez dość zdecydowane przedstawienie swoich racji - Afrykanie oczekują tego od ludzi Zachodu, którzy naprawdę mówią to, co myślą - narażony zostałem na kolejną dokuczliwość w postaci wyciągania pośpiesznie z ukrycia bagażu wszelkiego rodzaju i przytwierdzania go do dachu owymi wszechobecnymi paskami gumy, wycinanymi z dętek.

Porządnie spóźniony, wyruszyłem w końcu do Garoua samochodem uginającym się od brzemienia. Wkrótce dały o sobie znać rozmaite osobliwe cechy pasażerów.

Dowayowie

nie są zawołanymi podróżnikami i źle znoszą środki lokomocji. Po dziesięciu minutach trzech czy czterech wymiotowało z zapalem gdzie popadło, nie zadając sobie trudu zrobienia

użytku z okna. Kierowca miał zdecydowanie złe samopoczucie, gdy dotarł do granic miasta, by poddać się kolejnej kontroli dokumentów. O ile samotny biały człowiek nie zwraca

wielkiej uwagi policji, o tyle staje się przedmiotem pewnego zainteresowania, gdy ciągnie z sobą tylu Afrykanów. Policja starała się więc dociec, dokąd i w jakim celu się przemieszczam.

Obecność słowa "doktor" w moim paszporcie walenie przyczyniła się do rozwiania wątpliwości, moi pasażerowie nie

mieli wszak tyle szczęścia. Podczas gdy ja próbowałem wyjaśnić brak karty rejestracyjnej samochodu, pokazując sierżantowi dokumenty, które roztropnie zabrałem z Ngaoundere, od

moich pasażerów, żałośnie uprzednio uszeregowanych, żądano przedstawienia kwitów podatkowych z trzech ostatnich lat,

dowodów tożsamości oraz legitymacji jedynej istniejącej w kraju partii. Nie potracili sprostać zadaniu, co było powodem dalszego opóźnienia. Stało się jasne, że niewiele osiągnę przed południową sjeścią.

Garoua jest osobliwym miastem, usytuowanym nad brzegami "rzeki" Benoue, koryta, w którym z różnym natężeniem występuje woda - w okresie deszczowym rwąca niczym

Mississippi, w porze suchej zwilżająca jedynie piasek. Szacunek miasta dla kapryśnej rzeki wyjaśnia ostry zapach ryb, otaczający je niczym całun dymu.

Przetwórstwo ryb stanowi jedną z głównych gałęzi tutejszego przemysłu, liczą się też browary i administracja. Piwo wprawia Dowayów w zachwyty szczególnego rodzaju. Są gorliwymi klientami warzelni produkujących trunki o nazwie "33", ślad francuskich czasów.

Jego wyjątkowa jakość pozwala człowiekowi przejść wprost

z trzeźwości do kaca bez pośredniego stanu upojenia alkoholowego. Fabryczne mury wykonano ze szkła, można więc zobaczyć butelki, sunące bez ingerencji człowieka od jednego

etapu procesu wytwórczego do drugiego. Wywiera to na Dowayach tak głębokie wrażenie, że całymi godzinami przyglądają się owemu zjawisku. Dla jego opisanie używają słowa

gerse, które oznacza "cud", "dziwo", "magia". W tym właśnie kontekście usłyszałem po raz pierwszy termin, który później tak bardzo zajmował mnie jako antropologa. Był on także bogatym źródłem przenośni dla pojęć metafizycznych.

Dowayowie wierzą w reinkarnację. Wyjaśniali, że ona jest jak piwo w Garoua; ludzie to butelki, które trzeba napełniać duchem. Umieranie i pochówki były odsyłaniem pustych butelek z powrotem do fabryki.

Obawiając się najgorszego, oczekiwałem, że spotkanie z prefektem, jeśli go w ogóle zastanę, zabierze mi kilka kolejnych

dni. Władało mną uczucie spokojnego fatalizmu. Wszystko

będzie trwało tyle czasu, ile ma trwać - nie warto się martwić.

Jedną z cech charakteryzujących badacza pracującego w terenie jest umiejętność posługiwania się dodatkowym "biegiem", który może on w takich sytuacjach wrzucić, pozwalając, by przeciwności losu zrobili swoje. Nie nawiązawszy jeszcze kontaktów, które są dla antropologa bardzo pożyteczne podczas zwiedzania miasta, wynająłem hotel. Garoua szczyliła się posiadaniem dwóch hoteli:

nowoczesnego Novotelu dla turystów, gdzie noc kosztowała jedyne" trzydzieści dolarów, oraz podniszczonego kolonialnego obiektu francuskiego, gdzie nocowało się za ułamek tej kwoty. Ta druga wersja była zdecydowanie bardziej w moim stylu. Obiekt zbudowany został najwyraźniej jako miejsce

46 ~47
odpoczynku i rekreacji dla oszalałych od nadmiaru słońca francuskich urzędników z odosobnionego zakątka imperium. Tworzyły go chatki o dachach z trawy, urządzone na wojskową modłę, ale z wodą i elektrycznością. Na wielkim tarasie elita mogła siedzieć i popijać napoje, gdy słońce zachodziło za drzewami. Nastrój był niezmiernie romantyczny, zwłaszcza że nie dało się zapomnieć o reszcie Afryki - ryk lwów w pobliskim zoo wciąż o niej przypominał.

W tymże hotelu spotkałem kobietę, znaną jako pani Ku-iii. Bez względu na porę roku temperatura w Garoua jest co najmniej o pięć stopni wyższa niż w Poli, a za sprawą rzeki roi się tu od komarów ~ Po przymusowym pobycie w zamkniętej przestrzeni z wymiotującymi Dowayami miałem ogromną ochotę na prysznic. Jeszcze dobrze nie odkręciłem kurka, gdy od drzwi dobiegł mnie suchy, uporczywy, skrzypiący dźwięk, w dodatku nieczuły na wszelkie próby nawiązania kontaktu słownego. Owinąwszy się ręcznikiem, otworzyłem drzwi. Stała za nimi wyjątkowo duża Fulanka w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Zaczęła uśmiechać się głupawo i bojaźliwie zakreślać w pyle niewielkie kółeczka swoją wielką stopą.

- Tak? - spytałem.

Wykonała ruch jak przy picciu.

- Woda, woda.

Zacząłem coś podejrzewać; odezwały się nikłe wspomnienia reguł gościnności na obszarach pustynnych. Podczas gdy rozważałem zagadnienie, ona przemknęła spokojnie obok mnie, chwyciła szklankę i napełniła ją pod kranem. Ku mojemu przerażeniu zaczęła odwijać obszerne szaty. Portier musiał naturalnie wybrać sobie ten moment, by mi przynieść kawałek mydła, i opacznie interpretując sytuację, jał się wycofywać, mamrocząc słowa przeprosin. Stałem się ofiarą farsy.

Na szczęście lekcje języka Fulanów, które pobrałem na Wydziale Studiów Orientalnych i Afrykanistycznych, okazały się wielce pomocne. Krzyżąc "Nie życzę sobie!", dałem wyraz niechęci do jakiegokolwiek cielesnego kontaktu z ową kobietą, która do złudzenia przypominała mi Olivera Hardy'ego.

Wraz z chichoczącym portierem jak na komendę złapaliśmy ją - on pod jedno ramię, ja pod drugie - i wyprowadziliśmy na zewnątrz. Wracała później co godzina, niezdolna pogodzić się z faktem, że jej wdzięki nie zostały docenione, i krążyła pod drzwiami, pokrzykując "ku-iii", jak kot, który miauczeniem domaga się wstępu. W końcu mnie to zmęczyło. Nie miałem wątpliwości, że działa przy akceptacji kierownictwa hotelu, oświadczyłem więc, że jestem misjonarzem, przyjechałem z buszu zobaczyć się z biskupem i surowo potępiam podobne zachowania. Byli zszokowani i zmieszani, a kobieta zaczęła

mnie ignorować.

Tę właśnie historyjkę upodobali sobie Dowayowie, gdy siadywaliśmy wieczorami przy ognisku, by opowiadać niestworzone rzeczy. Mój asystent przećwiczył ze mną "historyjkę

o tłustej Fulance", jak opowieść tę nazwano, i gdy nadchodził moment owego "ku-iii", słuchacze pokrzykiwali, pękali ze śmiechu, przyciągali kolana do brody i turlali się po ziemi.

Historyjka przyczyniła się w znacznym stopniu do ugruntowania naszych dobrych stosunków.

Wizyta w biurze prefekta następnego dnia wniosła prawdziwą zmianę nastroju. Od razu poproszono mnie do środka. Prefekt był wysokim, bardzo ciemnym Fulanem. Wysłuchał mnie

i podyktował list przez telefon, po czym gawędziliśmy nader sympatycznie o polityce rządu związanej z tworzeniem szkół na obszarach pogańskich. Tymczasem przyniesiono list, który on podpisał i ostemplował, życząc mi powodzenia i "bon courage". Wyposażony w list, wróciłem do Poli.

Najważniejszą sprawą było teraz znalezienie asystenta i rozpoczęcie nauki języka. Asystent antropologa jest postacią podejrzaną nieobecna w etnograficznych sprawozdaniach. Powszechnie przyjęty model przedstawia antropologa jako samotną figurę, noszącą ślady bitew, która po przybyciu do wioski osiedla się i "chwytą język" w kilka miesięcy; można

czasem znaleźć wzmiankę o tłumaczach, bez pomocy których antropolog obywa się już po kilku tygodniach. Nieważne, że pozostaje to w jawnej sprzeczności ze wszelkimi znanymi doświadczeniami lingwistycznymi. W Europie ludzie uczą się w szkole na przykład francuskiego przez sześć lat, używając najrozmaitszych pomocy naukowych, wyjeżdżając do Francji, mając kontakt z literaturą, a mimo to z trudem potrafią sklecić parę zdań w tym języku, i to wyłącznie w obliczu absolutnej potrzeby. Tymczasem w terenie ktoś taki przeistacza

46 ~ 4-NiewinnyanVOpolog 49

się w cudotwórcę lingwistycznego, osiąga biegłość w języku znacznie trudniejszym dla Europejczyka aniżeli francuski, i to bez kwalifikowanych nauczycieli, bez tekstów dwujęzycznych, często bez opisu gramatyki i słowników. A przynajmniej takie wrażenie udaje mu się wywołać. Wiele można

oczywiście załatwić, posługując się rozmaitymi mieszankami językowymi czy samym angielskim, ale zwykle nawet się

o tym nie wspomina.

Wiedziałem, że potrzebny mi jest rdzenny Dowayo, który

zna także trochę francuski. Oznaczałoby to jednak, że ten ktoś chodził do szkoły, co z kolei, jak to w kraju Dowayów, pociągało za sobą fakt, że byłby chrześcijaninem. Było mi to nie

na rękę, gdyż właśnie tradycja religijna Dowayów należała do

dziedzin najbardziej mnie interesujących. Nie miałem jednak

wyboru; postanowiłem udać się do miejscowej szkoły średniej i spytać, czy znają kogoś o potrzebnym mi wykształceniu. Do szkoły jednak nie dotarłem.

Ubiegł moje zamiary jeden z przyuczonych przez misję kaznodziejów, który wiedział o moich poszukiwaniach i który,

tak się złożyło, miał dwunastu braci. Z rzadko spotykaną przedsiębiorczością zebrał ich i sprawił, że przemaszerowali z wioski w buszu odległej o ponad trzydzieści kilometrów, by mi się

przedstawić. Ten, wyjaśniał kaznodzieja, potrafi dobrze gotować i ma pogodną naturę. Nie mówi wszakże po francusku.

Ten potrafi czytać i pisać, gotuje okropnie, ale jest bardzo silny. Ten jest dobrym chrześcijaninem i umie ładnie opowiadać. Wyglądało na to, że każdy z

braci ma wiele cnót, a kaznodzieja znakomicie potrafi dobijać targu. W końcu wybrałem jednego z chłopców na okres próbny, wielkodusznie decydując się na tego, który nie potrafił wprawdzie gotować, ale najlepiej mówił, pisał i czytał po francusku. Uświadomiłem sobie wówczas, że powinienem był właściwie wybrać samego kaznodzieję, lecz stały temu na przeszkodzie jego zajęcia. Został zresztą później wyrzucony z misji z powodu skłonności do przypadkowych stosunków seksualnych. Przyszedł więc czas, bardzo zresztą spóźniony, wyjazdu na wieś. Dowayowie dzielili się na dwie grupy: na mieszkańców gór i mieszkańców równin. Każdy, z kim rozmawiałem, namawiał mnie, bym zamieszkał na równinach. Tamtejsi Dowayowie byli mniej barbarzyńscy, więcej z nich znało francuski, mniejszy problem stanowiło zaopatrzenie, miałbym też bliżej do kościoła. Dowayowie z gór byli dzicy i trudni; ostrzegano mnie, że i tak niczego mi nie powiedzą, a poza tym czczą Diabła. Mając do dyspozycji informacje tego rodzaju, antropolog może wybrać tylko jedno - góry. Jakieś piętnaście kilometrów od Poli leżała wioska Kongle. Choć usytuowana na płaskim terenie pomiędzy dwoma pasmami wzgórz, była to wioska górali. Mieszkał w niej, jak mi powiedziano, pewien bardzo stary mężczyzna, surowy tradycjonalista, posiadający tajemną wiedzę przodków. Droga była przejezdna. Toteż tam właśnie postanowiłem się osiedlić. Poprosiłem o radę mojego nowego asystenta, Matthieu. Przeraził się, dysząc, że chcę zamieszkać w buszu. Czyli nie będę miał wspaniałego domu i innych służących? Niestety, nie. Nie zamierzam chyba osiedlić się w Kongle - między dzikusami! Powinienem całą tę sprawę zostawić jemu, a on porozmawia z ojcem, człowiekiem z równin, który znajdzie coś dla nas w pobliżu misji katolickiej. Po raz kolejny wyjaśniłem mu, jaka jest istota mojej pracy. Podobny trud podjęli w kraju Dowayów jedynie lingwiści, którzy rozpoczęli analizę ich języka. Spędzili tu około dwóch lat, budując dom z cementu i otrzymując aprowizację drogą samolotową. Matthieu był niepokieszony, uświadomiwszy sobie, że w naszym przedsięwzięciu musimy zadowolić się skromniejszymi nakładami finansowymi, niż sądził. Doszedł do wniosku, że jego status jest uzależniony od mojego, i każde moje postępowanie, które choć w najmniejszym stopniu uchybiałoby mojej godności, traktował jak gorzką zdradę. Nadeszła wreszcie chwila na zawarcie znajomości z mieszkańcami wsi. Za radą Matthieu wzięłem trochę piwa oraz tytoniu i wyruszyliśmy do Kongle. Droga nie była najgorsza, choć należało pokonać dwie rzeki, które nie bardzo mi się podobały i w istocie okazały się pewną uciążliwością. Mój samochód lubił psuć się w połowie rzecznego koryta. Może nie byłoby to aż takie straszne, lecz wody potrafiły wzbierać w błyskawicznym tempie. Kiedy zaczynało padać, deszczówka, bez żadnych przeszkód, spływała po zbudowanych z czystego granitu górach, tworząc w dolinach rzek bez mała falę pływową.

50 ~ 51

Po obu stronach drogi rozciągały się pola, gdzie pracowali ludzie. Przerywali zajęcia i przyglądali się nam. Niektórzy czmychali. Jak się później dowiedziałem, sądzili, iż jesteśmy z sous-prefecture, a obcy zwykle oznaczali dla Dowayów kłopoty.

U stóp gór droga po prostu się kończyła - za palisadą z łądyg prosa i kaktusów leżała wioska.

Chaty Dowayów to okrągłe gliniane budowle o stożkowatych dachach. Zbudowane z miejscowej glinki i traw, prezentują

się malowniczo, niosąc oczom ulgę po brzydocie miast. Niczym wijące się wokół angielskich chat róże, na tutejszych dachach rosną podługowate płożące się melony. Za przykładem Matthieu wszedłem na teren o kształcie koła, znajdujący się przed każdą wioską Dowayów. Jest to miejsce, gdzie odbywają się publiczne spotkania oraz sądy, gdzie dopełniają się obrzędy i gdzie można zobaczyć rozmaite przedmioty istotne dla życia religijnego. Za tym okrągłym placem znajduje się kolejny plac, w którego obrębie Dowayowie trzymają należące do społeczności bydło. Przeszliśmy przez środek i wkroczyliśmy na podwórko naczelnika wioski. Nie jest to w zasadzie stosowne określenie: Dowayowie nie mają bowiem naczelników w rozumieniu wodzów dysponujących siłą i władzą. Francuzi próbowali stworzyć tego rodzaju figuranta, by za jego pośrednictwem rządzić i zbierać podatki. Nazwanie kogoś przez Dowayów waari opiera się jednak na klasyfikacji pochodzącej z dawniejszych czasów. Naczelnik to po prostu ktoś bogaty, czyli posiadający bydło. Ktoś, kogo stać na organizowanie świąt religijnych, stanowiących istotną część obrzędów. Biedni mogą dołączyć do świętujących bogaczy i uczestniczyć tym samym w rytuałach, na których odbywanie nie mogliby sobie inaczej pozwolić. Naczelnicy są więc bardzo ważnymi osobami. Niektórzy upodabniają się do członków dominującego w okolicy plemienia Fularów i próbują podwyższyć swój status, nie używając języka Dowayów także w rozmowach ze współplemieńcami. Udadają, że go nie rozumieją, mimo że jest to ich pierwszy język. Stąd też zdziwienie, gdy odmówiłem posługiwania się językiem Fularów, odwrotnie niż wszyscy biali, i upierałem się przy nauce języka Dowayów. Niektórzy naczelnicy przejęli też od fulańskich dostojników zwyczaj otaczania się przepychem. Przypasują miecze i mają umyślnego, który nosi ponad ich głową czerwony parasol. Niektórzy mają nawet piewce swych cnót, który podąża przed nimi i uderzając w bęben, przytacza listę ich wyjątkowych dokonań, zawsze w języku Fulanów. Jeśli chodzi o naczelnika Kongle, to była to całkiem inna para kaloszy. Gardził Dowayami podlegającymi wpływom akulturacji i dbał o to, by zwracać się do swoich ziomków wyłącznie w języku Dowayów. Stanęliśmy na wprost kobiety z obnażonymi piersiami, która uklękła przede mną i skrzyżowała ręce na genitaliach, okrytych znikomym pękiem liści. - Ona pana pozdrawia - wyszeptał Matthieu. - Proszę uścisnąć jej rękę. Zrobiłem to, a ona zaczęła kołysać się w przód i w tył na piętach, powtarzając śpiewnie "dziękuję" w narzeczu fulańskim, klaszcząc przy tym w dłonie. Zza chat ukradkiem wychylały się głowy. Ku mojemu najwyższemu zażenowaniu pojawiło się dziecko, które przyniosło jedno składane krzesło i postawiło je na środku podwórza. Należało na nim usiąść. Nie miałem wyboru, siadłem wywyższony i wyobcowany, czując się jak owe sztywne i bardzo brytyjskie postaci na fotografiach z epoki kolonialnej. Prawie wszędzie w Afryce różnice statusu są określane bardzo klarownie. Afrykanie we wszystkim mocno przesadzają. Ludzie przypochlebiają się i płaszczą, padają na kolana i biją pokłony w sposób trudny do zaakceptowania przez człowieka Zachodu; jednak lekceważenie podobnych zachowań uważane jest za skrajną niegrzeczność. Na początku mojego pobytu w Kongle ledwo przysiadłem na kamieniu na tym samym poziomie, co wszyscy pozostali, a robiło się okropne zamieszanie. Ludzie rozpaczliwie usiłowali coś zmienić, znaleźć się niżej ode mnie albo nalegali, żebym spoczął na macie. Siedzenie na macie, choć w istocie siedziałem niżej, podnosiło bowiem mój status. W taki oto sposób osiągnęliśmy kompromis.

Tymczasem cisza ciążyła nad nami coraz bardziej - czułem, że muszę coś powiedzieć. Jak już chyba wspomniałem, jedną z największych radości pracy w terenie jest to, że można sobie pozwolić na wszystkie rodzaje ekspresji, które w innych okolicznościach nigdy nie są stosowane.

52 53

- Zaprowadźcie mnie do waszego wodza! - zażądałem.

Kiedy moje słowa zostały przetłumaczone, wyjaśniono mi, że naczelnik już wraca z pola.

Zuuldibo stał się później moim przyjacielem. Był trochę po czterdziestce, przy kości, niezmiennie szeroko uśmiechnięty. Prezentował się olśniewająco w stroju fulańskim z mieczem i w okularach przeciwsłonecznych. Teraz wiem, że w chwili gdy się pojawiłem we wsi, Zuuldibo mógł robić wszystko, ale z pewnością nie był na polu. Nikt nie uprawia roli w takim stroju; co więcej, Zuuldibo nigdy w swoim życiu nie tknął pracy. Cały ten interes z rolnictwem uważał za niewypowiedzianie nudny i zdawał się cierpieć męki, gdy tylko wspomniano przy nim o pracach polowych. Rozpocząłem przygotowaną uprzednio mowę, opowiadając, jak to pokonałem wiele kilometrów, aby przybyć z kraju białych ludzi, ponieważ słyszałem o Dowayach wiele dobrego, zwłaszcza zaś o uprzejmości i prawej naturze ludzi z Kongle. Miałem wrażenie, że nieźle mi idzie. Chciałem więc zamieszkać wraz z nimi przez pewien czas, by poznać ich obyczaje oraz język. Wyraźnie podkreśliłem, że nie jestem misjonarzem, w co z początku nie chcieli uwierzyć, bo mieszkałem w misji i przyjechałem samochodem, który rozpoznali jako należący do misji. Nie wierzyli także, że nie miałem nic wspólnego z rządem, ponieważ widziano, jak kręciłem się przy sous-prefecture. Tego, że nie jestem Francuzem, nikt nawet nie potrafił pojąć; w opinii Dowayów wszyscy biali są tacy sami. Słuchali jednak uprzejmie, potakując głowami i mamrocząc: "To dobrze" albo "To prawda". Ochoczo przystali na to, że powrócę za tydzień, a tymczasem naczelnik przygotowuje dla mnie chatę oraz zakwaterowanie dla mojego asystenta. Wypiliśmy piwo i dałem im trochę tytoniu. Wszyscy byli zachwyceni.

Gdy odchodziłem, jakaś stara kobieta padła na ziemię, obejmując mnie pod kolana.

- Co ona mówi? - spytałem.

Matthieu chichotał:

- Mówi, że Bóg pana zesłał, żeby mogli słuchać pańskiego głosu.

Początek był lepszy, niż ośmielałem się przypuszczać.

W następnym tygodniu odbyłem następną wyprawę do miasta po zaopatrzenie i tytoń. Czarny tytoń nigeryjski, który Dowayowie tak bardzo lubią, sprzedawany jest w ich okolicach

cztery razy drożej niż w Garoua. Kupiłem więc wielką paczkę, by mieć czym płacić informatorom. Moja sytuacja finansowa pozostawała nadal krytyczna. Załatwiłem sobie, by przesyłano moją angielską pensję na kameruński rachunek bankowy. Kiedy pieniądze przyszły z Anglii, wysłano je rzekomo do stolicy dawnego brytyjskiego Kamerunu, do Victorii, stamtąd do Jaunde, następnie do Ngaoundere i wreszcie do Garoua. W rzeczywistości było inaczej; bank w Victorii potrafił sobie dziesięć procent tytułem opłaty manipulacyjnej i odesłał resztę sumy z powrotem do Anglii, pozostawiając mnie ssącego palec i zaciągającego coraz więcej długów w protestanckiej misji. Nie było sposobu na nawiązanie kontaktu z bankiem w Victorii - listy po prostu ignorowano, a telefony nie działały.

Podczas tej właśnie podróży dostałem ataku malarii po raz pierwszy. Początkowe objawy, gdy wyjeżdżałem z miasta,

miały postać lekkich zawrotów głowy. Zbliżając się do Poli, widziałem podwójnie i prawie nie dostrzegałem zarysu drogi. Wysokiej gorączce towarzyszyły napady dreszczy i rżnięcie w żołądku. Jednym z najbardziej przykrych symptomów choroby jest utrata kontroli nad zwieraczami. Kiedy człowiek wstaje, mocz cieknie mu na stopy. Co gorsza, istnieje nieskończenie długa Lista Lekarstw, z których jednak tylko niektóre należy stosować w czasie choroby, inne zaś przyjmuje się zapobiegawczo. Pigułki, które łykałem z tak wielką nadzieją, nie należały wszakże do leczących i mój stan pogarszał się coraz bardziej, a gorączka szybko uczyniła ze mnie majaczący wrak. Pastor Brown przyszedł, by mnie podnieść na duchu i użyć lekarstw, ostrzegając jednak, że "tutaj niczego nie można być pewnym". Lekarstwa okazały się jednak "pewne" i postawiły mnie na nogi, drżące wprawdzie, ale mogłem wyruszyć do wioski zgodnie z planem. Zanim jednak do tego doszło, spędziłem kilka koszmarnych nocy w malignie, dręczony przez nietoperze, dostające się do domu przez dziury w suficie. Wiele napisano o doskonałości aparatu nawigacyjnego tych

54 55
ssaków. To wszystko bzdura. Nietoperze tropikalne ciągle uderzają o rozmaite przeszkody, czemu towarzyszy głuchy łoskot. Specjalizują się w zderzeniach ze ścianami, po czym spadają, trzepocząc ci skrzydłami koło twarzy. Dlatego, ze swej strony, rekomendowałbym jako "wyposażenie niezbędne podczas badań terenowych" rakietę tenisową wobec jej niszczylielskiej efektywności w pozbywaniu się nietoperzy z pomieszczeń. Pastor Brown nie szczędził czasu, by opowiadać mi, jak to nietoperze przenoszą wściekliznę. Zwierzęta te zajmowały więc niepoślednie miejsce w moich gorączkowych fantazjach. Dopiero kiedy zacząłem pakować rzeczy przed wyjazdem, wyszło na jaw, że włamano się do mojego domu i skradziono połowę zapasów.

Czy niebo jest dla ciebie czyste?
Po wszystkich tych utrapieniach i próbach, na jakie wystawił mnie los, znalazłem się wreszcie wśród "swoich" ludzi, miałem asystenta, miałem pióro i papier. Zetknąwszy się z tyloma przeszkodami, doznałem wręcz wstrząsu, gdy uświadomiłem sobie, że mogę wreszcie "zająć się antropologią". A im dłużej przyglądałem się temu zadaniu, tym mniej przejrzyste mi się ono wydawało. Gdyby ktoś poprosił, żebym przedstawił wizerunek osoby z mojej branży, trudno byłoby mi określić, co taka osoba ma właściwie robić. Wiedziałem, że powinna chodzić po górach (i po drodze "zajmować się antropologią") albo sporządzać notatki (po "zajmowaniu się antropologią"). Pożądana była definicja dość szeroka, w rodzaju "uczenie się obcego języka za granicą". Uznałem, że każda minuta spędzona na rozmowie z Dowayami ma swoje uzasadnienie.

Wiązało się z tym sporo problemów. Po pierwsze, nie umiałem powiedzieć ani słowa w ich języku. Po drugie, rankiem nie zastałem w wiosce ani jednego Dowaya - rozpiezchli się po polach, motykując między pędami prosa. Cały dzień spędziłem na zastanawianiu się, jak uczynić moją chatę miejscem, gdzie mógłbym efektywnie pracować. Naczelnik uprzejmie użył mi dużego domostwa na skraju jego własnego terenu we wsi. Za najbliższych sąsiadów

miałem dwie żony i młodszego brata naczelnika. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że okazał mi znaczne zaufanie, oddając do mojej dyspozycji miejsce, które zwykle wyznaczał

57

krewnym najukochańszej z żon. Poprzedni lokator pozostawił po sobie mnóstwo niemożliwych do zidentyfikowania zawiniątek, dzid i strzał wetkniętych w strzechę. (Nie mogłem przestać myśleć o Mary Kingsley, która przebywając wśród ludu Fang, znalazła w swojej chacie ludzką rękę). Po rozpakowaniu się umieściłem swoje sprzęty na belkach dachu. Rozpiąłem mapę Poli zdobytą w stolicy. Mapa budziła ogromny podziw Dowayów, a ponieważ nie mogli pojąć jej istoty, prosili, bym wskazał wioski, w których nigdy nie byłem. Kiedy potrafiłem zadośćuczynić ich życzeniu, prosili, bym nazwał zamieszkujących wioskę ludzi, i nie rozumieli, dlaczego umiałem zrobić jedno, a drugiego już nie.

Jako kolejną oznakę szczególnej przychylności naczelnik przydzielił mi dwa składane krzesła, takie jak to, które widziałem podczas mojej pierwszej wizyty w Kongle. Okazało

się, że są to jedyne krzesła w całej wiosce, i ilekroć ktoś godny pojawiał się z wizytą u naczelnika, zabierano je z powrotem do jego chaty. Krażyły więc między nami na podobieństwo

smokinga, którym dzieliliśmy się z trzema innymi kolegami podczas studiów na uniwersytecie.

Umeblowanie mojej chaty stanowiło łóżko z ubitej ziemi najbardziej niewygodne łóżko, z jakim kiedykolwiek i gdziekolwiek miałem do czynienia. Za niewyobrażalną kwotę pieniędzy kupiłem sobie cienki materac wypchany bawełną, na który naczelnik spoglądał z zawiścią. Łóżka wzbudzały w nim silne emocje. Wyznał mi, że chciałby umrzeć na żelaznym łóżku, które zostawiłby w spadku synowi.

- Termyty nie dałyby rady go zjeść - chichotał wesoło. Byłyby wściekłe.

W ciągu trzech pierwszych tygodni lało z nieubłaganą gwałtownością. Powietrze było przesycone wilgocią. Pleśń pokazywała się na każdej nie osłoniętej powierzchni i bardzo się

bałem o obiektyw mojego aparatu. Spędzałem czas, próbując przyswoić sobie podstawy języka. Afrykanie są zwykle

dwu- lub trójjęzyczni, przynajmniej w pewnym zakresie, lecz

w większości przypadków nie mają żadnych doświadczeń

w uczeniu się języka inaczej jak podczas spotkań towarzyskich. Idea zapisywania czasownika we wszystkich jego formach, czasach, trybach dla zapoznania się z systemem gramatycznym jest im z gruntu obca. Uczą się swoich języków w dzieciństwie i z łatwością przechodzą z jednego na drugi.

Dowayowie nie zdawali sobie sprawy, jaką trudność może sprawiać ich mowa przybyszowi z Europy. Ich język jest językiem tonalnym i wysokość głosu podczas wymawiania wyrazu wywiera kolosalny wpływ na jego znaczenie. Wiele języków afrykańskich ma dwa tony, język Dowayów ma ich cztery. Nietrudno rozpoznać, czy ton jest wysoki, czy niski, ale pomiędzy nimi może być wszystko. Sprawę komplikował dodatkowo fakt, że Dowayowie operowali wysokością dźwięku

przy tworzeniu głosek przejściowych, wysokość dźwięku

mogła być też zakłócana przez sąsiednie wyrazy. Do tego

wszystkiego należało jeszcze dołożyć kwestie dialektów. Na

niektórych obszarach tony zlewały się ze sobą, używano także odmiennego słownictwa i innej składni. Ponieważ liczy się

ton względny, trudno mi było z początku przestawić się z rozmowy z kobietą o wysokim głosem na rozmowę z mężczyzną,

u którego tony wysokie mogły być mniej więcej na poziomie

tonów niskich u kobiety. Ale najbardziej przynębiało mnie coś,

co stało się bez mała normą. Spotykałem Dowaya i pozdrowiałem go. Nie miałem z tym żadnego kłopotu. Mój asystent

ćwiczył ze mną długo i wytrwale:

- Czy niebo jest dla ciebie czyste?

- Dla mnie niebo jest czyste. Czy dla ciebie także jest czyste?

- Dla mnie także jest czyste.

Przez to wszystko należało przejść przy każdym powitaniu.

Anglicy skłonni są nie przywiązywać wielkiej wagi do zwyczajów tego rodzaju, uważając je za zwykłą stratę czasu, lecz

Dowayowie nie spieszą się tak jak my i łatwo ich urazić, gdy

się je zaniedba. Po powyższym wstępie należało powiedzieć

coś nieistotnego, na przykład:

- Jak idzie w polu?

Albo:

- Skąd wracasz?

Twarze moich rozmówców wydłużały się w głębokim zdziwieniu. Mój asystent wtrącał się i mówił - słyszałem na

własne uszy - dokładnie to samo, co ja. Twarze się rozjaśniały:

58 59

- Aaa, rozumiem... - Przerywali na chwilę. - Ale dlaczego

on nie zna naszego języka? Jest przecież z nami już dwa tygodnie.

Dowayowie są tak złego zdania o swoim języku - nawet ich

naczelnicy nie chcą posługiwać się tym topornym, mało subtelnym narzędziem, niewiele lepszym od wycia zwierząt - że

trudno im pojąć, jak ktoś może mieć kłopoty z nauczeniem

się go. W rezultacie, jeśli o język idzie, są kiepskimi informatorami. Pokusa, by posługiwać się językiem handlu, językiem

Fulanów, była ogromna. Słyszałem o tym co nieco jeszcze

w Londynie, gdzie dostępne są rozmaite pomoce naukowe, słowniki i podręczniki. Utarło się jednak, że materiał "nie liczy się", jeśli

nie jest zgromadzony w języku rdzennym. I rzeczywiście, znalazłem rozmaitego rodzaju zniekształcenia w danych zebranych w języku Fulanów, który cały obszar

"nieczystych" zawodów: "kował, grabarz, fryzjer, wykonujący

obrzezanie, uzdrawiacz", przedstawia inaczej niż mowa Dowayów. Zgodnie z

wcześniej posiadanymi przeze mnie informacjami, zawody te miały być wykonywane przez jedną i tę

samą osobę, podczas gdy "kapłana" z grupy tej wyłączano.

Tymczasem u Dowayów najbardziej wyizolowany jest kował,

a pozostałe zajęcia dzielone są wedle innych kryteriów. Trzeba też wspomnieć, że Dowayowie nie rozmawiają zwykle

w języku Fulanów między sobą. W mojej wiosce był wprawdzie jeden mężczyzna, który nie chciał rozmawiać w innym

języku nawet z przyjaciółmi, ale był to typowy żart z gatunku,

w którym Dowayowie gustują. Człowiek ten, pracując w polu, uskarżał się głośno:

Jakże to tak? On, dostojny Fulan, ma

pracować z dzikusami? Wśród rosnącego zadowolenia słuchaczy wyliczał

skrupulatnie rozmaite wady Dowayów, tej

rasy psów, aż do chwili, gdy ludzie pokładali się ze śmiechu,

nie mogąc złapać tchu. Uważano za niezmiernie zabawne, że

upieram się w rozmowie z owym człowiekiem przy moim

ubogim języku Fulanów, i czasami odgrywaliśmy coś na kształt

przedstawienia na dwa głosy.

Nadużywanie języka handlowego byłoby dla mnie niekorzystne. Mogłbym z jego

pomocą przeprowadzać wywiady,

lecz nie prawdziwe rozmowy. Dowayowie posługują się

uproszczoną formą języka Fulanów, pozbawioną wszelkich

nieregularności. Sens słów zostaje niejednokrotnie zmieniony tak, by odpowiadał pojęciom Dowayów. Ponadto tylko dzięki znajomości ich własnego języka mogłem wychwytywać słowa przeznaczone nie dla moich uszu.

Pewnego razu wyruszyłem w góry do najdalszych zakątków kraju Dowayów. Wiele tamtejszych dzieci nigdy nie widziało białego człowieka, wrzeszczały więc przerażone, póki dorośli nie uciszyli ich i nie wyjaśnili, że to biały naczelnik z Kongle. Śmiałyśmy się razem z ich lęku i paliliśmy razem tytoń. Jestem niepalący, ale stwierdziłem, że palenie jest mi pomocne w dzieleniu się z tubylcami tytoniem i w zacieśnianiu więzi towarzyskich. Gdy się oddalałem, jedna z dziewczynek uderzyła w płacz i słyszałem, jak chlipie: "A ja chciałam zobaczyć, jak on zdejmie białą skórę". Zapamiętałem to zdanie, by spytać później, co miała na myśli - tajemnica dziwnych sformułowań tkwiła zwykle w błędnym interpretowaniu przeze mnie wysokości dźwięku lub w nieznanym jakiegoś homonimu. Gdy poprosiłem o wyjaśnienie, mój asystent wyglądał na bardzo zażenowanego. Zabrałem się więc do obłaskawiania go opracowaną specjalnie na podobne okoliczności metodą, poświęcając mu całą uwagę. Dowayowie są często wyśmiewani przez okoliczne plemiona za swoją "dzikość" i zamykają się w sobie na najłżejsze podejrzenie, że nie traktuje się ich poważnie. Z wielkimi oporami Matthieu wyznał mi, że według wierzeń Dowayów wszyscy biali ludzie mieszkający przez dłuższy okres w ich kraju są wcieleniem zmarłych czarowników. A zatem pod białą skórą, która nas skrywała, byliśmy czarni. Widziano, że kiedy idę spać, zdejmuję białą skórę i wieszam ją na wieszaku. Gdy jestem w misji, ja i inni biali ludzie zaciągamy na noc zasłony, zamykamy drzwi na klucz i zdejmujemy białe skóry. Naturalnie zadeklarował pogardliwie, że on w to nie wierzy, lustrując mnie wzrokiem od stóp do głów jakby z obawą, że mógłbym w jednej chwili powrócić do swojego czarnego wyglądu.

Te wierzenia wyjaśniały obsesyjne pragnienie prywatności u ludzi z Zachodu. Wyjaśniały także rozdrażnienie, którym Dowayowie reagowali czasami na moje potknięcia językowe po miesiącach pobytu wśród nich. Uważali je za bezsensowne próby maskowania mojej prawdziwej natury. I tak wszyscy

60 ~ 61

wiedzą, że potrafię zrozumieć to, co chcę. Dlaczego więc upieram się, że ich język jest mi obcy? Nie minął rok mojego pobytu wśród Dowayów, gdy usłyszałem, jak mówią o mnie

"nasz biały", i poczułem się dumny. Byłem pewien, że moje wysiłki na rzecz doskonalenia języka, choć niepełne i niedoceniane, odgrywały dużą rolę w "akceptowaniu antropologa".

Ale łatwo mówić o tym wszystkim po fakcie. W owych trzech pierwszych tygodniach wiedziałem tylko, że zabrałem się do nauki języka, którego nie sposób się nauczyć, że Dowayów nie ma w wiosce, która tonie w deszczu, że czuję się słaby i potwornie samotny.

W takiej sytuacji, jak większość antropologów, szukałem ratunku w zbieraniu faktów. Jestem pewien, że mnogość konkretnych danych w monografiach antropologicznych wywodzi się nie z właściwej im wartości czy zainteresowania nimi naukowców, lecz z postawy: "gdy wątpisz, zajmij się konkretnymi". Jest to w pewnym sensie podejście zrozumiałe. Naukowiec pracujący w terenie nie może zawczasu przewidzieć, co okaże się ważne. A skoro już zanotował jakieś dane w notesie,

odczuwa silną niechęć do pominięcia ich w monografii, pamięta je bowiem jako przebywane w skwarze kilometry lub godziny spędzone na "urabianiu" ludzi. Nie sposób poza tym dokonać selekcji, nie mając spójnego obrazu tego, co się chce osiągnąć - a większość monografii antropologicznych pisana jest przez ludzi, którzy za cel stawiają sobie "napisanie monografii antropologicznej" i nic ponadto.

Wychodziłem więc każdego dnia wyposażony w tytoń oraz notes i w szale nieuporządkowanej aktywności mierzyłem krokami pola, kalkulowałem wydajność, liczyłem kozy. Miało to przynajmniej tę zaletę, że Dowayowie otrzaskali się z moimi dziwnymi i niewytłumaczalnymi zachowaniami, ja zaś zacząłem poznawać ich imiona.

Sporo bzdur napisali ci, którzy ich pisać nie powinni, o tak zwanym "akceptowaniu antropologów". Sugerowano nawet czasami, że tubylcy zaczynają postrzegać gościa odmiennej rasy i kultury jako osobę we wszystkim podobną do miejscowych. Tak niestety nie jest. W najlepszym razie może człowiek liczyć na to, że będzie traktowany jako nieszkodliwy

idiota, którego obecność przynosi wiosce określone korzyści. Jest mianowicie źródłem pieniędzy i daje ludziom pracę. Punkt zwrotny w moich stosunkach z tubylcami nastąpił po około trzech miesiącach, kiedy to naczelnik dał mi do zrozumienia, że chce odebrać pozostawioną do mojej dyspozycji chatę. Kwestia została w szczególności przedyskutowana i przyznałem, że najlepszym rozwiązaniem byłoby wybudowanie własnego domostwa. Miało mnie to kosztować zawrotną sumę cztertnastu

funtów szterlingów i pozwoliło zatrudnić syna specjalisty od obrzezań, który zaręczył o moich dobrych intencjach swojemu ojcu, bratu naczelnika, który z kolei nauczył mnie wielu rzeczy związanych z polowaniem, oraz siostrzeńca miejscowego uzdrowiacza, który skontaktował mnie ze swoim wujem, i tak dalej.

Mój samochód służył naturalnie jako lokalny ambulans i taksówka. Kobiety zawsze mogły pożyczyć ode mnie soli i cebuli.

Miejscowe psy wiedziały, że mam miękkie serce, więc gromadziły się pod moja chatą, ku wściekłości Matthieu. Garncarze

i kowale nigdy przedtem nie robili takich interesów. Moja obecność dodawała prestiżu naczelnikowi. Pilnował więc, abym wiedział o każdej uroczystości w okolicy i mógł zaoferować mu

podwiezienie. Funkcjonowałem jako bank dla ludzi z małymi pieniędzmi i wielkimi oczekiwaniami. Ci, którzy potrzebowali części zamiennych do rowerów lub lamp, liczyli na moje pośrednictwo w dokonywaniu zakupów. Chorzy zaopatrywali się u mnie w leki.

Prawdą jest, że byłem też uciążliwy. Przyciągałem do wioski obcych, na co patrzono niechętnie. Zamęczałem moich gospodarzy głupimi pytaniami i w dodatku nie rozumiałem odpowiedzi. Istniało też niebezpieczeństwo, że będę rozpowiadał o tym, co słyszałem i widziałem. Byłem niewyczerpanym źródłem towarzyskich niezręczności. Pewnego razu na przykład spytałem jednego z mężczyzn, czy musi powstrzymać

się od kontaktów seksualnych przed polowaniem. Pytanie samo w sobie było całkiem w porządku, lecz w zasięgu słuchu znajdowała się akurat jego siostra. Oboje - i on, i ona - rzucili się biegiem w przeciwnych kierunkach; wydając głośne, jęklive odgłosy. Przed paroma sekundami siedziałem w chacie, gawędząc z trzema mężczyznami. W mgnieniu oka chatą opustoszała, został tylko mój asystent i

złorzeczył, trzymając się za głowę. Ogrom obrazy moralności, której się dopuściłem, był

62 ;~ 63

przedmiotem pełnych oburzenia szeptów przez kilka następnych tygodni.

Moje dość chwiejne panowanie nad językiem stanowiło również nie lada zagrożenie. O sprośność w języku Dowayów nie trudno. Zmiana intonacji partykuły dodawanej do zdania twierdzącego, by uczynić z niego pytanie, przeistacza ową partykułę w najbardziej nieprzyzwoite ze słów, coś w rodzaju "cipa", Konfuzji i rozbawienia doznawali więc Dowayowie, gdy pozdrowiałem ich słowami : "Czy niebo jest dla ciebie czyste, cipo?". Ale moje kłopoty nie kończyły się na pytajniku i vaginie. Podobne problemy prześladowały kwestie związane z jedzeniem i kopulowaniem. Pewnego dnia wezwano mnie do chaty naczelnika i przedstawiono zaklinaczowi deszczu. Była to najbardziej potrzebna mi znajomość, o którą wierciłem naczelnikowi dziurę w brzuchu od tygodni. Gawędziliśmy uprzejmie, próbując wzajemnie się wybadać, Ja niby nie wiedziałem, że on potrafi wywołać deszcz - to ja miałem stanowić obiekt jego zainteresowania, Sądzę, że zaklinacz był pod wrażeniem mojej pełnej szacunku postawy. Umówiliśmy się, że g odwiedzę. Spieszyłem się, bo pierwszy raz od miesiąca udało mi się zdobyć trochę mięsa i zostawiłem je na ogniu pod opieką mojego asystenta. Podniosłem się więc i uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Pójdę już - powiedziałem bo właśnie gotuję mięso.

- To przynajmniej chciałem powiedzieć, lecz z powodu błędnej intonacji oznajmiłem ku zaskoczeniu zebranych:

- Pójdę już, bo właśnie gotuję mięso.

To przynajmniej chciałem powiedzieć, lecz z powodu błędnej intonacji oznajmiłem ku zaskoczeniu zebranych:

- Pójdę już, bo właśnie kopuluję z kowalem.

Ludzie we wsi szybko nabrali wprawę w przekładaniu tego, co powiedziałem, na to, co miałem na myśli. Trudno więc ocenić, w jakim stopniu poprawiała się moja znajomość języka, a w jakim stopniu udało mi się nauczyć miejscowych mojego własnego pidżin.

Niewątpliwie wszak moja podstawową zaletą w oczach Dowayów było rozbudzanie ich ciekawości. To nieprawda, że nuda stanowi bolączkę właściwą rozwiniętej cywilizacji. Życie w afrykańskiej wsi jest naprawdę bardzo nudne, nie tylko dla przybysza z Zachodu nawykłego do bogactwa zmieniających się każdego dnia bodźców, lecz także dla samych jej mieszkańców. Każde najdrobniejsze i każdy skandalik są z upodobaniem roztrząsane, każda nowość łapczywie wychwytywana, każda zmiana witana jako ucieczka od monotonii. Lubiano mnie, ponieważ tkwił we mnie walor rozrywki. Nikt nie potrafił przewidzieć, co też się za moją sprawą wydarzy. Może pojedę do miasta i przywiozę jakieś nowe cudo albo nowe historyjki. Może ktoś przyjedzie do mnie w odwiedziny. Może podczas następnej wizyty w Poli uda mi się dostać piwo. Może znowu wyskoczę z jakąś głupotą. Byłem niewyczerpanym źródłem tematów do rozmowy.

Wymyśliwszy już wszystkie rodzaje bezcelowych czynności, odczułem potrzebę planowego działania. Najważniejsze było poranne wstawanie. O tej porze roku większość wieśniaków sypiała w niewielkich szałasach na polu, by zapobiec spustoszeniom, czynionym w uprawach przez bydło. W zasadzie Dowayowie powinni spędzać bydło na noc do zagrody we wsi, rzadko jednak zadają sobie taki trud. Zgodnie z tradycją pilnowanie i pasienie bydła przypada w udziale małym chłopcom, lecz w dzisiejszych czasach mali chłopcy muszą chodzić do szkoły. Bydło błąka się wskutek tego po polach, wyrządzając wielkie szkody. Kobieta wie, że stratowane pole stanie się dowodem na jej cudzołóstwo i mąż jeszcze ją za to obije, dlatego kobiety są szczególnie czujnymi strażnikami. Wobec ryzyka utraty żywności na następny rok pozostają na polach przez długie tygodnie. Bardzo nieliczne, które odwiedzają wioskę, wracają na pole wcześniej rano.

Próbowałem zatem być na nogach z pierwszym brzaskiem, by pozdrowić mieszkańców, zanim opuszczą wiś. Pozdrawianie ma w Afryce wielką tradycję. Obejmuje ono także

wizyty nieznanymi osobami, które siedzą u Ciebie po kilka godzin, udaremniając zarazem wszelkie próby rozwinięcia rozmowy. Nagła zmiana tematu jest zwykłą niegrzecznością, dlatego mówi się wciąż o tym samym - o polu, o bydło, o pogodzie. Ma to dla neofity określone zalety: ograniczone słownictwo, prostą konstrukcją zdań oraz możliwość zadziwienia rozmówcy wyuczoną na pamięć okrągłą frazą.

Ledwie, ku zadowoleniu obu stron, stało się zadość pozdrowieniom, przystępowałem do śniadania. Pożywienie było w kraju Dowayów istotnym problemem, jeden z moich kolegów, który pracował na południu Kamerunu, w pasie dżungli, opowiadał mi niezwykle historie o przysmakach, jakie na mnie czekają. Banany miały rosnąć pod samymi drzwiami, awokado - spadać z drzew pod moje stopy, w bród też miało być mięsa. Niestety ja mieszkałem bliżej pustyni niż dżungli, a Dowayowie wszelkie swe uczucia ulokowali w prosie. Potrafili nie jeść niczego innego w obawie przed nieznaną chorobą. Rozmawiali o prosie, spłacali długi prosem, wytwarzali

piwo z prosa. Gdy częstowało się ich ryżem albo pochrzynem, jedli, lecz gorzko ubolewali, że nie smakuje tak jak proso. Spożywali proso z kwaśnym, kleistym sosem jarzynowym, sporządzanym z liści dzikich roślin. Od czasu do czasu można było czegoś takiego spróbować, ale Dowayowie jedli to

dwa razy dziennie, rano i wieczorem, każddziuteńkiego dnia. Gotowane proso smakuje jak gips. Żalowali, że nie chcą go kupować.

Ziemia w krainie Dowayów nic nie kosztuje. Można brać, ile się chce, i budować dom, gdzie się chce. Nie prowadzi to wszakże do nadprodukcji rolniczej. Tubylec uprawia najmniej, jak może. Przygotowanie gruntu i zbiory są zbyt ciężką pracą.

Najgorsze jest motykowanie, konieczne przez połowę okresu wegetacji. By ulżyć monotonii tego mozołu, organizuje się wielkie piwne przyjęcia, robotnicy pozostają w miejscu pracy tak długo, jak długo jest piwo, a następnie wyruszają na inne przyjęcie, zabierając ze sobą gospodarza. W ten oto sposób samotność pracy przerywana jest wspólnotą pijaństwa. Proso osiąga w mieście wysokie ceny, lecz Dowayów nie pociągają tamtejsze rynki.

Kontrolę nad nimi sprawują bowiem handlarze z plemienia Fularów, którzy spodziewają się stu, a nawet

dwustu procent zysku na wszystkim, czego się dotkną. Ponieważ kontrolują także transport, wynagrodzenie, które mógłby otrzymać rolnik Dowayo, byłoby bardzo niskie. Dowayowie skłonni są zatem uprawiać tylko tyle, by zaspokoić potrzeby własne i ewentualnie towarzyskie, jeśli zanosi się na

jakieś uroczystości. Rezerwy są niewielkie i kiedy przed zbiorami deszcze padają obfitsze niż zwykle, może wystąpić klęska głodu. Próba kupienia czegokolwiek w kraju Dowayów

przypomina płynięcie pod prąd. Francuzi roztropnie wprowadzili podatki; nie przynosiły wprawdzie dochodu, ale miały

zmusić Dowayów do posługiwania się pieniędzmi. Jednak Dowayowie wciąż wola prowadzić handel wymienny i zaciągać

długi, które można spłacić szlachtując bydło - aniżeli mieć do czynienia z pieniędzmi. Skoro dali mi proso, będę musiał zapłacić za nie mięsem albo prosem kupionym w mieście.

Dowayowie trzymają bydło nie po to, by je doić lub karmić na mięso. Bydło jest karłowate, w przeciwieństwie do bydła

Fularów pozbawione garbów, i prawie nie daje mleka. Dowayowie twierdzą także, że ich bydło jest "bardzo gwałtowne", choć nie zebrałem na to żadnych dowodów.

Najlepiej byłoby zabijać je wyłącznie na szczególne okazje. Po śmierci bogatego człowieka, który miał, powiedzmy, czterdzieści sztuk

bydła, powinno się zabić dziesięć sztuk, a nawet więcej, i mięso rozdać krewnym zmarłego. Dzisiejsze scentralizowane rządy starają się zapobiegać tak zwanemu marnowaniu zasobów,

ale zwyczaj jest nadal przestrzegany.

Także inne ceremonie przewidują zabijanie bydła dla zmarłych, bydlęm płaci się również kupując żonę. Dlatego rozrzutne obracanie zwierząt w mięso lub pieniądze spotyka się z oporem

młodych mężczyzn, mających na oku ożenek. Ilekroć dostawałem mięso, zwłaszcza od naczelnika Kongle, zawsze doświadczałem gwałtownego przejścia z niedostatku w nadmiar. Zuuldibo upierał się, by mi podarować cały udziec, czyli zdecydowanie więcej, niż mogłem zjeść, zanim mięso uległoby zepsuciu.

Miałem więc kilku podkonsumentów pańskiego gestu naczelnika, którym przekazywałem mięso w zamian za jajka. Nie powiem, żeby jajka były aż taką atrakcją. Dowayowie zazwyczaj

ich nie jedzą, sam pomysł napawa ich obrzydzeniem. "Nie wiesz, skąd wychodzą?", pytają. Jajka nie są czymś do jedzenia, tylko

czymś, z czego wylęgają się kurczęta. Przynoszono mi więc

uprzejmie jajka trzymane od tygodni w upalnym słońcu, a ja

folgowałem wyobraźni. Pławienie ich, jak to czyniono z wiedźmami, nie zawsze wystarczało, by wyselekcjonować te niedobre. Jajka nieświeże po przekroczeniu pewnego etapu wewnętrznego zepsucia idą bowiem na dno podobnie jak świeże.

Wielekroć moja nadzieja na zjedzenie jajka ulatywała, gdy rozbijając jedno po drugim, wdychałem gęsty fetor, bijący z ich niebieskawozielonych środków.

Nie mając możliwości stołowania się gdziekolwiek indziej, postanowiłem hodować własne kurczęta. Ale i to nie zostało

66 ~::~ 67

uwieńczone sukcesem. Niektóre z kurcząt kupiłem, inne mi podarowano. Kurczęta Dowayów są, ogólnie rzecz ujmując, kościste i ohydne i przypominają w smaku kulki naftalinowe.

Odpowiednie postępowanie jednak robi swoje. Karmiłem je ryżem i owsianką, co w opinii Dowayów, którzy nigdy nie karmią kurczaków, było szczytem ekstrawagancji.

Wreszcie zaczęły się nieść. Jałem snuć marzenia o jedzeniu świeżego jajka każdego dnia. Siedziałem w chacie, napawając wzrok

zdobyczą pierwszego poranka, gdy w drzwiach pojawił się mój asystent z wyrazem wielkiej satysfakcji na twarzy.

- Zauważyłem, że kurki niosą jajka - wykrzyknął - więc zabiłem wszystkie, żeby nie uszła z nich cała energia!

Po tym zdarzeniu skłaniałem się raczej ku ograniczaniu śniadań do owsianki i mleka z puszki, które nabywałem w sklepie

misji. Jedną z podstawowych upraw w Kamerunie jest herbata, zwykle nie można jej jednak kupić w Poli. Dostępna była

natomiast herbata nigeryjska, prawdopodobnie przeschumowana przez granicę.

Mój asystent jadał zwykle ze mną, twierdząc, że nie można

przełknąć pokarmów tych dzikusów, Dowayów z gór. Po paru

miesiącach zauważyłem, że niepokojąco obrasta tłuszczem stołował się w rzeczywistości zarówno u mnie, jak i u naczelnika.

Po śniadaniu otwierałem "klinikę". W kraju Dowayów jest

mnóstwo chorób i nie byłem zachwycony, że gromadzą się

one wokół mojej chaty. Jednak nawet przy mojej ograniczonej wiedzy i

ograniczonych środkach medycznych byłoby nieludzkie odesłać chorych z kwitkiem, jak to usiłował czynić

z początku mój asystent. Zgodnie z afrykańskim pojmowaniem statusu społecznego uważał mnie za kogoś, kogo należało pieczołowicie chronić przed kontaktami z pospólstwem.

Wszystko było w porządku, póki rozmawiałem z naczelnikiem albo czarownikami, ale nie powinienem tracić czasu na

rozmowy z byle kim albo z kobietami. Był też szczerze przerażony, gdy konwersowałem z dziećmi. Zajął więc strategiczną pozycję przed moim domostwem i wyskakiwał na każdego, kto usiłował się ze mną zobaczyć, stając między nami niczym czujny sekretarz przed pokojem wielkiego dygnitarza. Ilekroć chciałem komuś podarować papierosa, upierał się, że papieros powinien przejść przez jego ręce, zanim dostanie się któremuś z Dowayów. W końcu doszło między nami do sprzeczki i Matthieu spuścił z tonu, ale zawsze potrafił dać mi do zrozumienia, że mój nadmierny kontakt ze zwykłymi ludźmi umniejsza także jego pozycję.

Dowayowie przychodzili do mnie z zainfekowanymi ranami i wrzodami, które smarowałem antybiotykiem i opatrywałem, doskonale zdając sobie sprawę z daremności moich poczynań, gdyż Dowayowie nigdy nie osłaniali ran i zdejmowali opatrunki, ledwie znaleźli się poza zasięgiem mojego

wzroku. Zdarzyły się też ze dwa przypadki malarii, od której uważam się obecnie za specjalistę, podawałem więc chininę, a mój asystent pilnował, żebym nie pomylił cyfr, gdy wyjaśniałem dawkowanie. Szybko rozniosła się wieść, że rozdaję "korzenie" - jak Dowayowie nazywali medykamenty - przeciw malarii i w ogóle mam dobre lekarstwa. Byłem nieco zdziwiony, gdy pewna

stara kobieta uniosła się gniewem i miała mi za złe, że to ja zaraziłem ją malarią. Rozpętała się wielka dyskusja, której nie potrafiłem niestety śledzić, i kobieta została wyprowadzona wśród śmiechów i kpin. Po wielu miesiącach pracy z uzdrowiaczami i czarownikami zrozumiałem, na czym polegał problem.

Dowayowie dzielią choroby na rozmaite grupy. Istnieją choroby "epidemiczne", zakaźne, na które białą człowieka ma lekarstwa, powiedzmy malaria czy trąd. Są "złe moce" w głowie

albo pochodzące od dzikich roślin. Są też dolegliwości spowodowane przez duchy zmarłych. I na ostatek są choroby "nieczyste", powstające wskutek zbliżenia się do zakazanych rzeczy albo ludzi. Kuracja tych ostatnich polega na określonym kontakcie z zabronionymi rzeczami lub ludźmi - tymi samymi, które wywołały chorobę. Usłyszawszy, że dysponuję środkami leczącymi malarię, stara kobieta wymyśliła sobie, że to

"nieczysta" choroba i że leczenie się w mojej chacie jest zarazem jej przyczyną. A zatem obecność tak potężnego i niebezpiecznego obiektu pośrodku wsi w istocie dawało podstawy do

zgłoszenia zastrzeżeń.

Pozostałą część poranka spędzałem na ćwiczeniach językowych. Mojemu asystentowi bardzo przypadła do gustu rola

nauczyciela i znajdował wiele przyjemności w ćwiczeniu mnie

68 69

do upadłego w formach czasownikowych. Mniejszy entuzjazm budziły w nim natomiast umiejętności praktyczne, których nabrałem przez minionych parę tygodni.

Prawie zawsze nosiłem z sobą mały magnetofon i zdarzało się, że nagrywałem rozmowy z ludźmi w polu. Dowayowie uwielbiali słuchać własnych głosów, choć sam sprzęt nie robił na nich wielkiego wrażenia. Magnetofonów używali miejscowi złoci młodzieńcy, większość tubylców miała więc okazję widywać je od czasu do czasu. Tym natomiast, co wprawiało ich w zachwyt - mruzczeni: "cudowne", "czarodziejskie" była moja umiejętność pisania. Z wyjątkiem kilkorga dzieci

Dowayowie byli analfabetami. Dzieci pisały po francusku i dopóki badacze nie zajęli się mową Dowayów, nikomu nie przeszło przez myśl pisać w tym języku. Kiedy sporządzałem

notatki w mieszance angielskiego i francuskiego, uwzględniając interesujące sformułowania z języka Dowayów w transkrypcji fonetycznej, przypatrywali mi się z zadowoleniem całymi godzinami, czekając w kolejce, by zajrzeć mi przez ramię. A gdy po paru tygodniach potrafiłem przeczytać człowiekowi, co do mnie powiedział podczas naszego ostatniego spotkania, głupieli doszczętnie. Stopniowo rosły zbiory nagranych rozmów, towarzyszących im bieżących notatek i późniejszych interpretacji. Mogłem wybrać którąś z nich, prześledzić słowo po słowie z moim asystentem, prosząc, by uwiarygodnił tłumaczenie, mogłem pracować nad danym określeniem czy któryś z wierzeń oraz wyjaśniać różnice między wyrazami o bardzo zbliżonych znaczeniach. Kiedy postępowanie takie weszło w zwyczaj, poziom naszego porozumiewania się przy pomocy języka wyraźnie się podniósł. Mój asystent stał się o wiele ostrożniejszy, ja szybciej się uczyłem. Zamiast zbywać mnie znaczeniem przybliżonym, wskazywał na trudność szczegółu, którą mogliśmy rozpracować w dogodniejszej chwili. Zarzucił też postawę osoby wszechwiedzącej, którą przyjmował na początku. Lunch składał się z sucharka, czasami czekolady, masła orzechowego, ryżu. Potem mój asystent miał wolne na czas sjesty, kiedy było najgoręcej, a ja odpoczywałem na twardym jak kamień łóżku, pisząc przez godzinę listy, śpiąc albo rozpaczliwie przeliczając zasoby finansowe. Po kilku tygodniach zrobiło się jeszcze goręcej, od czasu do czasu padał ulewny deszcz, wprowadziłem więc zwyczaj popołudniowego pływania. Woda jest w kraju Dowayów bardzo niebezpiecznym żywiołem. Istnieje kilka właściwych dla tego terenu chorób pasożytniczych, z których najgorsza jest motyllica. Cierpi na nią wielu Dowayów. Choroba powoduje silne krwawienia wewnętrzne, prowadzące do nudności, wycieńczenia i ostatecznie śmierci. Dowayowie żyją jednak tak krótko, że niejeden umiera, nim choroba osiągnie końcowy etap. Wiele razy wielu różnych ludzi mówiło mi o motyllicy wiele różnych rzeczy. Według niektórych autorytetów nieopatrzne zanurzenie stopy w strumieniu uszczęśliwia cię motyllicą na całe życie. Według innych trzeba godzinami pławić się w zakażonej wodzie, by zachorować. Przejeżdżający francuski geograf powiedział mi, że woda jest całkowicie bezpieczna po pierwszych ulewnych deszczach. Widocznie wówczas prąd przenosi w dół strumieni ślimaki wodne, które są nosicielami pasożyta. Tak więc wyjawszy kąpiele w wodach stojących lub wolno płynących w porze suchej, ryzyko było minimalne. Prawdziwą torturę stanowił dla mnie widok Dowayów pluskających się radośnie w zimnym strumieniu, podczas gdy ja podążałem z wysiłkiem jego brzegiem, skąpany w pocie i walczący z pokusą zanurkowania. Zresztą i tak niemożliwe było w tym kraju odbycie jakiegokolwiek dalszej podróży bez konieczności przejścia rwącego strumienia w bród, czyli zanurzenia się do pasa. Postanowiłem zatem uznać za słuszną tezę geografa i udać się do miejsca, gdzie kąpali się mężczyźni - głębokiego oczka w granitowej skale u stóp wodospadu - miejsca zabronionego kobietom, gdyż tutaj dokonywano obrzezania chłopców. Kiedy po raz pierwszy poszedłem do kąpieliska, było tam paru młodzieńców, którzy wracając z pola, zatrzymali się, by się umyć. Szczegóły mojej anatomii stały się przedmiotem wnikliwych oględzin. Przez następne dni przybywało po dwudziestu, trzydziestu mężczyzn, pragnących obejrzeć nowinkę w postaci białego mężczyzny bez ubrania. Po pewnym czasie wartość mojej osoby jako atrakcji gwałtownie spadła

i liczba kąpiących się wróciła do normy. Czułem się zawiedziony.

70 ~ 71

"..a

Miejsce natomiast było wspaniałe - znajdowało się u stóp góry, z której lała się woda zimna i czysta. Oczko, ocienione drzewami, miało piaszczyste dno. Na różnych poziomach wokół strumienia znajdowały się występy skalne, gdzie leżało się, korzystając ze wszystkich możliwych kombinacji ciepła i zimna.

Matthieu i ja chodziliśmy nad oczko każdego dnia, jeśli tylko nie mieliśmy innych zajęć, i tam właśnie, w męskim gronie, Dowayowie zaczęli rozmawiać ze mną o swojej religii

i obyczajach. Ponieważ widać było wyraźnie, że oni wszyscy, wedle miejscowego zwyczaju, są obrzezani, a ja nie, rozmowa spontanicznie zeszła na ten właśnie temat, który w tutejszej kulturze stanowi więcej niż chwilową obsesję.

Po kąpieli wracaliśmy przez pola, wypatrując piwnych przyjęć, odbywających się w okolicy danego dnia. W cieniu plecionki znajdowaliśmy dwudziestkę mężczyzn i kobiet na przemian

motykujących i pijących. Pewien znany francuski urzędnik kolonialny określił piwo z prosa jako napój mający konsystencję przetartej grochówki i smak nafty. Opis jest bardzo

akuratny. W połowie dnia Dowayowie nie spożywają niczego innego poza piwem i upijają się mocno, jak na jego niską zawartość alkoholu.

Fakt ten stanowił dla mnie źródło nieustannego zdziwienia. Już na samym początku podjąłem decyzję

natury strategicznej, że będę pił miejscowe piwo niezależnie od okropieństw, które niewątpliwie towarzyszą jego warzeniu. Podczas jednej z pierwszych moich wizyt na przyjęciu

u Dowayów zostałem poddany surowemu testowi.

- Będziesz pił piwo? - zapytano.

- Piwo jest zaorane - odpowiedziałem, źle intonując zdanie.

- Odpowiedział, że tak - wyjaśnił mój asystent zmęczonym głosem.

Nie mogli się nadziwić. Jeszcze nie słyszeli, żeby biały tknął tutejsze piwo. Ujawszy kalebasę, uznali za stosowne ją umyć - z szacunku dla mojej egzotycznej wrażliwości. Uczynili to, podając ją psu do wylizania. Psy Dowayów nie są

w większości piękne, ten wszakże był szczególnie ohydny:

wychudzony, przy otwartych ranach na uchu biesiadowały muchy, a ogromne, rozdęte kleszcze zwiślały mu u brzucha.

Wylizał kalebasę ze smakiem. Kalebasa została napełniona

i wręczona mi uroczyście. Wszyscy na mnie patrzeli, w promiennym oczekiwaniu.

Nie miałem wyjścia. Wychyliłem do

dna i bąknąłem, że smakowało. Kalebasa wracała kilkakrotnie.

Dziwili się, że nie jestem pijany. Dla człowieka z Zachodu

upicie się piwem z prosa jest rzeczywiście niemożliwe - po

prostu nie jest się w stanie przyjąć odpowiedniej ilości. Dowayowie natomiast piwem robionym w browarach upijają się

w okamgnieniu. Nie jest rzadkością, że pija jedną butelkę przez trzy dni, twierdząc, że cały czas są w stanie upojenia alkoholowego.

Naczelnik, Zuuldibo, zawsze polował na takie okazje, nie

przepuścił żadnego piwnego przyjęcia, chociaż wytrwale odmawiał podjęcia pracy w polu w ramach rewanżu. Najprostsza metoda znalezienia przyjęcia było zatem

wysłanie Matthieu na poszukiwanie Zuuldiba. Ponieważ pies Zuuldiba latał za mną, wyczekując mojej szczodrości, tworzyliśmy dość

dziwaczny pochód. Moje pierwsze bezbłędne przemówienie do Dowayów brzmiało tak:

- Matthieu idzie za naczelnikiem. Ja idę za Matthieu. Pies idzie za mną.

Słowa te uznano za dowcip najwyższych lotów i często je powtarzano.

Po zajęciach w polu starałem się dotrzeć o zmroku na rozdroże, które mijali ludzie udający się ku różnym częściom

Kongle. Przyciągnięto tam parę przewróconych drzew jako miejsce do siedzenia, mężczyźni zatrzymywali się, plotkowali i tłukli moskity, póki nie nadeszła pora jedzenia. Posiłek, składający się z owsianki albo błyskawicznego puree ziemniaczanego (bardzo drogie świeże ziemniaki gniły w ciągu paru dni)

oraz zupy z puszki, kończył mój dzień. Kładłem się, robiłem notatki, zapisywałem problemy do wyjaśnienia na następny dzień i czytałem, co mi wpadło w ręce.

Jedynym moim luksusem była lampka gazowa, którą kupiłem w Ngaoundere. Wprawdzie musiałem przemierzać dwieście trzydzieści kilometrów, żeby wymienić pojemnik gazu,

ale pojemnik starczał na jakieś dwa miesiące, miałem też zapas. Mogłem zatem pracować po zmroku - wielka sprawa,

wziąwszy pod uwagę, że noc zapadała przed siódmą przez

72 y 73

okrągły rok. Dowayowie często mnie odwiedzali, żeby zobaczyć to чудо, i miałem sporo trudności z wyjaśnianiem im, że to nie elektryczność.

Tak więc minęło kilka pierwszych tygodni i zacząłem powoli wdrażać się w tryb tutejszego życia. Dowayowie tymczasem ściągali z powrotem do wiosek, co ulżyło nieco ciężarowi mojej samotności. Nadal jednak dopadała mnie silna depresja, gdy osaczony przez deszcz, siedziałem w mojej

małej chatce. Nie wyzdrowiałem jeszcze całkowicie po

ataku malarii. Powodem tego była po części jednorodna

dieta, która nierzadko skłaniała mnie do omijania posiłków

albo ograniczania ich na tyle, na ile się dało przy założeniu, że jedzenie jest jednak podstawowym źródłem energii

życiowej.

Trzeba było miesięcy, żebym odczuł jakikolwiek postęp

w nauce języka. Zanim to się stało, trwałem w przekonaniu, że

wrócę, nie nauczwszy się niczego i niczego nie rozumiejąc.

Najgorsze zaś było to, że Dowayowie z rzadka, jeśli w ogóle,

zdawali się robić cokolwiek, wierzyć w cokolwiek, angażować się w jakąkolwiek aktywność symboliczną. Oni jedynie egzystowali.

Moje lęki, że nie zdołam prześledzić niczego poza marną

częścią czegoś, co wokół mnie mówiono, zaczęły skrupiać się

na moim nieszczęsnym asystencie. Wydawało mi się, że przekazuje mi wyłącznie błędne formy gramatyczne. Zacząłem

wątpić, czy rozumie choćby połowę z tego, co do niego mówię, i czy on w ogóle zna dialekt Dowayów z gór. Widziałem

czasami, jak wymieniał ukradkowe spojrzenia z innymi mężczyznami, gdy mówiono o pewnych sprawach, i wietrzyłem

w tym konspirację.

Sytuacja asystenta białego badacza jest na pewno niełatwa.

Miejscowi oczekują, że będzie trzymał ich stronę w każdym

konflikcie z jego chlebodawcą. W społeczeństwie afrykańskim życie człowieka, który ściąga na siebie gniew ziomków,

może być naprawdę bardzo niewygodne. Jednocześnie chlebodawca widzi w nim swego przedstawiciela wobec miejscowej

społeczności i oczekuje informacji o jej zamierzeniach i kontaktach. Dla uganiania się za prawdą etnografa praca za pośrednictwem niepojętych zobowiązań na poły niepiśmiennego chłopca jest zajęciem frustrującym. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że każda ze stron mogła mieć zgoła odmienne wyobrażenie o tym, czego od niej oczekiwano. Opierając się na doświadczeniach z misjonarzami, większość Dowayów uważała, że każdy biały jest fanatycznym chrześcijaninem. Byli więc niezmiernie zdziwieni, że mój asystent chodził co niedziela na spotkania modlitwne, a ja nie. Musiałem udawać, że niby to przypadkiem natyknę się na wracających z owych spotkań chrześcijan, i spędzałem z nimi trochę czasu, pokazując w ten sposób, że moja nieobecność na modlitwach nie wynikała z poczucia wyższości.

Początkowo martwiłem się, że nie potrafię wyciągnąć od Dowayów więcej niż dziesięciu słów na krzyż za jednym zamachem. Kiedy prosiłem, żeby mi coś opisali - uroczystość czy zwierzę - mówili jedno albo dwa zdania i milkli. Musiałem zadawać następne pytania dla uzyskania dalszych informacji. Niezbyt mnie to zadowalało, ponieważ kierowałem wówczas ich odpowiedziami w większym stopniu, niż to nakazywała metodyka badań terenowych. Pewnego dnia, po bez mała dwóch miesiącach bezowocnych usiłowań, znalazłem powód. Dowayowie mieli po prostu całkowicie odmienne reguły prowadzenia konwersacji. Podczas gdy na Zachodzie uczy się nas, że nie należy przerywać, gdy mówią inni, w Afryce zasada taka nie obowiązuje. Stojąc twarzą w twarz, trzeba postępować tak, jak w przypadku rozmowy telefonicznej, kiedy częste wtrącenia i reakcje słowne są potrzebne dla zapewnienia drugiej strony, że wciąż jest się na linii i poświęca się uwagę rozmówcy. Słuchając czyjejś kwestii, Dowayo ponuro spogląda na podłogę, kołysze się w przód i w tył i co pięć sekund wymrukuje "tak", "rzeczywiście", "w porządku". Uchybienie takiemu zwyczajowi powoduje, że interlokutor natychmiast milknie. Ledwie fakt ten dotarł do mojej świadomości, wywiady z tubylcami uległy dużej zmianie.

Główny problem leżał wszak nie tyle w wierności czy uczciwości mojego asystenta, ile w jego wieku. Wiek określa w Afryce status człowieka. Dowayowie okazują szacunek, nazywając drugiego "starym człowiekiem". Dlatego nestorzy Dowayów, zwracając się do mnie, nazywali mnie "starym człowiekiem" albo "dziadkiem". Było czystym skandalem,

74 ~ 75

że siedemnastoletnie dziecko uczestniczyło w rozmowie tak mądrych starców jak my. Ja mogłem go po prostu nie dostrzegać, ale Dowayów jego obecność kłuła w oczy. W późniejszym okresie starszyna stanowczo go odprawiała, zanim prze- , szliśmy do najważniejszych spraw, i wszelkie problemy językowe musiałem konsultować z nim po fakcie. Na szczęście miał jakieś niejasne powiązania z ludźmi głównego zaklinacza deszczu i to wystarczyło, by usprawiedliwić jego obecność przy mnie w początkowym okresie mojej pracy. W przeciwnym razie musiałbym wrócić - jak inni, którzy pracowali wśród Dowayów - święcie przekonany o niedorzecznym uporze tego ludu.

"Kamerunie, kolebko naszych ojców"

Jedynym wyłomem w ustalonym porządku zajęć były moje piątkowe spacery do miasta. Usprawiedliwiała je konieczność odebrania poczty, przychodzącej z Garoua właśnie tego

dnia. Sprawa pachniała jawnym fałszem, albowiem poczta przychodziła w piątki jedynie w teorii. Naczelnik Poli, z plemienia Fulanów, miał kontrakt na dostarczanie poczty swoją ciężarówką, ale kiedy to robił i czy w ogóle to robił, zależało wyłącznie od jego kaprysu. Jeśli miał ochotę spędzić parę dni w mieście, spędzał parę dni w mieście, a poczta przyjeżdżała dopiero w następnym tygodniu. Było mu dalece obojętne, że nauczyciele i inni urzędnicy nie dostaną zapłaty, że przetrzymuje lekarstwa dla szpitala, że całemu miasteczku może to być nie na rękę.

Co więcej, poczta działała tak powoli, że przez pierwsze dwa miesiące dostawałem jedynie listy z banku w Garoua, i to ze skandalicznie niedokładnymi wyciągami z moich rachunków. Wskutek jakichś czarów miałem nagle trzy konta: jedno w Jaunde, jedno w Garoua i jeszcze jedno, nie wiadomo dlaczego, w mieście, w którym nawet nigdy nie byłem.

Istotną cechą "odbierania poczty" była rozłaka z moim asystentem. W życiu nie spędziłem tyle czasu w nieprzerwanym towarzystwie jednej i tej samej osoby i zaczynałem się powoli czuć jak ktoś poślubiony wbrew własnej woli najmniej odpowiedniemu partnerowi. Stąd piątkowe popołudnia rozpoczynały się od radosnego filtrowania wody na drogę, trwałem bowiem przy postanowieniu odbywania jej na piechotę. Po pierwsze dlatego, że

w Poli nie można było dostać paliwa, należało więc gospodarować nim oszczędnie, a po drugie dlatego, że gdybym jechał, musiałbym zabrać ze sobą pół wsi. W porze deszczowej, kiedy wody szybko płynęły, zadowalałem się uzdatnianiem wody do picia, stosując samo filtrowanie. W porze suchej, gdy

wszystkie zbiorniki wodne stawały się cuchnącymi, stojącymi kałużami, trzeba było wodę gotować albo dodawać do niej chloru. Moja butelka na wodę okropnie bawiła Dowayów, dziwili się, że litr wystarcza mi na większą część dnia, i brali to za osobliwą cechę białego człowieka. Dowayowie mieli własny system ograniczania sobie wody - mój był jedynie logicznym rozwinięciem ich systemu. Kowale na przykład nie mogli

czerpać wody razem z innymi Dowayami, ale ją od nich dostawali. Dowayowie z nizin nie mogli pić wody Dowayów z gór, póki nie zostali poczęstowani. Zaklinacze deszczu nie mogli pić deszczówki. Była to część systemu regulowanej wymiany, która rządzi przepływem kobiet, żywności i wody pomiędzy tymi trzema grupami. Ponieważ nie wymieniałem żywności ani kobiet z innymi grupami, należały mi się jakieś własne ograniczenia dotyczące wody. Dowayom nie wolno było tknąć mojej wody, póki nie wsadziłem im jej dosłownie w ręce, gdyż wierzyli, że picie mojej wody bez pozwolenia skończy się dla nich chorobą.

Dziewięciokilometrowy spacer kamienistą drogą był, ogólnie rzecz biorąc, przyjemnym wytchnieniem od przepraw przez błotniste pola. Po paru miesiącach na moich stopach i kostkach panoszyły się najrozmaitsze grzyby, szyderczo ignorujące wszelakie medykamenty, które z sobą przywiozłem. Podczas deszczów spodnie starczały na miesiąc. Po tym czasie po prostu gniły od dołu. Szorty były niewątpliwie dobrym rozwiązaniem, wprawiały jednak w posępny nastrój mojego asystenta, bo ludzie cieszący się poważaniem nie noszą szortów;

co więcej, krótkie spodnie nie chronią przed kolcami, ostrymi trawami czy parzącymi trzczinami, których pełno w buszu. Znalazłszy się w miasteczku, udawałem się do baru, jak i inni niepoprawni oczekujący na pocztę. Czasami piwo pomagało nam przetrwać owo siedzenie i nasłuchiwanie odgłosów

pocztowej ciężarówki. Czasami odwiedzałem targ, tworzony

78

przez pożałowania godną grupę starych mężczyzn i kobiet, handlujących a to garścią pieprzu,, a to sznurkiem paciorków. Nie wierzyłem w ekonomiczną opłacalność tego zajęcia, mogli je uprawiać jedynie dla zabicia nudy. Na drugim końcu miasteczka urzędował rzeźnik, u którego dwa razy w tygodniu pojawiała się mięso. Większą jego część zamawiali z wyprzedzeniem zamożni mieszkańcy. Pozostali mogli jedynie dostać nóżki i wnętrzności, które dzielono siekierą, a ponieważ nie używano wagi, ilość towaru otrzymywanego za tę samą cenę znacznie się różniła. W pobliżu kręcili się rozmaici funkcjonariusze, włóczędzy wszelkiego autoramentu, żandarmi trzymający się za ręce i wszędobylskie dzieci. Dzięki piątkom zaznajomiłem się z kilkoma nauczycielami. Jedną z postaci godnych uwagi był Alphonse. Alphonse, ogromny Południowiec, został oddelegowany do szkoły podstawowej do buszu w okolicach rzeki Faro. Jest to tak odległa część Kamerunu, że w gruncie rzeczy należy już do Nigerii. Częściej ma się tam do czynienia z nigeryjskimi pieniędzmi i towarami niż z kameruńskimi, kwitnie W najlepsze przemyt. Tam właśnie mieszkał Alphonse W kompletnym odosobnieniu, pomiędzy ludem Tchamba. Znajomy, który wybrał się do niego z wizytą, opowiadał, że chata była maleńka, a cały dobytek nauczyciela składał się z pary krótkich spodni i dwóch sandałów o różnych kolorach. Nie było tam piwa. Z początkiem pory suchej na horyzoncie od strony drogi prowadzącej z Tchamby pojawiał się niewielki obłok kurzu. Mała plamka stawała się stopniowo coraz bardziej widoczna - to szedł Alphonse. Potykając się, ciągnął w stronę Poli i wołał: "Piwa! Piwa!". Sadził się w barze i przepijał wszystkie pensje, które się uskładały od ostatniego razu. Silnym argumentem przemawiającym za istnieniem bóstw dobroczynnych jest to, że Alphonse nie zjawiał się nigdy podczas długich przerw w dostawach piwa. Mniej więcej o czwartej po południu Alphonse nabierał ochoty na tańce. Był mężczyzną postawnym i bardzo uprzejmym, gdy mu się nie sprzeciwiano, lecz nieopanowanym w gniewie. Wysyłał barmana, wagarującego nieustannie ucznia jednego z miejscowych nauczycieli, by przyniósł radio, i ledwie rozbrzmiała muzyka, Alphonse, niczym wielce osobliwy

79

twór natury, dźwigał się z miejsca. Niepomny bożego świata, szurał nogami i pociągając z butelki, jęczał z cicha, kołysał biodrami, wirował kroczeniem, zwiesiwszy głowę. Trwało to całymi godzinami, póki nie osiągnął bardziej zaawansowanego etapu, kiedy to musieli ruszyć w tany także wszyscy inni, żeby go nie urazić. Było zatem dość istotne, czy poczta zdąży przybyć, zanim Alphonse odczuje potrzebę tańca grupowego. Alphonse nie żywił szacunku dla żadnych osobistości, bar pełen był więc czasem nerwowo podrygujących inspektorów podatkowych i żandarmów - wszyscy tańczyli pod władczym zarządem Alphonse'a, który wzdychał i uśmiechał się radośnie w swoim kącie. Największym sprzymierzeńcem Alphonse'a w rozpętywaniu

tego piekła był inny Południowiec, Augustin. Augustin zrezygnował z życia rewidenta księgowego w stolicy i został nauczycielem francuskiego. Był jeszcze jednym niepoprawnym indywidualistą w kraju, gdzie najwyższą wagę przykładano do nadskakującego konformizmu. Nie znałem tam nikogo innego, kto by tak jak on odmówił zakupu legitymacji jedynej partii politycznej. Między nim a lokalnym sous-prefetem kwitło uczucie nienawiści, obaj byli bowiem znani ze słabości do cudzych żon. Prorokowano skrycie wśród miejscowych funkcjonariuszy, że pewnego dnia Augustin po prostu "zniknie" albo z powodów politycznych, albo z powodu aktywnej działalności pomiędzy żonami miejskich Pulanów. Będąc pod wpływem alkoholu, jeździł dookoła miasteczka na wielkim ryczącym motocyklu ku przerażeniu starych i młodych, nierzadko też z niego spadał, nie odnosząc wszak nigdy dotkliwszych obrażeń poza powierzchownymi zadrapaniami. Augustina otaczała aura zbliżającej się katastrofy; dokądkolwiek się udał, sprowadzał kłopoty. Pewnego razu odwiedziwszy mnie w mojej wiosce, dopuścił się jawnego cudzołóstwa z miejscową mężatką. Dowayowie oczekują od kobiet zamężnych folgowania zdradzie, a uwodzenie cudzych żon traktują jak zabawny sport. Augustin jednakże spółkował z nią w chacie męża, co jest poważnym afrontem. Mąż wkrótce się o tym dowiedział i kierowany logiką odpowiedzialności grupowej, uznał, że po rekompensatę powinien zwrócić się do mnie. Przedyskutowałem sprawę z naczelnikiem i innymi "oficjalnymi doradcami" i grzecznie odmówiłem. Mąż pojawił się przed moją chatą ze swymi braćmi. Już on złapie Augustina, kiedy ten przyjedzie do mnie z wizytą następnym razem! A co gorsza, objeje jego motocykl kijami. Wydało mi się w tej sytuacji zasadne ostrzec Augustina, by nie pokazywał się w wiosce przez jakiś czas. Żeby być w zgodzie ze swą naturą, Augustin przyjechał następnego dnia, a nawet zaparkował motocykl przed chatą skrzywdzonego męża. Poważnie obawiałem się czynów gwałtownych lub narażenia na szwank moich stosunków z Dowayami. I rzeczywiście, mąż przybył w towarzystwie swoich braci. Augustin postawił przywiezione z miasta piwo. Piliśmy wszyscy w milczeniu. Pojawiło się jeszcze parę piew i natychmiast, wiedziony swym nadzwyczajnym pijackim węchem, ukazał się Zuuldibo. Mój asystent krążył niespokojnie w pewnym oddaleniu. Rozdałem tytoń. Nagle mąż, pogrążony w pełnej napięcia ciszy, którą Anglicy kojarzą zwykle z nietrzeźwym mieszkańcem Glasgow, zaczął śpiewać cienko pozbawioną melodii piosenkę. Pozostali mężczyźni dołączyli się ochoczo. Mąż wstał i poszedł sobie. Rolą antropologa jest być upartym nudziarzem, który wypytuje o sens dowcipu, zacząłem więc i ja wypytywać o to, czego byłem świadkiem. Słowa piosenki brzmiały: "Och, kto by kopolował z taką kwaśną rurą?". Śpiewano ją, by wyśmiać kobiety. Udobruchany piwem małżonek doszedł chyba do wniosku, że męska solidarność ważniejsza jest od żoninej wierności. Nigdy więcej nie wspomniano o sprawie. Zaś Zuuldibo i Augustin zostali najserdeczniejszymi przyjaciółmi i uczestniczyli razem w niejednej hulance. Alphonse i Augustin często czekali razem w barze na wypłatę z owym bezsensownym niepokojem spodziewających się rychłych narodzin potomka tatusiów. Zawsze dyskutowano na temat obliczania podatku od dochodów. Dowiedziałem się, że kameruński nauczyciel ze szkoły w Poli dostawał takie

samo wynagrodzenie, jak ja w Londynie. Dostawał także darmowe bilety lotnicze na linie krajowe, które zazwyczaj sprzedawał na czarnym rynku, póki jacyś funkcjonariusze nie wyłudzili ich podstępem. W gruncie rzeczy położenie łapy na własnej poczcie smętnie przywodziło na pamięć znaną skądinąd biurokratyczną przepychankę. Należało stać w kolejce

4 - Niewinny antropolog

nieskończenie długo, podczas gdy wszelakiego rodzaju szczegóły odnotowywane były skrupulatnie w szkolnym zeszycie.

Linie kreślono starannie i precyzyjnie przykładano stemple.

Dokumenty tożsamości sprawdzano nader szczegółowo.

Sprawny urzędnik potrafił wydawać jeden list aż dziesięć minut.

Potem były poprawiny. Ci, co nie dostali poczty, udawali

się do baru, by się smucić. Ci, co dostali pocztę, też tam trafiali, by się

cieszyć. Ponieważ już przed siódmą zapadał zmrok,

niezmiennie docierałem do Kongle po ciemku. W Anglii zapominamy, jak czarne mogą być noce, bo rzadko znajdujemy

się z dala od jakiegokolwiek oświetlenia; w kraju Dowayów panowały kompletne

ciemności i noszenie przy sobie latarki było absolutną koniecznością. Dowayowie wzbraniali się przed

wychodzeniem poza granice wsi nocą; ciemność ich przerażała. Ludzie tłoczyli się

w dymnym świetle ognisk, póki nie stało się znowu jasno. Poza terenem wsi

czyhają dzikie bestie,

czary, olbrzym Pieprzowa Głowa, który okłada podróżnych

razami i wprawia ich w osłupienie.

Dowayowie szczerze się więc dziwili, że wędruję przez busz

po ciemku, i uznawali to za ryzykancką śmiałość. To zaś, że

wędruję samotnie, traktowano jako szaleństwo. Ja tymczasem

nigdy nie czułem się bardziej bezpieczny niż w opustoszałym

buszu po zmroku. Powietrze ochładzało się do temperatury

letniej angielskiej nocy, deszcz słabł i tylko błyskawice przelatowały

bezgłośnie ponad szczytami. Odkrywałem nowe

olśniewające gwiazdozbiory. Nieco później wschodził księżyc i często robiło się

jasno jak za dnia. W okolicy nie było

groźnych, dużych drapieżników; największe ryzyko wiązało się

z nadeptaniem węża. Panowała cisza i spokój, odrywałem

się od zgiełku wioski, doznawałem błogosławionego odpoczynku od prób zrozumienia

Dowayów, od tego, że na mnie patrzyli i pokazywali mnie palcami, że na mnie

krzyczeli i mnie

wypytywali. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odzyskiwałem poczucie

prywatności, którego brak jest największym nieszczęściem życia w Afryce. Z moich nocnych wędrówek wracałem bardzo pokrzepiony.

Rzadko spotykałem innych ludzi - zwykle pędzili całą grupą na złamanie karku, by ująć okropieństwom nocy. Byli to

goście, którzy nieopatrznie zasiedzieli się w górskich wioskach, mężczyźni

wracający z jakichś uroczystości. Na mój

widok niektórzy po prostu brali nogi za pas. Następnego dnia

było sporo uciechy, gdy opowiadali historyjkę o spotkaniu

z Pieprzową Głową i o tym, jak umknęli jego szponom. Wszyscy przezornie unikali

wniosku, że o wiele częstsze spotkania

z Pieprzową Głową były w dużej mierze skutkiem moich wyczynów. Uważano, że

strach przed olbrzymem stanowi skuteczne zabezpieczenie przed "wałęśaniem się" po okolicy kobiet.

"Wałęśanie się" sugerowało cudzołożne związki. Mężczyźni

zostawiali nawet na rozstajach maskotki z ziół, które miały

zamieniać się w Pieprzową Głowę. Straszania kobiet nie uważano za coś złego.

Składając stopniowo w jedną całość relacje zaklinaczy deszczu, zwykłych Dowayów i kowali, stworzyłem obraz relacji pomiędzy mężczyzną i kobietą. Jeśli idzie o szczegóły fizyczne, polegałem na tym, co za moją namową ujawnili mi bliscy znajomi, mój asystent i mężczyźni z wioski w naszym kąpielisku. Wiadomości te szczerze uzupełniał swoim dorobkiem na polu kontaktów z kobietami pogańskimi Augustin. Podsunałem mu kiedyś jeden czy dwa tematy i okazał się bogatym źródłem informacji o seksualnych obyczajach tubylców. Potwierdził dziwaczną mieszaninę lubieżności i przesadnej skromności, którą prezentowali Dowayowie. Dowayowie są aktywni seksualnie już w stosunkowo młodym wieku. Ponieważ nie wiedzą, ile mają lat, można jedynie oszacować w przybliżeniu, że zaczynają odkrywać seks około ósmego roku życia. Do aktywności płciowej nikt nikogo nie zniechęca. Chłopcu pozwala się spędzić noc z wybraną dziewczynką w jej chacie, oczekuje się jednak, że matka będzie miała na nich oko, a lubieżne stosunki nie są pochwalane. Zasadnicza zmiana na gorsze zachodzi w okresie dojrzewania. Nie piętkuje się ciąży przed zawarciem związku małżeńskiego, a raczej uznaje się ją za mile widziany dowód płodności dziewczyny. Natomiast kontakt z dziewczyną podczas menstruacji zagraża mężczyźnie imbecyлизmem. Następną komplikacją dotyczy obrzezania. Można go dokonać w każdej chwili pomiędzy dziesiątym a dwudziestym rokiem życia. Wszyscy chłopcy z wioski poddawani są zabiegowi

82 83

w tym samym czasie. Mężczyzna może ożenić się przed obrzezaniem i nawet mieć dzieci - zdarza się, że ojciec poddany jest obrzezaniu razem z synem, choć są to przypadki rzadkie. Nie obrzezani mężczyźni noszą w sobie skazę kobiecości. Zarzuca się im, że wydzielają kobiece zapachy z powodu mastki gromadzącej się pod napletkiem. Nie mogą uczestniczyć we wszystkich męskich spotkaniach, grzebani są tam, gdzie kobiety. A co najgorsze, nie wolno im przysięgać na swój nóż. Najpoważniejsza przysięga w kraju Dowayów brzmi: "Dang mi gere", "Na mój nóż". Ma to naturalnie odniesienie do noża, którym dokonuje się obrzezania - potężnego narzędzia, mającego moc uśmiercania wiem i którym z pewnością można zabić kobietę. Jeśli mężczyzna użyje tych słów wobec kobiety, oznacza to, że jest bardzo rozgniewany, a ona ryzykuje baty. Niemiłosiernie szydzi się z nie obrzezanych, którzy używają tego sformułowania, a jeśli go nadużywają, bije się ich. Uważano za zabawne, ilekroć ja się nim posłużyłem. Obrzezanie u Dowayów przybiera bardzo radykalną formę, penis pozbawiany jest skóry na całej swojej długości. W dzisiejszych czasach niektórzy chłopcy poddawani są temu zabiegowi w szpitalach, co konserwatywni Dowayowie uważają za skandal, ponieważ usuwa się chłopcom nie dość dużo skóry, nie są też oni całkowicie izolowani od kobiet przez dziewięć następnych miesięcy. Obrzezanie przeistacza niedoskonały twór naturalnych narodzin - poprzez śmierć i ponowne narodziny - w pełnowartościowego osobnika płci męskiej. Oznajmiono mi, za opłatą sześciu butelek piwa wręczonych specjalistom od obrzezania, że zostałem "honorowym" obrzezańcem. Uznałem, że jak na takie zwolnienie, cena nie była wygórowana.

Kobiety nie powinny nic wiedzieć o obrzezaniu. Mówi się im, że zabieg polega na zatkaniu odbytu kawałkiem bydłowej skóry. Pociąga to za sobą konieczność stosowania rozmaitych

uników. W okresie suszy, kiedy cała roślinność wysycha w piekącym słońcu i trudno o jakąkolwiek naturalną osłonę, kraj

Dowayów pełen jest mężczyzn krążących i rozglądających się dokoła, powstrzymujących się desperacko aż do chwili, gdy okolica jest na tyle pusta, by kucnąć za skałą i sobie ulżyć.

Tymczasem kobiety świetnie się orientują, o co chodzi, choć publicznie nie wolno im się do tego przyznać. Fakt, że kobiety zdradzały się z ową wiedzą przede mną, uznałem za dowód na mój niezwykły status istoty pozbawionej wszelkiej

płciowości. Minęło jednak wiele czasu, nim zadano sobie trud powiedzenia mi czegokolwiek o tych sprawach. Wcześniej podejrzewałem jedynie, że kobietom wiadomo to i owo o obrzezaniu, lecz podjęcie z nimi tego tematu wywołałoby szok.

Wiele jest "męskich sekretów", o których nie wolno wspominać przy kobietach - różne uroczystości, pieśni, przedmioty. W praktyce okazuje się zwykle, że do kobiet dociera sporo z tego, co się dzieje, często jednak nie ogarniają całości obrazu. Wiedziały, że obrzezanie wiąże się z penisem, nie wiedziały natomiast, że rytuał, przez który przechodzą chłopcy podczas tego zabiegu, jest w istocie identyczny z rytuałem

dla wdów podczas uroczystości odprawianych w kilka lat po

śmierci bogatych mężczyzn. A zatem prawdopodobnie nie uświadamiały sobie, że święto czaszek także wzorowane jest

na rytuale chłopięcego obrzezania. Jak odkryłem nieco później, wiedza na temat całości modelu kulturowego dostępna

była jedynie mężczyznom.

Znamienne i zadziwiające jest to, że kobiet prawie w ogóle

nie ma w zapiskach antropologów. Uważa się je za niedostępne i mało wiarygodne źródła informacji. Tymczasem w moim

przypadku kobiety okazały się nadzwyczaj pomocne - choć początek był niefortunny.

Przyczyna problemu wiązała się, jak zwykle, z językiem.

Chciałem porozmawiać z pewną starą kobietą o zmianach zachodzących w sposobie bycia Dowayów na przestrzeni lat

i uznałem za stosowne poprosić najpierw jej męża o pozwolenie.

- O czym chcesz z nią rozmawiać? - spytał.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś o małżeństwie - odrzekłem. - Pomówić o obyczajach, o zdradzie, o...

Mąż i mój asystent jęknęli z przerażenia i niedowierzania.

Błyskawicznie przebiegłem myślą intonację słów, które wypowiedziałem, lecz nie znalazłem żadnego błędu. Matthieu wziął

mnie na stronę. Wszystkiemu winien był idiom. Dowayowie

nie podtrzymują obyczajów, tylko je "mówią". Podobnie nie

popołniają zdrady, tylko ją "mówią". A zatem wyraziłem ^{prag84 85}

nieme dopełnienia rytuału z żoną owego mężczyzny oraz popełnienia z nią zdrady.

Gdy nieporozumienie zostało wyjaśnione, znalazłem w owej

kobiecie wspaniałą informatorkę. Ponieważ mężczyźni mieli

się za strażników niezgłębionych tajemnic wszechświata, musiałem dokładać wielu starań, by zechcieli przypuścić mnie

do tych sekretów. Kobiety natomiast uważały, że wiedza, która przypadła im w udziale, nie jest aż tak istotna, by nie można było jej przekazać obcemu. Często odkrywały przede mną

nowe, godne dociekań dziedziny, napomykając o jakichś wierzeniach lub

ceremoniach, o których nigdy przedtem nie słyszałem, a o których mężczyźni

mówiliby niechętnie.

Życie kobiet i mężczyzn toczy się w zasadzie osobnymi torami. Mężczyzna może mieć wiele żon, lecz spędza czas głównie z przyjaciółmi, jego żona zaś z

pozostałymi żonami i sąsiadkami. Wzorzec ten niewiele odbiega od wzorca z północnej

Anglii. Kobieta przygotowuje pożywienie dla męża i dzieci, mężczyzna nie spożywa jednak posiłku razem z nią, lecz co najwyżej ze starszym synem. Małżonkowie osobno uprawiają też ziemię. Ona hoduje swoje rośliny i on swoje, choć mężczyzna pomaga kobiecie w trudniejszych pracach cyklu wegetacyjnego. W celu intymnego zbliżenia spotykają się w jego

chacie zgodnie z harmonogramem uzgodnionym zawczasu przez wszystkie żony. Zażyłości czy uczuć wedle standardów zachodnich jest w tych związkach niewiele. Dowayowie opowiadali mi ze zdziwieniem o żonie amerykańskiego misjonarza, która zwykła wybiegać z domu na powitanie wracającego z podróży męża. Natrzasali się nie bez zdumienia z faktu, że o podwiezienie muszą prosić nie misjonarza, lecz jego żonę, i że misjonarz zdaje się w ogóle jej nie bić.

Nie należy z tego wnioskować, że żony Dowayów to zastraszone nieszczęsnice.

Kobiety nie pozwalają sobie w kaszę dmuchać i z samozaparciem walczą o swoje. W ramach sankcji ostatecznej po prostu odchodzą, wracając do rodzinnej wsi.

Mąż wie, że w takiej sytuacji bardzo trudno będzie mu odzyskać bydło, którym zapłacił za żonę. A zatem grozi mu utrata i bydła, i kobiety. Oto dlaczego odwleka przekazanie obiecanego bydła tak długo, jak to tylko możliwe. Żony nierzadko opuszczają mężów i system przekazywania bydła w kraju Dowayów jest równie podatny na opóźnienia, jak system najefektywniej pracującego kameruńskiego banku. Częstość rozpadania się związków małżeńskich i zaniechanie przez wielu

mężów spłacania należności może doprowadzić do rozpaczliwej etnografii, który stwierdza, że ta sama kobieta pojawia się dwa albo i trzy razy w jego obrachunkach. Albowiem kobieta może zostawić jednego mężczyznę dla drugiego mężczyzny i każdy z nich będzie spokojnie informował antropologa, że jest

ona jego żoną. Pierwszy mąż chętnie opowie, ile go kosztowała, lecz pominię fakt, że zapłata nigdy nie została dostarczona.

Drugi wymieni cenę, którą musiał uiścić, lecz zapomni dodać, że płacił pierwszemu mężowi, a nie rodzicom kobiety.

Pierwszy mąż tymczasem wykorzystał bydło do spłacenia jeszcze bardziej zaległych długów za inne kobiety. Rodzice zbłąkanej żony nachodzą drugiego męża i domagając się bydła,

którego pierwszy nie zdażył dostarczyć, straszą, że kobietę odbiorą. Ten, by się bronić, wspomina nie uregulowane długi sprzed trzech pokoleń, kiedy to nie zapłacono za jego kuzynkę. Beznadziejnie zawikłane dochodzenie trwa.

Dowayowie nigdy nie oceniają przyszłej żony pod kątem

urody - odwołują się raczej do jej uległości i łagodnego usposobienia. Kobiecie nie wolno oglądać obrzezanego prącia, bo

mogłaby zachorować. Mężczyzna nie powinien oglądać sromu, pod groźbą utraty chęci na współżycie. Stąd akt seksualny przebiega w skrytości i w całkowitych ciemnościach, żadna ze stron nie jest też naga. Kobieta nie zdejmuje pęków liści noszonych z przodu i z tyłu. W dawniejszych czasach

mężczyźni odpinali przepaskę na biodra, bo tylko wtedy mogli usunąć zrobioną z tykwy osłonkę na prącie, noszoną po obrzezaniu. Dziś modne są krótkie spodenki i jedynie starsi mężczyźni lub ci, którzy uczestniczą w rytualnych uroczystościach,

noszą takie osłonki. W ramach żartów kobiety wydają policzkami klaskający dźwięk, naśladując odgłos wyciągania męskości z tykwy; dźwięk ten służy także za delikatne określenie

samego stosunku seksualnego. Kobiety zawsze oczekują wynagrodzenia za usługi seksualne. Także w małżeństwie. Fakt ten prowadzi do nieżyczliwych porównań ich koncepcji małżeństwa z prostytutką, czynionych przez misyjnych kaznodziejów, a przecież prowadzenie rachunków zawsze ma sens,

86 87

nawet pomiędzy mężem i żoną. Cała ta wiedza zbudowana została z wielu drobnych informacji; zupełnie inaczej wyglądały badania prowadzone podczas uroczystości, które nie miały nic wspólnego z codziennym życiem.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności przybyłem do kraju Dowayów w roku poprzedzonym przez bardzo udane zbiory prosa (rok Dowayów trwa od jednych zbiorów prosa w początkach

listopada do następnych). Obfitość plonów zachęciła wielu bogaczy do zorganizowania święta czaszek dla swoich zmarłych. '

Ciała zmarłych owija się w grzebalny materiał z miejscowej bawełny i w skóry bydła ubitego specjalnie na tę okazję.

Zmarli chowani są w pozycji kucznej. Po około dwóch tygodniach głowa wydobywana jest przez miejsce, które umyślnie owinięto najcieniej. Sprawdza się, czy w głowie nie tkwią

złe moce, a następnie umieszcza się ją w garnku na drzewie.

W dalszym etapie z czaszkami mężczyzn i kobiet (albo nieobrzczańców) postępuje się odmiennie. Czaszki mężczyzn pozostawiane są w buszu za chatą, w której znajdują miejsce ostatniego spoczynku. Czaszki kobiet umieszczane są za chatą w wiosce, gdzie kobieta się urodziła - po ślubie kobieta przenosi się do wioski męża, po śmierci wraca tam, skąd pochodziła.

Po kilku latach duchy umarłych mogą zacząć niepokoić

swych żywych krewniaków, odwiedzając ich w snach, powodując choroby albo nie racząc wstąpić w trzewia kobiet i wcielić się w nowo narodzone dzieci. Oznacza to, że najwyższy

czas zorganizować święto czaszek. Zazwyczaj ktoś zamożny

zwraca się o poparcie do swoich krewnych, zaprasza ich i częstuje piwem. Jeśli dwa przyjęcia piwne miną bez kłótni, sprawę uznaje się za załatwioną. Pod wpływem alkoholu Dowayowie są skorzy do zwady, jest więc rzeczą niezwykłą, by podczas zakrapianych spotkań obyło się bez sporu - wymaga to szczerego wysiłku ze strony wszystkich uczestników. Fakt, że żadne z przyjęć nie została zakłócone, oznacza istnienie wspólnego celu o wyjątkowym znaczeniu.

Dowiedziałem się od Zuuldiba, że święto takie ma się odbyć

w wiosce odległej o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów, i urządziłem zwiadowczą wyprawę, by ustalić, czy to prawda.

Umiejscowienie wydarzeń w czasie jest po prostu koszmarem dla każdego, kto chce planować przyszłość odleglejszą

niż najbliższe dziesięć minut. Czas mierzony jest w miesiącach, tygodniach i dniach. Starsi Dowayowie mają mgliste

wyobrażenia, co to jest tydzień; wydaje się, że na pojęcie to należy patrzeć jak na zapożyczenie kulturowe, takie jak nazwy

miesiący. Starzy ludzie odliczają dni od chwili obecnej. Aby określić jakiś punkt w przeszłości lub przyszłości, posługują się skomplikowanymi sformułowaniami typu: "dzień przed dniem przed przedwczoraj". Stosując taki system, nie sposób dokładnie określić dnia, w którym coś się powinno wydarzyć.

W dodatku Dowayowie mają duże poczucie niezależności

i oburzają się na każdego, kto próbuje zorganizować im życie. Robią wszystko we właściwym dla siebie momencie. Przyznam, że trochę trwało, zanim do tego przywykłem. Nie znoszę bowiem marnowania czasu, gniewa mnie jego trwonienie,

oczekuję też, że zainwestowany czas jakoś mi się zwróci. Tymczasem zdobyłem chyba rekord świata w uzyskiwaniu odpowiedzi: "To nie jest dobra pora", ilekroć usiłowałem nakłonić Dowayów do pokazania mi czegoś w konkretnej chwili. Umówione spotkanie w danym miejscu i czasie nigdy nie dochodziło do skutku. Ludzie dziwili się, że mogę czuć się obrażony, kiedy zjawiali się o dzień albo o tydzień później lub kiedy pokonawszy piętnaście kilometrów, nie zastawałem ich w domu. Czas zwyczajnie był dla nich niepodzielny. Także niektóre bardziej materialne rzeczy zaliczały się do tej samej kategorii. Tytoń dla przykładu nie podlegał podziałom na twoje - moje. Na początku czułem się okropnie zbity z tropu, gdy mój asystent częstował się z moich zapasów, nie pytając o zgodę, choć nigdy nie przeszedłoby mu przez myśl, by tknąć moją wodę. Dowolność w dysponowaniu tytoniem, podobnie jak i czasem, usankcjonowana przez tutejszą kulturę, pozostaje w jaskrawej sprzeczności z naszymi wyobrażeniami. Niedopuszczalne jest zachowanie tytoniu wyłącznie dla siebie, przyjacielom wolno zajrzeć do twojej kieszeni i wziąć go. Ilekroć płaciłem informatorom paczuszką tytoniu, szybko chowali ją gdzieś przy sobie, z rażącym lekceważeniem reguł skromności, i zmykali do domu, bojąc się rozpaczliwie, żeby przypadkiem nie natknąć się na kogokolwiek w drodze do kryjówek.

88 '~ 89

Ta wyprawa była moją pierwszą wizytą w miejscu, które nazwano Doliną Palm Borassa, ponieważ rozliczne egzemplarze tego gatunku rosły tylko w tym zakątku. Narysowana na starych mapach droga, biegnąca przez dolinę, dziś jest już bardzo zniszczona. Jadąc ostrożnie, można jednak wdrzeć się na kilka kilometrów w głąb mrocznej gardzieli, skąd roztacza się przepiękny widok na góry, wyznaczające granicę z Nigerią. Tutejsze wioski były o wiele bliższe góralskiej tradycji Dowayów aniżeli wioski w mojej okolicy. Nie mogliśmy też zrozumieć ani jednego słowa z tego, co tubylcy mówili, ponieważ posługiwali się odmienną intonacją, przesadnie wznoszącą się i opadającą. Po paru godzinach drogi z Matthieu i Zuuldibem, sunącym na przedzie, dotarliśmy do domostwa naczelnika tego obszaru. Ze względów obronnych chaty stały tak blisko siebie, że trzeba było przeciskać się między nimi na czworakach. Te zaś, przez które wchodziło się do wsi, były tak niskie, że musieliśmy pełzać. W Kongle przeciętny wzrost mężczyzny wynosi około stu sześćdziesięciu centymetrów. Tu mieszkali krzepcy ludzie po metr osiemdziesiąt, dla których rozwiązania tego rodzaju musiały być wysoce niedogodne. Naczelnik, dziwny stary pirat z jednym okiem i o twarzy pooranej głębokimi szramami dla dekoracji, przyjął nas z honorami. Znalazło się naturalnie piwo, do którego Zuuldibo ostro się zabrał. Już się przestraszyłem, że przyjdzie nam spędzić w tej wiosce cały dzień. Potwierdziliśmy fakt, że święto czaszek się odbędzie, choć dokładny termin pozostawał nadal niejasny. Dopiero gdy przeszliśmy do "dzień po dniu po jutrze..:", uświadomiłem sobie, że miejscowy naczelnik jest już pijany. Zuuldibo bardzo się starał go dogonić. Mówił w języku Dowayów, pozostali w języku Fularów. Jeden z synów naczelnika, dołączywszy do nas, posługiwał się francuskim. Po pewnym czasie okazało się, że naczelnik nie ma pojęcia, kim jestem, i że wziął mnie za pewnego holenderskiego językoznawcę, starszego ode mnie o trzydzieści lat, który przez wiele lat mieszkał w jego wiosce i dopiero co ją opuścił. Wszyscy biali wydawali mu się najwyraźniej tacy sami. Byłby szczęśliwy, gdybym

wziął udział w uroczystościach, niezależnie od tego, kiedy się odbęda. Zawiadomi mnie. Wiedziałem z doświadczenia, że tego nie zrobi, ale dziękowałem serdecznie. Udało mi się namówić Zuuldiba do wyjścia, napełniając moją butelkę na wodę taką ilością piwa, by mu starczyło na całą drogę. Tymczasem nastąpiło późne popołudnie bardzo gorącego dnia, skóra schodziła mi z twarzy całymi płatami. Dowayowie przypatrywali mi się uważnie, mając niewątpliwie nadzieję, że niebawem zacznę przebijać spod maski moja prawdziwa czarna natura. Nawet starsi wiekiem Dowayowie maszerowali z prędkością dwakroć większą niż średnia europejska, skacząc z kamienia na kamień jak kozice, ja natomiast zacząłem wkrótce żałować, że nie mam wody. Moje otoczenie okazywało mi uprzejmą cierpliwość, dziwiąc się, że biali ludzie w ogóle potrafią chodzić. Przesadzano trochę z naszą bezradnością, podatnością na choroby i wszelkimi niedyspozycjami, które tłumaczono faktem, że mamy "miękką skórę". Rzeczywiście, skóra na podszewkach i łokciach Afrykanów osiąga grubość dwóch centymetrów i ta zrogowaciała skorupa pozwala im spacerować po ostrych kamieniach, a nawet szkłe - bosy, a bez ryzyka. W końcu dotarliśmy do samochodu i ruszyliśmy, zabierając przechodzącą kobietę. Nie ujechaliśmy dwóch kilometrów, gdy zaczęła wymiotować, w typowy dla Dowayów sposób - na mnie. Podczas mojego pobytu w tym kraju wielu tubylców i tutejszych psów skorzystało z okazji, by na mnie zwymiotować. W porze deszczowej nie było problemu, wystarczyło zatrzymać się nad rzeką i zanurzyć w ubraniu, żeby się zmyło.

Po powrocie do wioski zostałem mile zaskoczony wrodzonym sprytem mojego asystenta. Widząc, jak się sprawy mają w pijanym domostwie naczelnika z doliny, wymknął się po cichu i odszukał pewną młodą damę, którą miał kiedyś okazję poznać, a która uczestniczyła w przygotowywaniu piwa na uroczystość. Z aktualnego zaawansowania procesu fermentacji wywnioskował, że piwo będzie gotowe za dwa dni, a skwaśnieje za cztery. W ten oto sposób ustaliliśmy datę ceremonii.

Chlubna inicjatywa mojego asystenta zbiegła się w czasie z dniem wypłaty; obaj byliśmy cokolwiek zdziwieni, gdy dodałem mu niewielką premię. Był to punkt zwrotny w naszych stosunkach - mój asystent stał się nagle bardzo pilny w tropieniu informacji i uroczystości. Wychodząc, powiedział mi

90 91

jeszcze, że nasza wyprawa wcale nie była konieczna, ponieważ o rychłym rozpoczęciu obrzędów można wnioskować po liczbie ludzi mijających naszą wioskę. Co więcej, nie trzeba pytać o pozwolenie na uczestnictwo. Święta tego rodzaju są świętami publicznymi, a sukces jest tym większy, im więcej zjawi się gości.

Dzień wstał jasny i słoneczny. Obudziły mnie, jak zwykle, głosy Dowayów zatrzymujących się przed chatą i pytających Matthieu: "Jeszcze jest w łóżku?", "Jeszcze nie wstał?". Była za kwadrans szósta. Miałem więc przed sobą pierwszą okazję przetestowania mojego sprzętu - aparatów fotograficznych i magnetofonu - w terenie. Pokazałem Matthieu, jak się obsługuje magnetofon, i umówiliśmy się, że on będzie sprawował pieczę nad nagrywaniem, a ja skoncentruję uwagę na fotografiach i notatkach. Był z tego bardzo zadowolony i paradował dumny jak paw, odganiając ludzi z drogi i jednocześnie pilnując, by wszyscy byli świadomi odpowiedzialności, jaka na

nim spoczywa. Droga piechotą wydłużyła się nam o pięć kilometrów, ponieważ jeden z mostów został zniesiony przez wodę. Szczególnie nieprzyjemne było pokonywanie rwącego potoku. Ślizgając się na mokrych kamieniach, trzymaliśmy sprzęt wysoko nad głowami. Matthieu pochodził z równin i był w nie mniejszym strachu niż ja, podczas gdy nasza eskorta, góral koło pięćdziesiątki, pilotował nas uważnie, przywierając pewnie do skał bosymi stopami. W buszu roiło się od ludzi ciągnących wąskimi ścieżkami, z których wszystkie zbiegały się w miejscu uroczystości. Kobiety zrezygnowały z tradycyjnych liści na rzecz pasków z materiału - widomy znak, że impreza była rzeczywiście publiczna. Prawo nakazuje Dowayom nosić ubrania, jednocześnie zabronione jest fotografowanie nagich piersi kobiet. Gdyby brać to dosłownie, fotografowanie byłoby w ogóle niemożliwe, dlatego, jak wiele innych, zlekceważyłem i ten przepis - z bolesną świadomością, że gdyby zjawili się żandarmi, mógłbym mieć kłopoty. Gdy dotarliśmy do wioski, o mało nie zalała nas rzesza obcych, których należało pozdrowić. Biegła za nami gromada roześmianych dzieciaków, chichoczących i mocujących się z sobą w błocie, trzęsący się starcy podawali nam ręce, usłudze młodzińcy podsuwali mi swoje radia, żeby zapewnić mi stały dopływ nigeryjskiej muzyki. Cierpliwie tłumaczyłem, że interesuje mnie tylko muzyka Dowayów. Starsi byli temu radzi, młodszy czuli się zawiedzeni.

Na wybiegu dla bydła zgromadził się ogromny tłum ludzi tkwiących po kostki w błocie. Zuuldibo usadowił się tymczasem na macie, prezentując się olśniewająco w swych okularach przeciwsłonecznych i z mieczem. Piliśmy piwo. Zuuldibo usiłował wyjaśnić mi, co się dzieje. Zawsze były ogromne problemy z "wyjaśnieniami" Dowayów. Przede wszystkim pomijali najistotniejszy element informacji, który mógłby czynić całą rzecz zrozumiałą. Nikt mi na przykład nie powiedział, że w tejże wiosce mieszka Pan Ziemi, człowiek nadzorujący urodzaj wszystkich roślin, i że w związku z tym poszczególne części obrzędów będą przebiegały inaczej niż gdzie indziej. No cóż, założmy, że niektóre rzeczy są zbyt oczywiste, by o nich wspominać. Objasniając Dowayom zasady prowadzenia samochodu, powinno się im opowiedzieć wszystko o biegach i znakach drogowych, zanim się napomknie, że należy dołożyć starań, by nie wpaść na inny samochód.

Wyjaśnienia Dowayów zawsze kończyły się mówieniem w kółko tego samego - tego, o czym już widziałem.

- Po co to robicie? - pytałem.
- Bo tak trzeba.
- Dlaczego tak trzeba?
- Przodkowie nam to powiedzieli.
- Dlaczego przodkowie powiedzieli wam, byście to robili?
- pytałem chytrze.
- Bo tak trzeba.

Nie potrafiłem znaleźć drogi, by obejść "przodków", od których wszelkie wyjaśnienia się zaczynały i na których się kończyły.

Z początku Dowayowie zbijali mnie z tropu życzeniowym opisywaniem zjawisk.

- Kto urządza święto? - pytałem.
- Mężczyzna z kolcami jeżozwierza we włosach.
- Nie widzę nikogo z kolcami jeżozwierza we włosach.
- Bo on ich nie nosi.

Sprawy przedstawiano takimi, jakimi powinny być, a nie takimi, jakimi były.

Dowayowie mają też wielką skłonność do strojenia żartów, . ' Zawsze starałem się zapisywać, w liście jakich gatunków roś- ` ' lin ubrani byli poszczególni uczestnicy danego obrzędu, sądziłem bowiem, że te szczególne kostiumy mogą mieć jakieś ważne znaczenie. Wciąż jednak byłem oszukiwany przez "żartownisiów", mężczyzn obrzezanych w tym samym czasie, co "bohater" uroczystości, albo kobiety, które zaczęły miesiączkować w tym samym czasie, co "bohaterka" uroczystości. Zjawiali się w dziwacznych kreacjach z tajemniczych liści i wszystko mi psuli. Istotną sprawą było zidentyfikowanie ich zaraz na początku, żeby nie mylić ich wymysłów z rutynowymi praktykami, które starali się zakłócić. Należało również brać pod uwagę fakt, że niekiedy ta sama osoba wykonywała podczas uroczystości rozmaite zadania. Podczas tego konkretnego święta jeden z kłownów, mogący ", jako jedyny zajmować się czaszkami, był równocześnie młodszym bratem zmarłego mężczyzny, który dał powód do całej tej uroczystości. Odgrywał więc rolę to kłowna, to organizatora, i dla kogoś obcego nie było całkiem jasne, gdzie zaczyna się i kończy jedna z tych ról, a gdzie zaczyna się i kończy druga. Człowiek ów zastępował także w wielu czynnościach niedomagającego już z racji wieku miejscowego czarownika. A zatem jeden mężczyzna wypełniał trzy odrębne zadania systemu kulturowego.

Wszystko to pozostawało, naturalnie, daleko poza zakresem moich możliwości analitycznych. Siedziałem jedynie na wilgotnym kamieniu, patrzyłem, zadawałem głupie pytania i fotograf owałem sceny, które wydawały mi się interesujące. Pierwszego dnia można było obejrzeć wiele rzeczy, między innymi kłownów. Kłowni wyglądali ekstrawagancko z twarzami umalowanymi do połowy na biało, od połowy na czarno. Mieli na sobie tandetne, stare gałgany i piskliwym, wysokim głosem - po części w języku Fulanów, po części w języku Dowayów - wykrzykiwali lubieżności i bzdury. "Cipa piwa!", wrzeszczeli. Tłum ryczał z ukontentowania. Wypinali się i pszczyli ogłuszające baki - nie wiem, jakim cudem. Usiłowali kopulować ze sobą. Zachwycali się moją osobą. "Robili zdjęcia" przez kawałki stłuczonego naczynia, "zapisywali" coś na liściach bananowca. Odpłaciłem im pięknym za

94

...

nadobne. Gdy przyszli po pieniądze, uroczyście wręczyłem im zakrętkę od butelki. Tuż za wioską znajdowały się ułożone osobno czaszki mężczyzn i kobiet. Zarzucone były ekskrementami kóz, bydła i owiec, które zarżnięto w wielkiej liczbie.

Gospodarze obcinali głowy kurczakom i ich krwią skrapiali czaszki swych umarłych. Kłowni rozpoczęli walkę o ścierwo, brodząc w mieszaninie błota, posoki i odchodów. Upał był straszliwy, tłum ogromny. Kłowni uznali za zabawne ochlapać zebranych krwią i breją możliwie jak najdokładniej. Panował tak okropny smród, że kilku Dowayów zaczęło wymiotować, dodając kolejnego składnika do wyziewów. Wycofałem się poza krąg zabawy. Nagle zaczęło lać, skuliliśmy się więc z Zuuldibem pod koroną drzewa, trzymając nad głowami liście palm.

Wśród tłumu dały się słyszeć szepty i w centrum zainteresowania ogółu znalazł się niewielki człowieczek. Był niski i żyłasty, usta miał silnie rozwarte, co, jak się później przekonałem, powodowała proteza, pochodząca z drugiej ręki, czy raczej z drugiej szczęki. Możliwość zobaczenia, jak jest wyjmowana i wkładana, stanowiła jedną z większych atrakcji w kraju Dowayów. Człowieczek siedział sztywno pod czerwonym parasolem, spoglądając na prawo i lewo z wyrazem dobrotliwej wszechwiedzy. Nikt nie potrafił mi powiedzieć, kim był.

- Starzec znany z wielkiej dobroci - wyjaśnił Zuuldibo. - Nie wiem - rzekł Matthieu, spoglądając z ukosa. Przyniesiono starcowi garniec piwa - posmakował napoju

i zniknął w buszu. Zapanowało wyraźne napięcie. Wszyscy milczeli. Po jakichś dziesięciu minutach stary człowiek pojawił się ponownie. Deszcz zaczął słabnąć. Powszechna ulga była odczuwalna nawet dla mnie. Nie miałem pojęcia, o co chodzi, ale wiedziałem, że lepiej nie naciskać z pytaniami. Pomyślałem, że Zuuldibo będzie bardziej rozmowny, gdy zostaniemy sami.

Później nastąpiła jedna z owych niezmiernych dłużyzn, które charakteryzowały wszystkie zorganizowane działania Dowayów. Spostrzegłem, że potrafię wrzucić bieg pod hasłem "badania terenowe", czyli wprowadzić się w stan bez mała zerowej aktywności, kiedy to człowiek zdolny jest czekać całymi godzinami bez zniecierpliwienia, rozczarowania

95

czy liczenia na coś lepszego. Po długim czasie okazało się, że tego dnia nic już się nie wydarzy. Kilko krewnych musiało źle zrozumieć datę rozpoczęcia uroczystości i nie przybyło. Być może zjawia się jutro. Wszczęto zatem gorączkowe przygotowania do noclegu. Matthieu zniknął, by zająć się kwaterą dla mnie. Zuuldibo oświadczył, że będzie siedział pod drzewem, póki starczy piwa. Krótka wędrówka przez busz, przeprawa przez dwie rzeki, oraz parzące trzciny i znalazłem się w chacie pewnego interesownego człowieka, który wygonił syna, by zapewnić sobie samemu dach nad głową. Ponieważ o to wypytywałem, dał mi do zrozumienia, że tej nocy jego syn zostanie łaskawie przyjęty przez pewną dziewczynę, a więc nie będzie mu źle.

Nigdy nie widziałem brudniejszej chaty. W pudle w rogu leżały rozkładające się zwłoki kurcząt, ich krew męzczyzna poświęcił zapewne tego dnia zmarłym. Na belkach pod sufitem znajdowały się zrobione ręcznie przedmioty, potrzebne w następnych etapach uroczystości: flety, na których grano nad zamordowanymi, końskie ogony i materiały grzebalne, używane do ozdabiania czaszek przed rytualnym tańcem. Na podłodze było pełno nieczystości. Kiedy chciałem się położyć, spostrzegłem na łóżku kilka obgryzionych do połowy kawałów mięsa i gnatów, resztek po zabitych w ofierze bydłętach.

Ze wsi dochodziły odgłosy bębnow i śpiewów, opadająco-wznoszący się rytm ukołysał mnie do snu, skulonego pod moimi mokrymi rzeczami. Postawiło mnie na nogi skrobanie do drzwi. Już obawiałem się kolejnej pani Ku-iii, ale to Matthieu przyniósł mi gorącą wodę w kalebasie.

- Gotowała się przez pięć minut, można pić.

Miałem przy sobie trochę rozpuszczalnego mleka z kawą i sporo cukru, gdyby któryś z Dowayów wyraził nań ochotę. Podzieliliśmy się kawą, Matthieu wsypał sobie sześć łyżeczek cukru. Poczucie obowiązku kazało mi spytać o przedmioty pod sufitem i wtedy zostałem oświecony.

- Ten stary człowiek, dzisiaj, to Stary Człowiek z Kpan, najważniejszy spośród wszystkich zaklinaczy deszczu. Zuuldibo przedstawi pana jutro.

Matthieu wyszedł, a ja słyszałem, jak jakiś Dowayo pyta głośno:

- Twój pan już śpi?

Pierwszym człowiekiem, którego ujrzałem następnego dnia, był Augustin - oderwał się na chwilę od obowiązków w Poli. Jak przystało na prawdziwego afrykańskiego mieszczucha, nie wpadłby na to, by wybrać się dokądkolwiek na piechotę. Udało mu się przytaszczyć ze sobą motocykl, dotarł na miejsce dość późno, spędził więc noc z kolejną usłużną kobietą Dowayów - jak się później okazało, z kapryśną żoną Starego Człowieka z Kpan. Wioska była jej wioską rodzinną, dlatego i ona przybyła na uroczystości. Rano brat kobiety niedwuznacznie wskazał Augustinowi drzwi, strasząc, że jeśli zaklinacz odkryje prawdę, wszyscy zginą od pioruna. Zbiór danych o Starym Człowieku, otwarty dopiero wczoraj w moim umyśle, szybko się zapełniał.

Alę wydarzenia dnia sprawiły, że o nim zapomniałem. Święto czaszek u Dowayów przypomina nieco rosyjski cyrk, gdzie cztery różne numery pokazywane są jednocześnie. Po końcowym szale rzucania ekskrementami kłowni zaczęli czyścić czaszki. A tymczasem dziewczęta, pochodzące z tejże wsi, zostały przyprowadzone przez swoich mężów i przystrojone na wzór fulańskich wojowników. Tańczyły na wzgórzach, wymachując dzidami przy akompaniamencie "gadających" fletów, które naśladują dźwięki mowy. Oto jeszcze jeden aspekt języka Dowayów, którego nie udało mi się opanować. Gra na flecie zachęcała dziewczęta do popisywania się bogactwem mężów, którzy nękali je bezlitośnie, by dały z siebie wszystko,

przyozdabiając je okularami przeciwsłonecznymi; pożyczonymi zegarkami, radiami i innymi towarami, mającymi stanowić dodatek do ich szat. Niektórzy mężczyźni przypinali im do głów pieniądze.

W innej części wsi urzędowały wdowy po mężczyznach, dla których święto się odbywało. Odziane w długie spódnice z liści i stożkowe kapelusze z tej samej rośliny, tańczyły szeregami jak w rewii. Zbierałem tyle informacji, ile się dało, pozostawiając wysiłek inteligentnej analizy na później. Matthieu latał od grupy do grupy i nagrywał, co mógł, przepychając się na czoło każdego tłumu, czego ja nigdy bym nie dokonał.

W oddali ukazała się kolejna grupa, niosąca dziwne zawiniątko i wymachująca nożami. Dowiedziałem się później, że byli

96 7 - Niewinny antropolog 9%

to obrzezańcy niosący łuk mężczyzny, na którego cześć zorganizowano uroczystość, i śpiewający pieśni wykonywane podczas obrzędu obrzezania. Nagle rzuciła się na nich grupa wrzeszczących chłopców. Myślałem, że jestem świadkiem prawdziwej, spontanicznej bijatyki, ale sądząc po uciesze widzów, musiał to być element zamierzony.

- Ci nie są obrzezani - wyjaśniła jakaś pomocna dusza. To tak zawsze.

Nie mogłem się opanowali, by nie spytać: dlaczego? Człowiek spojrzał na mnie jak na wariata.

- Przodkowie tak kazali. I odszedł.

Coś działo się przy czaszkach, wycofałem się więc na tyły, podczas gdy Matthieu miał na oku walczących. Czaszki mężczyzn owijano wśród sporów, które nieuchronnie towarzyszą wszystkim grupowym działaniom Dowayów, w coś, co nawet ja potrafiłem rozpoznać jako ubranie dla kandydata do obrzezania. Czaszki kobiet sromotnie zepchnięto na bok i zapomniano o nich. Przegnano kobiety i dzieci. Męskie czaszki poszturchiwano, dmuchając przy tym we flety, które widziałem pod dachem mojej kwatery.

- Straszą umarłych obrzezaniem - wyjaśnił Zuuldibo zagadkowo.

Jeden z mężczyzn podźwignął czaszki nad swoją głowę. Zaintonowano dziwną, przerażającą melodię, wspomagana osobliwym brzmieniem gongów, bębnów i głębokim dźwiękiem fletów. Z zawiniątka wydobywano długie pasy materiałów grzebalnych, które podtrzymywali kołyszący się mężczyźni, tak że figura ta przypominała ogromnego pajaka. Inni nakładali na siebie zakrwawione skóry zarżniętych na uroczystość zwierząt, opierali ich głowy na swoich głowach i ze strzępem surowego mięsa w zębach okrażali czaszki w osobliwym tańcu z przytupami, ukłonami i przechyłami w tył. Wszystko to było pełne smrodu, hałasu i ruchu. U wejścia do wsi tańczyły wdowy, przywołując zmarłych, których czaszki krążyły powoli wokół centralnego drzewa, póki nie zostały złożone przy bramie, gdzie spoczywały czerepy zaszlachtowanego bydła. Gospodarz uroczystości podskakiwał przy nich i wykrzykiwał:

- To dzięki mnie ci mężczyźni zostali obrzezani. Gdyby nie biały człowiek, zabiłbym człowieka.

Oczywiście potraktowałem to jako aluzję do mojej osoby, wyobrażając sobie, że unikano najrozmaitszych drastycznych wydarzeń ze względu na mnie. Moją pierwszą reakcją było rozczarowanie. Miałem ochotę krzyknąć: "Nie zwracajcie na mnie uwagi. Nie po to tu przyjechałem". Później dowiedziałem się, iż w dawnych czasach rzeczywiście uśmiercano na taką uroczystość człowieka, a jego czaszkę rozbijano kamieniem na drobne kawałki. Dopiero rządy centralne - francuski, niemiecki i kameruński - położyły kres tym praktykom.

Kiedy impreza ograniczyła się jedynie do picia piwa i ogólnych tańców, postanowiliśmy wracać do Kongle. W drodze Zuuldibo zбочzył z trasy i zaprowadził nas do odosobnionego domostwa na zboczach góry. W środku siedział Stary Człowiek z Kpan. Odbyliśmy zawiłe powitania. Przyciskał mnie do serca, trwał w uniesieniu, wzdychając, pojękując i cmokając niczym stara panna na widok ukochanego siostrzeńca. Znowu przygotowano ciepłe piwo, siedliśmy w kółku w zapadającym

zmroku i rozmawialiśmy. Stary Człowiek przerywał nam od czasu do czasu w pół zdania, by wyrazić swą radość z mojej obecności. Rozumiał, że interesują mnie obyczajne Dowayów, a on żyje długo i wiele widział, może mi więc pomóc. Powinienem go wkrótce odwiedzić. Przyśle po mnie. Teraz jest bardzo zajęty - spojrzał wymownie. Staralem się zrewanżować równie wymownym spojrzeniem. Byłem drugim białym człowiekiem, który odwiedził jego dolinę.

- Tamten to Francuz czy Niemiec? - spytałem, starając się umieścić ową wizytę w czasie.

- Nie, nie. Biały jak ty:

Poczęstowałem zebranych orzeszkami koli, które miałem ze sobą, i ruszyliśmy w drogę powrotną, lawirując ku głównemu traktowi wśród granitowych otoczek i strug wody spływającej z gór. W dolinie zbierały się gęste mgły i zapowiadała się bardzo chłodna noc. Zanim dotarliśmy do samochodu, trzęśliśmy się już wszyscy z zimna i z lubością myśleliśmy o zaletach Kongle. W Afryce Zachodniej pogoda jest sprawą zdecydowanie lokalną. W jednym miejscu ulewa może być dwakroć obfitsza niż w innym, oddalonym raptem o kilka

98 . ~ 99

kilometrów. Noce w Kongle zawsze były o pięć stopni cieplejsze niż w tym krańcu kraju Dowayów, w którym się obecnie znajdowaliśmy, a po drugiej stronie gór było jeszcze cieplej.

Ledwie samochód ukazał się naszym oczom, wiedzieliśmy, że wydarzyło się coś złego. Stał jakos dziwnie przechylony. Podczas całego mojego pobytu w kraju Dowayów okradziono mnie jeden jedyny raz - w misji. Przywykłem więc, z dala od wpływów cywilizacji, niczego nie zamykać. Może więc ktoś zwolnił hamulec i go przepchnął?

Zaraz wszystko się wyjaśniło. Zaparkowałem na skraju wąwozu, bo dalsza droga wiodła ku zniesionemu przez wodę mostkowi. Ulewny deszcz poprzedniego dnia zmiękczył podłoże w dostatecznym stopniu, by samochód rozkruszył je swym ciężarem. Zwiślał teraz dwoma kołami jednego boku ponad dwudziestometrowym urwiskiem, zrównoważony tak idealnie, że kołysał się lekko pod dotykiem. W tej sytuacji potrzebowaliśmy wręcz zwierzęcej siły, a przecież wszyscy byli na uroczystości. Sami nic nie mogliśmy poradzić. Chwyciliśmy notatnik, aparat, magnetofon i ciężkim krokiem, przygnębieni, ruszyliśmy z powrotem. Mizerny koniec udanego dnia. Zuuldibo wprowadzał nas w stan jeszcze większego przygnębienia, powtarzając z uporem sformułowania typu: "Cierpienie ludzka rzecz". Znał je zapewne od miejscowych mużulanów, którzy czerpali taką pociechę ze swej religii. Zuuldibo dysponował niewyczerpanym zapasem podobnych powiedzonek.

- Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi - głosił, gdy pławiliśmy się w lodowatej rzece. - Nikt nie zna swojej przyszłości - perorował, wspinając się na czworakach ku wsi.

Postanowiliśmy znaleźć miejscowego naczelnika. Jeśli istnieje coś bardziej beznadziejnego niż próba ustalenia czasu spotkania z Dowayami, to jest tym poszukiwanie osoby lub miejsca. Mówiono o naczelniku rozmaite rzeczy, i to w wielkim zaufaniu: że jest w swojej chacie, że jest w Poli, że jest chory, że jest pijany - wszystko wyjąwszy, że umarł lub jest we Francji. Nie udało mi się stwierdzić w sposób zadowalająco pewny, czy takie postępowanie Dowayów to odzwierciedlenie podstawowej różnicy epistemologicznej pomiędzy nami,

100

czyli niejednakowego rozumienia pojęć takich jak "wiedza", "prawda", "dowód" - czy też oni po prostu kłamali. Czy mówili mi to, co - jak sądzili - pragnę usłyszeć? Czy uważali, że lepszy fałsz, w który się wierzy, niż wątpliwość? Czy może żelazną zasadą ich kultury jest wprowadzanie obcych w błąd, kiedy tylko się da? Skłaniałem się do ostatniego wytłumaczenia.

W końcu zlokalizowaliśmy go. Podniósł głośny lament nad naszym nieszczęściem. Nic jednak nie można poradzić nocą, wyjaśniał, z uwagi na niebezpieczeństwa,

które niesie z sobą ciemność, ale następnego ranka sam zajmie się zorganizowaniem pomocy.

- Cierpienie ludzka rzecz - powiedziałem. Zuuldibo zachichotał, Dzieliliśmy z Matthieu chatę stojącą pośrodku plantacji bananów i posilaliśmy się nimi w przenikliwym zimnie. Nasza kwatery była wyposażona w wygasające ognisko i śpiącego psa, który nie zwrócił na nas żadnej uwagi. Doszedłem do wniosku, że to musi być czyjaś kuchnia, ale dlaczego usytuowano ją w takim oddaleniu, pozostało dla mnie tajemnicą. Poza tym żaden Dowayo przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby psu leżeć przy ogniu wewnątrz chaty. Matthieu zresztą zareagował, jak przystało na Dowaya, i zaczął rozglądać się za jakimś polanem, by dać psu po głowie.

Kiedy już je znalazł, ubiegłem go i wsadziłem je do ognia. Spędziliśmy noc leżąc na klepisku w naszych mokrych ubraniach. Ja miałem może lepiej, bo pies zrobił sobie legowisko u moich stóp, ale ta noc nie zapisała się w mej pamięci jako najweselsza. Panowało przejmujące zimno, Matthieu chrapał, pies miał kaszel. Szacowałem prawdopodobieństwo osunięcia się w przepaść samochodu, za który jeszcze nie zapłaciłem, i pocieszałem się myślą o wspaniałym materiale, który zgromadziłem tego dnia, choć dalej nie miałem pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło. Zasnąłem tuż przed świtem, z aparatem fotograficznym pod głową i ręką na notatniku - jak średniowieczny terminator, sypiający z narzędziami swego rzemiosła.

Matthieu obudził mnie o brzasku. Flegmatyczny pies spał nadal. Po stosunkowo krótkich ustaleniach ruszyliśmy z czterema

101

rosłymi mężczyznami w stronę samochodu. Peugeot 404 jest bardzo ciężkim autem i nie pojmowałem, co ci czterej mężczyźni mogą zdziałać, uważałem bowiem, że trzeba nam dwunastu. Z czasów studenckich hulank pamiętałem, że czterech chłopów potrafiło przestawić co najwyżej mini morrisa. Zuuldibo zabawiał nas opowieścią o nocy spędzonej z mężczyzną cierpiącym na biegunkę. Dowayowie dysponują mnóstwem najosobliwszych dźwięków na określenie ruchu i zapachu. Zuuldibo zaprezentował całą ich gamę, więc gdy dotarliśmy na miejsce, wszyscy byli w znakomitych nastrojach. Nie czekając na instrukcje, mężczyźni wpełzli, pod samochód od strony przepaści i zapierając się bosymi stopami o krawędź skały, po prostu unieśli go - z urągającą moim przewidywaniom łatwością - i przepchnęli na twardy grunt. Absolutny brak jakiegokolwiek wysiłku z ich strony wskazywał, że wystarczyłoby dwóch do tej roboty. Zuuldibo z zachwytem klaskał w dłonie i klepał się po udach. Dla uczczenia sukcesu wydał z siebie kolejny potok klaskania, mlaśnień, losowych pomruków. Byłem zmieszany, bo wiedziałem, że powinienem dać im trochę drobniaków w dowód wdzięczności, a nie miałem przy sobie pieniędzy. Wręczyłem im więc kilka lichych papierosów. Mężczyźni byli wyraźnie rozczarowani, ale nie wnosili pretensji. Od tamtej pory zawsze ruszałem w teren z wodą, puszką mięsa, drobnymi pieniędzmi i tygodniową dawką pigułek przeciw malarii - od dwóch dni ich nie brałem i obawiałem się najgorszego. Już prawie czułem narastającą gorączkę i chciałem jak najprędzej znaleźć się blisko swojej apteczki.

Dzień odpoczynku przywrócił nam ducha. Jedynym źródłem dolegliwości były moje stopy. Wokół paznokci paluchów pojawiły się dziwne krwiste plamy, którym towarzyszyło potężne swędzenie. Miałem pchły piaskowe. Są to nieprzyjemne pasożyty, które składają jaja wewnątrz skóry, stopniowo atakując całą stopę. Starzy afrykańscy wyjadacze powiedzą wam, że trzeba wówczas oddać się pod opiekę tubylców, którzy potrafią wyciągać je przy pomocy agrafki tak, by nie pękły odwłoki pełne jaj. Dowayowie wszakże nie mają agrafek, nie mają też doświadczenia w postępowaniu z pchłami piaskowymi. Będąc zmuszony do ratowania się na własną rękę, wydlubywałem je szczyrykiem, obficie naruszając skórę, by pozbyć się także jaj, a potem przemywałem ranę alkoholem i roztworem antybiotyku. Te drastyczne, ale

konieczne zabiegi ograniczyły na pewien czas moją zdolność poruszania się, co jednak było względnie nieistotne. Miałem w końcu materiał, nad którym musiałem pracować, a zacząłem od zgłębiania tajemnic notatek zrobionych podczas święta czaszek. Każdą stroną notatnika mógłbym zajmować się kilka dni, dociekając, co takiego widziałem, czy da się to porównać z podobnymi uroczystościami w naszej wsi, jakie wnioski o kulturze można wysnuć. Na przykład: mężczyzna, który trzymał czaszki podczas tańca, nie mógł być nikim innym, tylko dusze zmarłego. By zrozumieć, co to słowo oznacza, należało rozpracować wszystkie określenia związane z pokrewieństwem. Próba zrobienia tego, nawet pobieżnie, za pośrednictwem francuskich odpowiedników, okazała się chybiona, choć błędy, które Dowayowie popełniają mówiąc po francusku, były mi bardzo pomocne. Dowayowie nie odróżniają na przykład bratanka od wujka ani dziadka od wnuka. Sugeruje to, że używają dla tych osób jednakowych określeń, co się rzeczywiście potwierdziło. Terminologia ma silne cechy wzajemności. Jeśli nazywając kogoś, używam jakiegoś określenia, on także używa tego określenia wobec mnie. Opracowanie tego wszystkiego zajęło mi dużo czasu. W końcu zabrałem trzy ostatnie butelki piwa - ponieważ w Poli piwa zabrakło, po następne trzeba by pojechać ponad trzysta kilometrów i wynająłem klasę z tablicą. Mężczyźni wysiadający na rozdrożach byli bardzo zadowoleni, że mogli przyjść i w zamian za piwo pogadać ze szczodrym szaleńcem. Natychmiast chwycili zasady sporządzania wykresu zależności rodzinnych i odbyliśmy bardzo pouczającą sesję. Wiele napisano o umiejętności i braku umiejętności radzenia sobie z pytaniami hipotetycznymi wśród ludów prymitywnych. Ja osobiście nigdy nie byłem pewien, czy moje trudności są trudnościami natury czysto językowej, czy składają się na nie także inne przyczyny.

- Jeśli masz siostrę - zaczynałem - i ona wychodzi za męża, jak nazywasz...

- Nie mam siostry.

102 ~ 103

- A gdybyś miał siostrę...

- Ale ja nie mam siostry. Mam czterech braci.

Po kilku daremnych próbach odzywał się Matthieu.

- Trzeba tak. Mężczyzna ma siostrę. Inny mężczyzna ją bierze. Ona jest jego żoną. Jak mężczyzna nazywa jej męża? Otrzymywał odpowiedź. Przyjąłem ten sposób i nie miałem

więcej kłopotów - póki nie doszliśmy do terminu duuse. - Kim jest twój duuse? - próbowałem.

- Żartujemy z nim.

- Skąd wiesz, że on jest twoim duuse?

- Wiemy o tym od dziecka. Żartujemy z nim. - Gdzie on mieszka?

- Gdziekolwiek.

- Jeśli on jest twoim duuse, jak nazywa go twój ojciec? Cisza.

- Będzie go nazywał dziadkiem.

- A jak będzie go nazywał twój syn? - Mój syn nazywa go dziadkiem. Olśniło mnie.

- Czy ty też nazywasz go dziadkiem? - Tak.

W kraju Dowayów wszyscy starzy mężczyźni nazywani są przez młodych dziadkami.

Słowo to nie oznacza nic poza różnicą wieku. Większą część poprzedniego popołudnia spędziłem na wychwyceniu tej kwestii. Spróbowałem z innej beczki.

- Czy duuse należy do twojej rodziny, czy stał się krewnym poprzez małżeństwo?

- Do mojej rodziny - powiada jeden.

- Poprzez małżeństwo - powiada drugi. - On jest jak dziadek.

Jałem się jeszcze innego sposobu. - Ilu masz duuse?

- Skąd mogę wiedzieć?

i Pomyślałem, że słowo to może odnosić się do innych związków ze światem niż pokrewieństwo biologiczne, że może być określeniem zupełnie innego rodzaju.

Próbowałem wszystkiego: miejsca pobytu, związku z domem czaszek, relacji z

handlem wymiennym, ale wciąż wydawało mi się, że nie wiem, o co chodzi. Posłużyłem się jeszcze innym kruczkiem - na kłoniłem ludzi do przedstawienia mi swoich duuse. Siedzieliśmy i z mozołem ustalaliśmy relacje pokrewieństwa między nimi. W końcu stworzyłem sobie pewien obraz dotyczący duuse. Moim duuse był ktoś, z kim łączyło mnie zwykle pokrewieństwo ze strony pradziadka albo jeszcze odleglejsze, pod warunkiem przynajmniej jednego rodzinnego powiązania po kadzieli. Innymi słowy, był to ktoś taki jak dziadek matki, dla którego nie istniało inne określenie, kto należał do innego domu czaszek niż ja i był osobą na tyle daleką, że niemożliwe było dokładne ustalenie więzów pokrewieństwa. Dlatego nawet wtedy, gdy miałem przed sobą dwóch duuse, często przedstawiali mi oni niejednakowy obraz pokrewieństwa między sobą. Jeden mężczyzna mógł więc mieć wielu potencjalnych duuse, spośród których wybierał sobie kilku, by z nimi żartować i odbywać praktyki rytualne.

Podobne problemy wpływały także przy najbardziej banalnych kwestiach: piórach, które mężczyźni nosili przy różnych okazjach, liściach używanych podczas obrzędów, zwierzętach, które mogły lub nie mogły być zabite. Wszystko to wydawało się istotne dla ustalenia, w świecie jakiej kultury żyli Dowayowie. Na przykład leopárd zajmuje w tym świecie bardzo istotne miejsce, choć w kraju Dowayów leopárdy nie pojawiały się już od trzydziestu lat. Leopárdy mordują ludzi i zwierzęta i są w tym względnie równe Człowiekowi. Mężczyźni dokonujący obrzezania, jako ci, którzy przelewają ludzką krew, powinni wydawać pomruki jak polujące leopárdy, a chłopców poddawanych zabiegowi przebiera się za~ młode leopárdy. Ktoś, kto zabił leopárda, musi poddać się tym samym obrzędom jak ten, kto zabił człowieka. Zabójców ludzi nazywa się "leopárdami" i pozwala się im nosić pazury leopárda przy kapeluszu. Mówiąc o swoich obrzędach grzebalnych, Dowayowie chlubią się faktem, że leopárd podobnie jak oni umieszcza czaszki na drzewach - odnosi się to do leopárdziego zwyczaju wciągania zdobyczy na drzewo w celu zjedzenia jej. Dowayowie wierzą, że potężni i niebezpieczni ludzie, na przykład zaklinacze deszczu, mogą zamienić się w leopárda. Wszystkie te postawy są spójne i "mają sens", jeśli traktuje się je jako sposób myślenia o dzikiej i skłonnej do gwałtu części natury ludzkiej.

104 ~ 105

Ale nawet tak prosta i oczywista - dla antropologa - dziedzina badań zajęła mi tygodnie nieprzerwanych dociekań. Ludzie niechętnie mówili o zaklinaczach deszczu i leopárdach. Sporą wiedzę na ten temat zyskałem dopiero podczas pogawędki z chłopcem, na którego natknąłem się w trakcie jednej z moich piątkowo-pocztowych wypraw. Deszcz unieruchomił nas pod drzewem i rozmowa naturalną koleją rzeczy zeszała na zaklinaczy. Chłopiec wskazał na górę zawsze skrytą w chmurach.

- Tam mieszka jeden z nich - rzekł. - Domboulko. Nawet w porze suchej tam zawsze jest woda. Ale najlepszy jest mój ojciec z Kpan. Kiedy umrze, kupię tajemnicę deszczu, jak tylko on zamieni się w leopárda.

Nadstawiłem uszu i zacząłem czerpać z owej żyły złota, jako że chłopak opowiadał bez żadnych oporów dokładnie o tym, co najbardziej mnie interesowało. Nim doszliśmy do Poli, wiedziałem, jak ważne są niektóre góry i jaskinie, wiedziałem o istnieniu kamieni, które rodzą deszcz, o mocy zabijania błyskawicami, którą ma zaklinacz deszczu (i o tym, że ma sztuczne zęby). A skoro już to wszystko wiedziałem, nie miałem kłopotu z potwierdzeniem wiadomości u ludzi z mojej wsi. Ten fragment układanki o leopárdach i specjalistach od deszczu spadł mi z nieba przez czysty przypadek. Gdybym nie znalazł się był na owej konkretnej drodze o owej konkretnej porze dnia, mógłbym nie dowiedzieć się tego wszystkiego nigdy, albo dowiedzieć się nie wiadomo kiedy.

W gruncie rzeczy, nawet w przypadku tak ważnego zwierzęcia jak leopárd miałem problemy z informatorami. Zwyczajowo przypisuje się Afrykanom własną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie wiedzę o świecie fauny i flory. Uważa się,

że są ekspertami w rozpoznawaniu roślin - zarodników, woni, znaków na drzewach. Że potrafią drobiazgowo przeanalizować, do jakiej rośliny należy dany liść, owoc, kawałek kory. Jedynym ich nieszczęściem jest zaś to, że ludzie Zachodu wciąż się do tego wtrącają, mając do upieczenia przy afrykańskim ogniu własną pieczeń. W czasach, kiedy uznawano prymat kultury Zachodu, było intuicyjnie oczywiste, że Afrykanie mylą się w wielu sprawach i są po prostu niezbyt roztargnięci. Toteż przyjmowano bez zdziwienia, że ich umysły

106

nigdy nie rozwijały się bardziej niż ich brzuchy. Antropolog nieuchronnie obsadzany był w roli osoby wykazującej błędy takiego postrzegania człowieka prymitywnego i szukał sposobu, by dowieść, że jest jakiś sens, jakaś logika w postępowaniu tubylców, a ich umysły posiadają mądrość, która uszła uwagi obserwatora z Zachodu. W dobie Nowego Romantyzmu etyczny antropolog stwierdza ze zdziwieniem, że oto znajduje się w zgoła innym położeniu. Dziś człowiek prymitywny wykorzystywany jest przez Zachód, tak samo jak wykorzystywany był przez Rousseau czy Montaigne'a, jako dowód na tezy o społeczeństwie zachodnim i argument przeciwko tym jego cechom, które uważa się za nieatrakcyjne. Dzisiejsi "myśliciele" równie mało przejmują się faktami i wyważonymi osądami, co ich przodkowie. Przykładem tego stanu rzeczy, który wydał mi się szczególnie jaskrawy, jeszcze zanim przybyłem do kraju Dowayów, była wystawa wyrobów Indian. Pokazano na niej drewniane canoe. "Drewniane canoe - objaśniano - harmonizuje z otoczeniem i nie powoduje jego skażenia". Obok widniało zdjęcie przedstawiające proces wytwarzania canoe, podczas którego Indianie wypalają ogromne obszary leśne, by wykorzystać część odpowiedniego drewna, porzucając całą resztę, by zgniła. "Szlachetny dzikus" wstał z grobu i ma się dobrze w centrum Londynu, podobnie jak kilka wydziałów antropologii.

Prawda jest taka, że moi Dowayowie wiedzieli o afrykańskich zwierzętach żyjących w buszu mniej ode mnie. Jeśli idzie o ślady, potrafili odróżnić ślady motocykla od śladów stóp ludzkich i był to szczyt ich umiejętności. Jak większość Afrykanów wierzyli, że kameleony wydzielają truciznę. Zapewniali mnie, że kobry są nieszkodliwe. Nie mieli pojęcia, że gąsienice przeobrażają się w motyle. Nie rozróżniali ptaków, nie można też było na nich polegać, jeśli chodzi o rozpoznawanie gatunków drzew. Wielu roślin w ogóle nie nazywali, chociaż często o nich mówili, co wymagało długich objaśnień: "roślina, której kory używa się do robienia farby". Większość zwierzyny w kraju Dowayów wykańczano za pośrednictwem sideł. Jeśli chodzi o "życie w harmonii z naturą", to w przypadku Dowayów w ogóle nie ma o czym mówić. Wielekroć czynili mi wymówki, że nie przywiozłem z kraju białego człowieka

107

F

broni, dzięki której mogliby ostatecznie wytępić pożałowania godne stada antylop, uporczywie buszujących po okolicy. Kiedy Dowayowie zaczęli uprawiać bawełnę dla monopolu państwowego, udostępniono im spore ilości pestycydów. Od razu wykorzystali je na potrzeby rybołówstwa. Wrzucali pestycydy do strumienia i wyławiali zatrute ryby, dryfujące po powierzchni. Środki te zastąpiły korę drzew, której tradycyjnie używano do uspiania ryb.

- Cudowne! - mówili. - Wrzucasz i masz zabite wszystko, małe ryby, duże ryby, i to całymi kilometrami.

Każdego roku Dowayowie wypalają ogromne połacie buszu, z całkowitym rozmysłem, by przyspieszyć wzrost traw. Wynikające z tego pożary powodują zagładę młodych zwierząt i są znacznym zagrożeniem dla ludzkiego życia.

Wszystkie te czynniki zawarły się w prostym temacie: leopard. Same tylko trudności językowe okazały się niemałe. Dowayowie mają niezwykle adekwatne słowo określające leoparda - naamyo. W przypadku lwa posługują się wyrazem złożonym "stara-kobieta-leopard". Mniejsze spośród dzikich kotów, takie jak cywety* czy serwale, nazywają zestawieniem "syn leoparda". Nazwa słonia jest niebezpiecznie

bliska nazwy Lwa i różni się tylko intonacją. Co gorsza, pierwszy z mówiących po francusku Dowayów, którego pytałem, zrobił zasadniczy błąd i powiedział mi, że naamyto znaczy "lew". Kiedy więc posługiwałem się zestawieniem "stara-kobieta-leopard", zorientowanie się, czy rozmawiamy o lwie, czy o starej leopardzicy, czy o jednym i drugim naraz, urastało do rangi problemu. Wreszcie wpadły mi w ręce pocztówki przedstawiające afrykańskie zwierzęta. Miałem więc przynajmniej lwa i leoparda, by je pokazać i przekonać się, czy Dowayowie potrafią wskazać różnice między nimi. Niestety, nie potrafili. Powód tkwił nie tyle w sposobie klasyfikacji zwierząt, ile w fakcie, że nie umieli określić ich tożsamości na podstawie fotografii. Nam, ludziom Zachodu, nie przechodzi nawet przez myśl, że oglądania fotografii trzeba się nauczyć. Stykamy się z nimi od urodzenia, a zatem nie mamy żadnych trudności w identyfikacji twarzy lub przedmiotów ukazanych pod

* Gwoli ścisłości: cywety należą do rodziny łasz, nie kotów.

108

różnymi kątami, w różnym świetle, ani nawet podobizn robionych z użyciem soczewek zniekształcających. Dowayowie, pozbawieni takich tradycji kultury wizualnej, znają jedynie szereg znaków geometrycznych. W dzisiejszych czasach dzieci Dowayów stykają się z obrazami w podręcznikach szkolnych i w dowodach osobistych - nakazem prawa Dowayowie muszą nosić dowody tożsamości ze zdjęciem. Stanowiło to dla mnie zawsze wielką zagadkę, ponieważ wielu z tych, którzy mieli takie dokumenty, nigdy nie odwiedziło miasta, a w Poli nie było fotografa. Sprawdzenie dowodów wykazało, że zdjęcie jednego Dowaya służyło często kilku osobom. Przypuszczalnie urzędnicy są niewiele lepsi w rozpoznawaniu fotografii niż sami Dowayowie. Kiedy gromadziłem słownictwo w kilku podstawowych dziedzinach, takich jak nazwy części ciała, narysowałem szkic mężczyzny i kobiety z niezbyt wyraźnymi zewnętrznymi narządami płciowymi, tak by mogli wskazać miejsca odnoszące się do poszczególnych słów. Rysunek ten został uznany za wielką atrakcję i przez wiele miesięcy ludzie przychodzili do mojej chaty i prosili, by im go pokazać. (Mężczyźni niepokoiли się bardzo, czy nie widać na nim penisa w całej obrzezanej krasie, i prosili o niepokazywanie go kobietom). Ważne jest, że nie potrafili odróżnić szkicu kobiety od szkicu mężczyzny. Póki nie miałem fotografii lwów i leopardów, składałem to na karb mojego kiepskiego rysowania. Starzy ludzie spoglądali na pocztówki, na których obrazy były bardzo wyraźne, obracali je na wszystkie strony, po czym stwierdzali coś w rodzaju: "Nie znam tego człowieka". Dzieci rozpoznawały zwierzęta, ale nie miały pojęcia o ich obrzędowym znaczeniu. W końcu wybrałem się do Garoua. Na tamtejszym rynku znajduje się kram, noszący imponującą nazwę "Konsorcjum uzdrawiaczy". Można tam nabyć wiele niesamowitych i wspaniałych rzeczy: części roślin, pazury leoparda, oczy nietoperza, odbytnice hien. Kupiłem kilka pazurów leoparda, łapę cywety i ogon lwa. Dzięki temu wszystkiemu mogłem się upewnić, o jakim zwierzęciu mówimy. Nie stanowiło to wszakże końca problemu. Dowayowie "wyjaśnili" związki między tymi zwierzętami następująco: "Leopard wziął za żonę lwicę. Mieszkali w górskiej jaskini i mieli troje dzieci. Pewnego dnia leopard zaryczał. Dwoje dzieci

109

przestraszyło się i uciekło. Te dzieci stały się cywetą i serwalem. Trzecie dziecko stało się leopardem. To wszystko".

Narzucało się pytanie, czy zdarzyło się to tylko raz, czy też wszystkie cywety i serwale miały takie pochodzenie. Jedni twierdzili tak, drudzy - inaczej.

Niektórzy utrzymywali, że takie jest pochodzenie wszystkich cywet, natomiast serwale rodzą się tylko z serwali. Inni upierali się, że dotyczy to serwali, a cywety są potomkami wyłącznie cywet.

Nie było to zjawisko odosobnione. Odpowiedzi na najzwyczajniejsze pytania o ptaki, małpy, o cokolwiek, obfitowały w zatrzważające zawiłości i w żadnym stopniu nie przypominały suchych stwierdzeń "Dowayowie wierzą, że...: ", które znajduje się w

standardowych opracowaniach. Zwykłą metodą zadawania pytań trudno było ustalić, w co wierzą Dowayowie. Na każdym stopniu zaawansowania tematu podawano mi wszystkie możliwe interpretacje, przynajmniej jeśli informator mówił to, co myślał.

Tak więc życie toczyło się dalej. Jedna uroczystość dostarczyła mi materiału na wiele dni badań. Naukowiec pracujący w terenie nigdy nie powinien robić sobie nadziei na utrzymanie dobrego tempa pracy przez dłuższy czas. Obliczyłem, że w okresie mojego pobytu w Afryce poświęciłem być może jeden procent czasu na robienie tego, po co tam właściwie pojechałem. Resztę spędziłem na logistyce, chorowaniu, życiu towarzyskim, aranżowaniu spraw, przemieszczaniu się i przede wszystkim na czekaniu. Zlekceważyłem miejscowych bogów moim nadmiernym pragnieniem dokonania czegoś. I szybko zostałem ukarany.

Dno

Kolejny okres mojego pobytu w kraju Dowayów był niewątpliwie najmniej przyjemnym okresem spośród wszystkich, jakie spędziłem kiedykolwiek i gdziekolwiek w moim życiu był to bowiem czas, kiedy grzeszyłem utratą nadziei.

Ciąg niepowodzeń rozpoczęła decyzja o wyjeździe do Garowa po zakupy. Decyzja ta została mi zresztą narzucona: skończyło mi się jedzenie, paliwa miałem tyle tylko, by dojechać do granic miasta, i tysiąc pięćset franków (około trzech funtów) w kieszeni. Okoliczności tego rodzaju sprzyjają śmiałym poczynaniom. Przrzekłem Augustinowi, że go zabiorę, i umówiliśmy się o brzasku z dala od głównej ulicy, licząc na to, że wydostaniemy się chyłkiem z Poli, że nikt nie obładuje nas po dach prosem i nie poproszą o podwiezienie żandarmi. Szybko opuściliśmy miasteczko i kołysząc się oraz trzęsąc, sunęliśmy przez najgorszy odcinek drogi, prowadzący ku twardej nawierzchni. Nie pokonaliśmy go jednak. Z osiem kilometrów przed celem wzięłem zakręt, by się przekonać, że droga po prostu zniknęła wskutek deszczów. Do złych zachodnich przyzwyczajęń należy przepuszczenie, że skoro droga prowadzi do zakrętu, będzie także szła za zakrętem. Z okropnym chrzęstem metalu zaryliśmy się w głębokiej na trzydzieści centymetrów rozpadlinie idącej w poprzek trasy. Od razu wiedziałem, że coś się stało z kierownicą. Rzęziła, pojękiwała i zawzięcie odmawiała nadania kołom odpowiedniego kierunku. Żyjąc z pensji młodszego wykładowcy, niewiele miałem do czynienia z samochodami, nie bardzo więc też wiedziałem,

111

co najlepiej w takiej sytuacji zrobić. Wyraźnie potrzebowaliśmy pomocy. Zwykle polegałem na naprawach Herberta Browna - opowiadano zdumiewające historie o jego dokonaniach w mechanice. Z dwóch wieszaków na ubrania i starego pługa potrafił sklecić skrzynię biegów. Jego rozwiązania inżynierskie nigdy nie były eleganckie, ale często działały. Oddawał je klientowi z komentarzem: "Kupa złomu, ale tutaj i tak wszystko ma krótki żywot". Niestety, Brown był daleko. Cóż mieliśmy robić, i tak musiałem dostać się do Garoua. Zepchnęliśmy samochód na bok i poszliśmy dalej piechotą, a dotarłszy do dobrej drogi, zatrzymaliśmy taksówkę. Nie wzięłem wówczas napisu na drzwiach "Wszystko w rękach Boga" za zły omen.

Dojechaliśmy bez kłopotów, grzecznie podporządkowując się zaleceniom wypisanym wewnątrz pojazdu; by nie pluć, nie bić się, nie wymiotować i nie tłuc szyb. Ponieważ nastąpiło południe, Augustin zaprosił mnie do swojej ulubionej afrykańskiej restauracji. Wybór był niewielki: bierzesz, co dają, albo nie jesz. Wzięłem i nie zjadłem. Podano mi krowią nogę w dużym emaliowanym naczyniu pełnym gorącej wody. Mówiąc "krowia noga", nie mam na myśli czegoś przyrządzonego na bazie krowiej nogi, lecz konkretny artykuł w całości z kopytem, skórą i włosami. Robiłem, co mogłem, ale jakoś nie potrafiłem się do tego zabrać. Obwieściłem niespodziewaną utratę apetytu. Augustin chwycił moją porcję i obrobił wszystko aż do kości z żarłocznością kolonii mrówek nomadnych.

Z podróżą tą wiąże się dwa warte odnotowania sukcesy. Po pierwsze, wyłudziłem trochę pieniędzy od banku, któremu tak pochopnie powierzyłem swoje Finanse. Po

drugie, udało nam się załatwić powrót do Poli, i to z mechanikiem samego sous-prefeta. Potraktowałem to - nierozsądnie! - jako prawdziwy łut szczęścia. Po wielu godzinach krażenia za interesami po rozmaitych częściach miasta zamieszkałych przez Fulanów wyruszyliśmy wreszcie w kierunku Poli. Droga była bardzo wąska i całkowicie opanowana przez ogromne ciężarówki z przyczepami, przewożące bawełnę oraz paliwa w tę i z powrotem pomiędzy Czadem a koleją w Ngaoundere. Z przerażeniem stwierdziłem, że mijając jedną z takich bestii, kierowca, zjechawszy na samą krawędź drogi i będąc kołami o cen

112

centymetr od głębokiego na metr kanału melioracyjnego, po prostu zamknął oczy. Dotarliśmy jednak do pozostawionego samochodu przed nocą. Mechanik dokonał błyskawicznego przeglądu. Nic takiego, wystarczy porządnie walnąć. Wpełził pod samochód, skąd dał się słyszeć szcęk metalu o metal i coś, co wzięłem za przekleństwo w języku Fulanów, po czym wyłonił się, promieniejąc radością. Nie jest idealnie, ale do Poli dojadę, a stamtąd trzeba będzie posłać po części. Byłem szczerze uradowany. Wsiadliśmy z Augustinem i ruszyliśmy z umiarkowaną prędkością. Kierownica wydawała mi się trochę podejrzana, ale z pewnym przybliżeniem spełniała swe zadanie. Po drodze spotykaliśmy mnóstwo sów. Siedziały na ziemi i zrywały się, by zaatakować światła samochodu. Rzezie sów na drogach przybierają ogromne rozmiary. Sowy przerażają Dowayów. Uważają oni, że nocą pod skrzydłami tych ptaków kryją się złe moce. Ledwie ktoś usłyszy sowe koło swego domostwa czy w pobliżu bydła, natychmiast szuka stosownego lekarstwa. Znaleźliśmy się na szczycie wysokiego wzgórza i zaczęliśmy zjeżdżać w dół. Nie dotarliśmy jeszcze do wąskiego mostka przerzuconego nad wąwozem; kiedy zdałem sobie sprawę, że kierownica nie działa. Starczyło mi jedynie czasu na zapamiętanie ostrych szpiców po obu stronach mostka - tyle zostało z balustrady po wypadku, w którym zginął przed paru laty, dokładnie w tym miejscu, sous-prefet. Uderzyliśmy w drzewo, odbiliśmy się, uderzyliśmy w głaz i pomknęliśmy ku wąwozowi. Stałem już prawie na hamulcach, bez wielkiego rezultatu. Zatrzymaliśmy się na chwilę na krawędzi i spadliśmy.

Wylądowaliśmy miękko na młodym drzewku, które powoli łamało się pod naszym ciężarem. Ze spokojem wyłączyłem silnik, spytałem Augustina; czy nic mu nie jest, i wydostałem się z samochodu. Gdy wspięliśmy się na górę, coś nagle pękło w nas obu, siedliśmy patrząc na postrzępione skały i wybuchnęliśmy histerycznym śmiechem - naturalnie nie z radości, lecz pod wpływem silnych emocji, na które złożyły się przerażenie, ulga i niedowierzanie. Podejrzewam, że siedzieliśmy tam dosyć długo. Wydawało nam się, że wyszliśmy w miarę cało. Augustin miał siniaki na klatce piersiowej. Ja uderzyłem

113

głową o kierownicę, ucierpiały też palce u rąk i nóg oraz zebra. Wędrując do miasta, zabraliśmy się do dwóch piw, które Augustin trzymał na czarnej godzinę. Czuliśmy, że nam się należą.

Następnego dnia w pełni zdałem sobie sprawę z okropności całej sytuacji.

Oględziny wraka utwierdziły mnie w przekonaniu, że naprawa będzie długotrwałym i kosztownym przedsięwzięciem i że mieliśmy dużo szczęścia, wychodząc z wypadku bez poważniejszych obrażeń. Poddaliśmy się badaniom u miejscowego lekarza, który orzekł, że nic nam nie jest. Z faktu, że do tej pory moje palce ustawione są pod dziwnym kątem oraz że mam zgrubienie na dwóch żebrach, wnioskuje, iż podczas badań nie wychwycono drobniejszych złamań. W najgorszej kondycji była wszak moja szczęka. Dwa zęby na przodzie chwiałały się, a cała żuchwa zaczęła powoli puchnąć, sprawiając mi znaczny ból.

Pełen nadziei, że wszystko będzie dobrze, wróciłem do Kongle, by prowadzić dalsze badania nad leopardami oraz innymi dzikimi kotami, i aplikowałem sobie valium na sen przed nocą.

Wiele uwagi poświęcałem obecnie klasyfikacji chorób i w tym celu spędzałem sporo czasu z jednym z tutejszych uzdrowiaczy; który miał wszakże tę wadę, że mieszkał na szczycie pionowej skały powyżej Kongle. Całymi godzinami szukaliśmy korzeni, dyskutując o rozpoznawaniu chorób i różnicach w ich leczeniu.

Jak już wspomniałem, Dowayowie dzielią choroby na zakaźne, czary gnieźdzące się w głowie, dolegliwości powodowane przez przodków i choroby nieczystości. Jedynie choroby zakaźne i mimowolne okaleczenia, które mogą być spowodowane przez czary, dają się leczyć ziołami. Przypisanie konkretnej choroby do danego przypadku jest bardzo skomplikowane. Nazwy niektórych chorób odnoszą się zarówno do objawów, jak i do czynników przyczynowych (na przykład nasze słowo "przeziębienie" sugeruje pewne objawy i wirusowe pochodzenie choroby). Inne nazwy opisują po prostu objawy (jak ;,żółtaczką", która może być spowodowana różnymi chorobami).

Żeby powiązać symptomy z chorobą, stosuje się rozmaite wróżby. Można wezwać uzdrowiacza, który wrzuca do wody wnętrzości kurczęcia, są specjaliści umiejący określić dolegliwość człowieka, patrząc na niego przez szklaną kulę.

Najpopularniejszą formą wróżb jest jednak pocieranie między palcami rośliny zwanej zepto i wykrzykiwanie nazw różnych chorób, które mogły człowieka zaatakować. Moment, kiedy zepto się złamie, wskazuje na fakt ustalenia prawidłowej nazwy choroby. Wróżbita przechodzi wówczas do przyczyn choroby - złych mocy, przodków i tak dalej. Następnie trzeba znaleźć lekarstwo. Trzy kolejki wróżb dostarczają zwykle pełnej informacji. Jeśli chory nie może udać się do wróżbity samodzielnie, powinien wysłać mu trochę słomy z dachu swego spichlerza, najbardziej osobistego i nietykalnego obszaru domostwa.

Jeśli winnym choroby uzna się jakiegoś przodka, wysyła się człowieka do domu czaszek, by oblał czaszkę naprzykrzającego się krewnego krwią, ekskrementami lub piwem.

Choroby wynikające z nieczystości wymagają zwykle uwagi ekspertów - specjalisty od obrzezania, czarownika, zaklinacza deszczu. Przyczyny i skutki czasami łączą się ze sobą w sposób niebezpośredni. Na przykład to, co my określilibyśmy jako zwichnięcie, uważane jest za bolesne z powodu glist, które wniknęły w kończynę; glisty wiążą się z deszczem, dlatego tylko zaklinacz deszczu może leczyć tę dolegliwość. Z kolei kontakt ze sprawami umarłych wymaga leczenia przez czarownika i polega na pocieraniu ofiary ubraniami lub innymi rzeczami osobistymi zmarłego. Najgorsze choroby biorące się z nieczystości pochodzą od kowala i jego żon, garncarek. Częsta styczność z nimi, a zwłaszcza z narzędziami ich pracy, powoduje coś; co można jedynie określić jako zarastanie pochwy u kobiet i wypadnięcie odbytnicy w mężczyzn. Miecz kowalski, który zsyła choroby na mężczyzn, jest niewątpliwie przedmiotem fallicznym i fakt, że atakuje odbytnicę, a nie penis, należy wiązać z "oficjalną" definicją obrzezania, mówiącą że dotyczy ono zatkania odbytu.

Zdarza się, że ktoś rzuca urok, powodujący chorobę nieczystą, chroniąc w ten sposób swoje dobra. Miałem niezłe układy z kłownem Kongle. Był on właścicielem jedyne drzewa pomarańczowego w okolicy i żywił do mnie przesadny wręcz sentyment od czasu, gdy kupiłem od niego dwieście pomarańczy. (Muszę przyznać, że nie chciałem kupić dwustu

114 ~ 115

pomarańczy, lecz dwadzieścia, i tylko moja niedoskonałość w posługiwaniu się liczbami legła u podstaw tej pomyłki). Aby ochronić swoje drzewo przed pustoszeniem go przez dzieci, umieścił na nim rozmaite rośliny i rogi kóz, aby każdy, kto ukradnie pomarańcze, kasłał jak koza i musiał przyjść do niego, by się tej dolegliwości pozbyć.

i Niektórzy Dowayowie osiągają niezłe dochody z posiadanych przez siebie magicznych kamieni, które mogą spowodować wszystkie choroby: od bólu zęba po czerwonkę. Chorzy muszą zgłosić się na kurację. Dowayowie nie widzą nic złego w zarabianiu pieniędzy takim sposobem.

Złe moce atakujące głowę przenoszą się od bliskich krewnych za pośrednictwem orzeszków ziemnych lub mięsa. Złe moce nie lubią ostrych przedmiotów, dlatego przed złymi mocami należy strzec małych chłopców, by nie wykrwawili się na śmierć podczas obrzezania. Nocą złe moce krążą po okolicy. Wyglądają podobno jak małe pisklęta - to one właśnie kryją się pod skrzydłami sów. Wysysają krew ludzi i bydła, potrafią nawet spowodować w ten sposób śmierć. Należy chronić się przed nimi, umieszczając oset lub kolce jeżozwierza na dachu chaty. Po śmierci bada się czaszkę, czy nie została przez nie zaatakowana. Nie pojmowałem z początku, że ludzie umierający "na złe moce" nie są, ogólnie rzecz ujmując, ofiarami czarownic czy czarowników, lecz sami byli nosicielami złych mocy, które zostały zranione. Kiedy złe moce zostaną zranione, człowiek, w którym one siedzą, umiera. Dowayowie tłumaczą w ten sposób wysoki stopień śmiertelności wśród młodych mężczyzn, którzy w porze suchej udają się do miasta do pracy. Są bardzo młodzi - prawie dzieci - i nie nauczyli się jeszcze panować nad swoimi złymi mocami. A one; szczególnie podekscytowane widokiem mięsa na stołach rzeźnickich, kaleczą się ostrymi nożami, których jest tam mnóstwo.

Gdy chory umrze, szuka się świadectwa w postaci dwóch kolców pod górną szczęką. Jeśli są one czerwone lub czarne, to znak, że przyczyną śmierci były złe moce. Jeśli w rodzinie potwierdzonych zostanie w ten sposób kilka zgonów, podejrzenia padają natychmiast na konkretnego jej członka. W czasach przedkolonialnych czarownice i czarownicy byli poddawani specjalnym próbom. Mężczyźni musieli wypić piwo,

116 I

w którym zanurzono nóż do obrzezań. Jeśli byli winni, ich żołądki puchły i wykrwawiali się na śmierć. Mogli też wypić piwo zawierające trujący sok z mleczka sukulenta dangoh (*Euphorbia Cameroonica*). Jeśli nie wymiotowali, następowała śmierć i uważano ich za winnych zgodnie z oskarżeniem. Jeśli wymiotowali, białe wymiociny wskazywały niewinność, czerwone - winę. Winny był wówczas wieszany przez kowala.

Pewna kobieta została kiedyś powszechnie uznana za wiedźmę winną przekazania złych mocy dwóm córkom, które umarły. Byłem świadkiem badania czaszki drugiej z nich. Głowa została odłączona od korpusu przez starca posługującego się zakrzywionym kijem. Podziwiano jego zręczność, gdy wsunął koniec kija w oczodoł i wyciągnął głowę, nie roniąc ani jednego zęba, który mógłby wpaść do żołądka. Trup miał ze trzy tygodnie i cuchnął brzydko - rodzice dziewczyny obiecali mężczyźnie kozią skórę za tę usługę. Jak zwykle sporo było sprośnych dowcipów. Kobietom kazano się oddalić: "Jeśli się pochylimy nad głową i puścimy bąka, od razu wszystkim o tym opowiecie". Wycofały się, zrzędząc, a starzec dokonał oględzin głowy. Podczas pobytu u Dowayów wielokrotnie przyglądałem się czaszkom, ale nie mogłem stwierdzić, czy różnica pomiędzy tą, u której znaleziono złe moce, i tą, która była od nich wolna, opierała się na zauważalnej odmienności morfologicznej. Starcy wszakże zawsze byli jednomyślni. Ogłoszenie o znalezieniu złych mocy mieszkańcy wioski przyjmowali nie ze złością, lecz ze spokojną satysfakcją. Podejrzana kobieta była moją bliską sąsiadką i natychmiast zaczęły krążyć dowcipy o tym; że tylko biały człowiek, odporny jak wszyscy biali na złe moce, mógł mieszkać obok niej. Oczernianie najwyraźniej kobietę drażniło, zaproponowała więc, że przejdzie po czaszkach przodków, a wtedy, jeśli jest źródłem złych mocy, umrze. Mąż nie zgodził się, by jej na to pozwolono.

- A po co? - wyjaśniał. - Umrze i będę musiał kupić sobie nową żonę.

Wbrew moim przypuszczeniom Dowayowie nie przejawiali paraliżującego strachu w konfrontacji z czarami. Całą tę kwestię postrzegano raczej ze sztuczną powagą, traktowano ją praktycznie. Dowayowie zawsze podkreślali, że istnieją różne rodzaje czarów mających siedlisko w głowie; ale tylko

117

117

jeden z nich był zły. Inny na przykład sprawiał, że człowiek miał czyste zęby, jeszcze inny gwarantował powodzenie w gospodarowaniu bez krzywdzenia innych ludzi. Z niedowierzaniem przyjmowali wyjaśnienia, że sprawy te, jako nieznanne w kraju białego człowieka, bardzo mnie interesują. Nie byłem jeszcze świadom rodowodu, jaki mi przypisywali - uznawali mnie przecież za kolejne wcielenie czarownika. Dowayowie nigdy nie nazwali mnie kłamcą, ale ich twarze przybierały szczególny wyraz, kiedy próbowałem wcisnąć im jakieś szczególnie jaskrawe kłamstwo, jak istnienie podziemnej kolejki albo nieistnienie opłat za żonę w Anglii.

Uzdrowiacze byli w gruncie rzeczy bardzo zadowoleni pracując ze mną nawet za stosunkowo małe wynagrodzenie, które mogłem im zaoferować. Obawiali się jedynie tego, że ukradnę ich remedia i sam zabiorę się do uzdrawiania. W społeczeństwach prymitywnych wiedza rzadko bywa łatwo dostępna. Należy do konkretnych jednostek. Człowiek jest właścicielem swojej wiedzy. Zapłacił za nią i byłby głupcem, oddając ją bez zapłaty innym, tak samo jak nie oddaje się bez zapłaty córek: Jedynym rozsądnym rozwiązaniem było branie ode mnie pieniędzy. Dowayowie uwiarygodniają swoje lekarstwa ich rodowodem. Stare lekarstwo jest lepsze niż nowe, każda innowacja bywa podejrzana, ponieważ nie nosi w sobie aprobaty przodków. W konsekwencji nie usiłuje się szukać nowych lekarstw.

Uzdrowiacze byli bardzo podejrzliwi wobec mojej "kliniki", póki nie nabrali pewności, że ograniczam się do leczenia wyłącznie chorób zakaźnych korzeniami używanymi przez białych ludzi i nie zamierzam z nikim współzawodniczyć. Pewien przypadek wywołał szczególne moralne i strategiczne trudności. Brat naczelnika, mieszkający o kilka chat dalej, często przychodził do mnie w odwiedzinach. Był to przyjacielski, wysoki i chudy jak tyka, a do tego niezdarne mężczyzna, mający opinię niezbyt rozgarniętego. Pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że nie widziałem go od kilku tygodni, i zapytawszy, czy dokądś wyjechał, dowiedziałem się, że jest umierający. Cierpiał na silny atak czerwonki pełzakowej, wezwano więc uzdrowiacza ze skały. Z oględzin wnętrza kurczenia wynikało, że chorobę zesłał na niego duch jego nieboszczki matki, która domagała się piwa. Wylano piwo na jej czaszkę; lecz poprawy nie było. Sprowadzono innego uzdrowiacza. Ten ujawnił, że w istocie choroba pochodzi od innego ducha, który jedynie ukrywał się pod postacią ducha matki chorego. złożono ofiary, lecz młody człowiek słabł nadal. Trzecia żona naczelnika, która opiekowała się nim, gdy był chłopcem, zamartwiała się jego chorobą, przyszła więc i jęła lamentować pod moją chatą, pytając, czy nie mam korzeni, które by go uratowały. Nie mogłem odmówić. Miałem naturalnie silne środki samobójcze i antybiotyki. Oznajmiłem wszystkim, że nie jestem uzdrowiaczem i nie wiem, czy moje korzenie pomogą, ale jeśli zażyczą sobie, bym spróbował, zrobię to. Obawiałem się, że zrażę do siebie uzdrowiaczy, ale oni byli nieźle przygotowani na ewentualne złe diagnozy. Mężczyzna szybko wracał do siebie. Chudy jak szkielet, w ciągu paru dni stał się okazem zdrowia, z czego wszyscy się bardzo cieszyli. Uzdrowiacze wcale nie czuli się zbici z tropu. Wyjaśnili jedynie, że był to złożony przypadek choroby zakaźnej, co postanowiły wykorzystać rozmaite duchy, by powiększyć cierpienia chorego. Oni uporali się z duchami, ja - z chorobą.

Prawdziwie współczułem Dowayom właśnie wtedy, gdy chorowali. Uzmysławiałem sobie wówczas, o ile ich życie jest gorsze od naszego. W innych sytuacjach cieszyli się przecież wolnością, mieli swobodny dostęp do najważniejszych w ich pojęciu form zaspokajania potrzeb zmysłowych - piwa i kobiet, mieli poczucie własnej godności. Lecz kiedy zapadali na zdrowiu, umierali niepotrzebnie w udręce i strachu. Państwowy szpital w Poli nie zapewniał im rzeczywistej pomocy. Według przepisów pacjent miał zgłaszać się do szpitala z notesem do zapisywania dolegliwości. Nie umiejący czytać i pisać mieszkańiec buszu nie potrzebował notesu i nigdy nie miał czegoś takiego w ręce. Notesów nie było także w sprzedaży w Poli; a pracownicy szpitala nie chcieli ich przechowywać, ponieważ nie należało to, zgodnie z przepisami, do obowiązków personelu. Pacjentów odsysano z powrotem, odmawiano im pierwszej pomocy, póki nie znajdą notesu.

Nieuchronnie więc stałem się dobrodziejem w sprawach leczenia, podobnie jak misja, ale efekt był taki, że wielu Dowayów w ogóle nie chciało fatygować się do szpitala. Bez wątpienia spowodowało to
118 ~ 119

wiele zgonów - pełne arogancji, nieludzkie postępowanie urzędników uważałem za coś niewybaczalnego. Poczuciem winy napawał mnie fakt, że kiedy sam potrzebowałem pomocy, tylko z powodu koloru skóry mogłem wejść poza kolejną i otrzymać lepszą opiekę, podobnie jak miejscowe tuzy. Kolejny drażliwy moment przypadł na czas wizyty francuskiego botanika, który podróżował po Kamerunie, by na potrzeby przygotowywanego atlasu botanicznego przeprowadzić badania nad rozmieszczeniem tutejszej roślinności. Wróciłem któregoś dnia do wioski i zastałem owego dżentelmena, siedzącego sobie spokojnie w szkole po sześciogodzinnym zaledwie "przeglądzie" miejscowej flory. Dowayowie nie pojmowali naturalnie, że ktoś może interesować się roślinami dla samych roślin. Nie mieli wątpliwości, że człowiek ów próbuje ukraść ich ziołowe lekarstwa, które sprzedaje gdzie indziej z wielkim zyskiem. Stać go było na prowadzenie wykwińtniejszego gospodarstwa niż moje - woził własne kurczaki, uznając, że są lepsze od lokalnych okazów, i miał dwóch ludzi do zaspokajania swoich zachcianek. Zasiadliśmy pośrodku buszu do absurdalnej kolacji, z obrusem i serwetkami, podczas gdy dzieci Dowayów kucały wokół nas i patrzyły szeroko otwartymi, pełnymi zdziwienia oczami. Botanik uprzejmie informował mnie, jak najlepiej pobierać próbki botaniczne do dalszej identyfikacji. W głębi Afryki różnice pomiędzy francuskim botanikiem a angielskim antropologiem zdawały się minimalne, rozmawialiśmy więc długo w noc.

Następnego dnia miejscowy uzdrowiciel wyrażał się więcej niż szorstko o oburzającym najeździe mojego "brata". Udało mi się go w końcu przekonać, że nie jesteśmy nawet z tego samego kraju, posiłkując się faktem, że Zuuldibo zaoferował mu piwo, a on odmówił. On był cudzoziemcem, jak choćby Herbert Brown z misji protestanckiej. Różnica pomiędzy tamtymi dwoma a Anglikami była taka, jak pomiędzy okropnymi Fularami i dobrymi Dowayami.

Wedle naszej wiedzy lekarstwa rozdawane przez ludowych praktyków są nieefektywne lub wręcz szkodliwe. Sposoby w rodzaju pocierania piersi chorego na gruźlicę kozimi rogami wydają się naszemu światu tak obce, że nikt nawet nie zamierza się trudzić, by sprawdzać ich skuteczność. Wyjaśnia my je z łatwością ogólnymi prawidłami magii sympatycznej i kontagialnej, tak że antropolog ledwie zwraca na nie uwagę. A zatem ten aspekt miejscowych wierzeń nie robił na mnie wielkiego wrażenia, póki nie zacząłem pracować z zaklinaczami deszczu, ale o tym w swoim czasie.

Większość lekarstw Dowayów opiera się na tych samych trzech magicznych roślinach, które mają pomagać na wszystkie rodzaje nieszczęść: od cudzołóstwa do bólu głowy. Każdą z nich dzieli się na kilka typów, których laik nie rozróżni, dokonując samych tylko oględzin. Dowayowie zachowują się zawsze tak, jakby byli zatwardziałymi pozytywistami, nie wierzą w nic, na co nie mają oczywistego dowodu.

- W jaki sposób odróżnicie jeden rodzaj zepto od drugiego? - pytałem. - Skąd wiadomo, że ten rodzaj przeciwdziała cudzołóstwu, a nie bólowi głowy?

Patrzyli na mnie z wielkim niedowierzaniem wobec prostoty zagadnienia.

- Próbując każdego z nich. Jakże inaczej? - odpowiadali. A następnie rozwodzili się o kamieniach sprowadzających deszcz, ludziach zamieniających się w leopardy, nietoperzach zwracających ekskrementy nosem, z powodu braku odbytu gwałcąc niemilosiernie wszystkie swoje pozytywistyczne zasady. Nie można było przewidzieć, w jaki sposób zareagują na pytania dotyczące tej sfery. Czasami, mniej lub bardziej rozdrażnieni, rzucali którąś z trzech wersji "Nie wiem". Zdarzało się, że otrzymywałem odpowiedź wprost, ale najczęściej było to "Nie wiem", "Nie widziałem", "Skąd mogę wiedzieć, skoro nie widziałem?". Zacząłem zdobywać sobie opinię człowieka, który we wszystko uwierzy.

W owym okresie poczułem wreszcie, że zebrałem już trochę danych. Zacząłem adaptować się do wymagań życia w Afryce i pracy w terenie. Gdzieś kiedyś czytałem, że górnictwo złota polega na wydobywaniu trzech ton wszelkiego śmiecia dla uzyskania niecałych trzydziestu gramów czystego kruszcu. Jeśli taka jest prawda, to badania terenowe mają z górnictwem złota wiele wspólnego. Tymczasem jednak moja szczęka nie chciała przestać boleć, a nawet bolała coraz bardziej. Z dziąseł zaczęła mi się saczyć nieprzyjemna mieszanina krwi i ropy. Należało
120 a 121

poszukać pomocy. Zatrzymałem się w misji u Herberta Browna, który był zachwycony, słysząc, jak Afryka krzyżuje mi plany, i mogąc tym samym usprawiedliwić swój własny ponury obraz Czarnego Łądu. Podjął się nareperowania mojego samochodu, nie mógł jednak dokładnie powiedzieć, kiedy skończy. Gdybym wiedział, że zajmie mu to dziewięć miesięcy, nie okazywałbym aż takiej wdzięczności. Wtedy jednak czułem przynajmniej, że pozbyłem się choć części kłopotu, i złapałem ciężarówkę pocztową, jadącą do Garoua. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego kierowca tego pojazdu tak się bronił przed zabieraniem białych - każdego innego brał za drobną choćby opłatą. Kiedy chodziło o człowieka z Zachodu, odwoływał się do przepisów transportowych jak do Pisma Świętego i kategorycznie odmawiał. Czasami wstawiał się u niego za mną jakiś pełen dobrych chęci żandarm, ale cała procedura wydostawania się z Poli bez własnego środka lokomocji mocno pogłębiała moje frustracje związane z tutejszym życiem. Dojechałem w końcu do Garoua, gdzie zadekował się dentysta, jedyny w całym Kamerunie, poza dentystą urzędującym w stolicy. Po rozmaitych chybionych wizytach u domniemanych chińskich stomatologów, którzy okazywali się traktorzystami, wytropiłem ostatecznie człowieka w miejscowym szpitalu. Postępując niezmiennie jak kiepsko myślący zachodni liberał, zająłem miejsce w kolejce i czekałem. Po pewnym czasie przyszedł jakiś francuski przedsiębiorca. Przepchnął się na przód kolejki i dał pielęgniарce pięćset franków.
- Czy tu przyjmuje biały dentysta? - spytał.
- Nie jest biały, choć jest z Francji - zaoponowała pielęgniarka. Ekspatriant pomyślał chwilę i wyszedł. Ja zostałem. Ledwie drzwi gabinetu się otwarły, kolejka Afrykanów popchnęła mnie ku przodowi i znalazłem się w środku. Zobaczyłem ileś sztuk zdezelowanych narzędzi stomatologicznych i wielki dyplom z uniwersytetu w Lyonie, który nieco mnie uspokoił. Opowiedziałem o swoich kłopotach wielkiemu mężczyźnie. Bez żadnych ceregieli chwycił kleszcze i wyrwał mi dwa przednie zęby. Nieoczekiwany atak osłabił nieco doznania bólu. Zęby, stwierdził, były zepsute. Może, napomknął ponuro, zawsze były zepsute. Usunął je. Byłem zdrow. Mam zapłacić pielęgniарce po wyjściu z gabinetu. Siedziałem otępiały, krew ciekła mi po koszuli. Próbowałem dać mu do zrozumienia, że w tej sytuacji powinien przystąpić do kolejnych czynności, ale nie jest łatwo tłumaczyć coś w obcym języku bez dwóch przednich zębów, więc nie bardzo mi szło. W końcu pojał, że trudny ze mnie pacjent. W porządku, stwierdził ze złością, jeśli nie jestem zadowolony z jego usług, pójdzie po dentystę. Zniknął, pozostawiając mnie w domysłach, z kim miałem przyjemność do tej pory. Najwyraźniej popełniłem błąd, sądząc, że osoba w białym fartuchu urzędująca w gabinecie stomatologicznym i gotowa dokonać zabiegu usunięcia zęba jest dentystą. Ukazał się kolejny mężczyzna, także w białym fartuchu. Prędko spytałem, czy jest dentystą. Powiedział, że tak. Tamten jest tylko technikiem; reperuje także zegarki. Uzupełnienie ubytku będzie bardzo kosztowne. Praca jest trudna i wymaga sporych umiejętności. On ma te umiejętności. Tłumaczyłem, że póki nie będę mógł mówić, nie będę pracował. Póki nie będę pracował, nie będę mógł zapłacić. Rozpromienił się. Kazał mi przyjść po obiedzie. Zrobi mi mostek z plastyku. Jako szacowny pacjent zasługuję na środek znieczulający. Wstrzyknął mi w dziąsła

nowokainę. Robienie zastrzyku po zabiegu wydało mi się cokolwiek dziwne, ale zbyt podle się czułem, by oponować.

Spędziłem trudne chwile, krążąc po Garoua, szczyrbaty, z kłami rzucającymi się w oczy jak u wilkołaka. Ludzie idący z przeciwka przechodzili na drugą stronę ulicy, by ominąć mnie z daleka. Byłem tak pokrwawiony na piersiach, że sprawiałem wrażenie śmiertelnie rannego. Sepleniać, bakałem wyjaśnienia wścibskim żandarmom, którzy wyraźnie podejrzewali mnie o nikczemne poćwiartowanie jakiejś ludzkiej istoty.

Po południu wróciłem do gabinetu i otrzymałem dwa plastikowe zęby niepewnie trzymające się dziąseł oraz butelkę różowej cieczy do płukania. Policzone mi dziesięciokrotnie więcej, niż wynosiła oficjalna stawka, ale wolałem zapłacić. Wychodząc, dostrzegłem strzykawkę, którą robiono mi zastrzyk, leżącą na podłodze.

122 ~ 123

Nauka radzenia sobie z owym okropnym urządzeniem zastępczym stanowiła - jakbym mało miał kłopotów! - dodatkową uciążliwość. Dowayowie, rzecz jasna, byli zachwyceni. Wielu spiłowało sobie przednie zęby, żeby się do mnie upodobnić. Spytałem, dlaczego to zrobili. Czy dla urody? Och, nie. Czy może po to, by - i tu antropolog folguje wyobraźni - wejście do ciała miało taki sam kształt, jak wejście do wsi? Och, nie. Zrobili to, jak mnie poinformowali, żeby w sytuacji, gdy szczęki zacisną się człowiekowi na dobre, można było jakoś go nakarmić. Czy coś takiego często się zdarza? Jak dotychczas nikt nie słyszał, żeby się zdarzyło, ale zdarzyć się może. Moja umiejętność wyjmowania zębów na życzenie, co więcej, ich skłonność, czy wręcz pełna gotowość do wypadania w trakcie konwersacji były przedmiotem wielkiego zainteresowania Dowayów.

Zbliżał się tymczasem czas zbiorów i tubylcy starali się zmieścić jak najwięcej uroczystości przypisanych porze deszczowej w jej ostatnim miesiącu. Po śmierci odbywa się ceremonia przeniesienia łuku mężczyzny za dom czaszek i zwrócenia naczyń na wodę kobiety jej braciom, czego dokonuje mąż lub syn. Te właśnie obrzędy szczególnie mnie ciekawiły. Przeanalizowanie ich źródeł i struktury możliwe jest tylko wtedy, gdy uczestniczy się w nich i robi nagrania.

Matthieu, zadowolony, że moje sztuczne zęby wpłynęły na podniesienie jego pozycji, przekazał mi krążącą plotkę o uroczystościach na cześć zmarłej żony, którą zamierzał urządzić miejscowy uzdrowiciel. Odwiedziny u niego wiązały się ze wspinaczką po kruchej skale nad urwistymi zboczami, czego nie znosiłem, ale co było robić. Człowiek ów wybrał sobie ten niegościnnie zakątek z kilku powodów. Po pierwsze, wedle tradycji Dowayowie powinni uprawiać ziemię na zboczach tak stromych, by musieli robić to na kolanach. Po drugie, sto czy dwieście metrów wyżej klimat pozwala na uprawę odmian prosa bardziej cenionych przez Dowayów niż większość odmian uprawianych na równinach. Teoretycznie wszystkie składane przodkom ofiary powinny zawierać lepsze odmiany prosa, mocniejsze jest także wytwarzane z nich piwo. I wreszcie rzadziej zagrażało uprawom bydło.

Samo miejsce było dla mnie stosunkowo dogodne: w wioskach górskich jest chłodno, gospodarz przyjmie mnie gościn

nie, odległość od mojej chaty niewielka. Sprawdziłem aparat, magnetofon itd. i odbyłem wstępną wizytę, by zjednać gospodarza małą łapówką oraz zebrać informacje o motywach, którymi się kierował, organizując uroczystość. Chciałem też zobaczyć, jakie przygotowania zostały już poczynione. Takie postępowanie dawało zawsze dobre wyniki. Podczas trwania uroczystości ściągnie tak wielu plądrujących okolicę krewniaków, że nikt nie znajdzie wolnej chwili, by odpowiadać na głupie pytania antropologa. Ponadto zyskiwałem czas na przeanalizowanie odpowiedzi, które już otrzymałem, oraz pytań, które postawiłem, i na zastanowienie się, czy nie należałoby ich poprawić. Kontynuacją tej procedury będzie jeszcze jedna wizyta, w kilka dni po zakończeniu uroczystości, celem wyjaśnienia rozmaitych problemów, które pojawiają się w obrzędowej gorączce, oraz potwierdzenia podobieństw, sprzeczności i różnic, występujących podczas

analogicznych rytuałów w innych wsiach. Wizyta taka stworzy również sposobność zrobienia dobrych fotografii przyborów rytualnych, które nie zostały jeszcze zwrócone właścicielom, a które nie dość dokładnie widać na zdjęciach robionych podczas uroczystości. Postanowiłem przyjąć za zasadę wysyłanie nie wywołanych filmów do kraju, gdzie odbierali je przyjaciele. Wywoływanie filmów w Kamerunie byłoby zarówno kosztowne, jak i niepewne, trzymanie ich natomiast przez osiemnaście miesięcy w tutejszym klimacie - zbyt ryzykowne. Oznaczało to jednak, że nie obejrzę ich przed powrotem do Anglii i że wiele z nich zaginie po drodze, ale i tak zdawało się to najrozsądniejszym rozwiązaniem. Największą niedogodność natomiast stanowił przymus częstych kontaktów z urzędnikami pocztowymi, którzy byli niedościgłymi mistrzami nieudolności i nieżyczliwości, nawet jak na lokalne standardy.

Ostatnie dni przed uroczystością przyniosły zdecydowaną zmianę warunków mojego życia. Byłem akurat w miasteczku po pocztę, gdy pojawiła się nieznama ciężarówka, wyładowana pudłami, skrzyniami i kuframi. Wszystkie obce pojazdy stawały się zawsze źródłem wielu domysłów. W pojeździe znajdowała się dwójka białych ludzi, mężczyzna i kobieta. Jako zadomowiony tu biały, uznałem za stosowne wsadzić nos w ich sprawę. Zaczęliśmy niezadarną konwersację po
124 ~ 125

francusku, podczas której okazało się, że wszyscy jesteśmy anglofobami, i moja dłoń z dwoma złamanymi palcami poddana została potężnemu uściskowi. Jon i Jeannie Bergowie przyjechali jako misjonarze do protestanckiej misji Herberta Browna. Młodzi Amerykanie, pierwszy raz w Afryce, nie mniej zbici z tropu całością swoich doświadczeń jak i ja w początkach mojego pobytu w tym kraju. Do zadań Jona należało nauczanie Biblii w szkółce misyjnej; Jeannie miała mu pomagać. Od wszystkich nas załatwywało solidnie dyplomami wyższych uczelni. Gdy Jon i Jeannie osiedli w Poli, zawsze odwiedzałem ich podczas moich pocztowych wypraw. W ich miłym towarzystwie można było rozmawiać w języku przypominającym angielski, jeść chleb wypieku Jeannie, słuchać muzyki i dyskutować o czym innym niż proso i bydło. Rolą Jona było przekazanie Dowayom "sensu słowa bożego", tak jak moja rola było badanie "sensu kultury Dowayów". Pomagaliśmy sobie wzajemnie w zrozumieniu, co może ograniczać nasze wysiłki. Jon chlubił się ponadto posiadaniem dwunastu skrzyń kiczowatej literatury, którą chętnie pożyczął. Przyznaję, że książki te, bardziej niż cokolwiek innego, trzymały mnie przy zdrowych zmysłach. Nieskończenie długie przerwy między uroczystościami, potwornie nudne wieczory, kiedy po siódmej wszyscy Dowayowie szli spać, były o wiele mniej przygnębiające, gdy miało się pod ręką jakąś lekturę. Tak zatem okres badań terenowych stał się okresem najbardziej skondensowanych doświadczeń literackich w moim życiu. Nigdy przedtem nie miałem tylu okazji do czytania. Czytałem odpoczywając na skale, w połowie drogi pod górę, w strumieniu, siedząc w kucki w chacie przy świetle księżyca, czekając na rozdrożu przy świetle naftowej lampki. Nie ruszałem się bez którejś z książek Jona. Gdy zawodziły nadzieje, gdy łamano dawane mi przyrzeczenia, wrzucałem bieg "badania terenowe", sięgałem po książkę i przeczekiwałem Dowayów. Zyskałem pozadroszczenia godną opinię osoby nieustępliwej. Jeśli ktoś obiecał się ze mną spotkać i nie zjawiał się, siadałem z książką i czekałem, póki nie przyszedł. Miałem wrażenie, że odniosłem zwycięstwo w stylu zachodnim nad miejscowym pojęciem czasu.

Jon i Jeannie nie tylko rozwiązali moje problemy z transportem i zgłosili chęć przywożenia zakupów z miasta, ale zaspokajali też parę innych moich potrzeb. Jon dał mi klucz do swojego biura, mogłem więc z niego korzystać, kiedy on był w podróży. Stało tam prawdziwe biurko, pierwsza płaska powierzchnia do pisania, jaką zobaczyłem w kraju Dowayów, było światło elektryczne, był papier. Trudno należycie docenić te luksusy komuś, kto nie mieszka w górskiej wiosce w Afryce. Wchodziłem do biura i na kilka nie zakłóconych niczym godzin zostawiałem kraj Dowayów za drzwiami. Mogłem rozłożyć notatniki i analizować dane, określić

obszary, w których moja wiedza była zbyt ogólnikowa, wyłuskać partie materiału, gdzie trud dalszych dociekań zostałby nagrodzony, miałem warunki do myślenia abstrakcyjnego bez przeszkód i przerw, tego najbardziej nieafrykańskiego zajęcia, któremu mogłem się teraz poświęcić.

Gdy spotkałem ich po raz pierwszy, wszystko to było sprawą przyszłości, lecz bieg wydarzeń prześcignął moje oczekiwania. Jak wspomniałem, miałem zamiar utrwalić "obrzęd naczynia na wodę". Zjawiłem się umówionego dnia i stwierdziłem ze zdziwieniem, że święto naprawdę odbędzie się, tak jak zapowiadano. Przyznam, że wspinačka kosztowała mnie więcej sił, niż przypuszczałem; kiedy już dostałem się na górę, nie mogłem ustać na nogach, świat wirował mi przed oczyma. Utrwaliłem obrzędy najlepiej, jak potrafiłem: przystrajanie pojemnika na wodę zmarłej kobiety niczym kandydata do obrzezania, pieśni i tańce, podczas których jeden z mężczyzn trzymał naczynie na głowie. Ale zdecydowanie działo się ze mną coś niedobrego: Oczy same mi się zamykały, aparat fotograficzny ciążył niewyobrażalnie, a "wyjaśnienia" Dowayów drażniły mnie ponad wszelką miarę. Przysiadłem na murku zagrody dla bydła, pracując nad związkami pokrewieństwa rozmaitych uczestników, gdy jakiś mężczyzna ostrzegł mnie, żebym nie przebywał w tym konkretnym miejscu, bo złapię okropną chorobę. Poprosiłem mojego asystenta, by mi to wytłumaczył. Chodziło, jak powiedział, o niektóre potłuczone naczynia leżące w rogu. W nich bowiem gromadzą się gazy, mogące pozbawić mój żołądek witamin. Tego już było za wiele, poczułem, jak narasta we mnie wściekłość, sam się sobie

126 ~ 127

dziwiąc, bo przecież nawykłem do podobnych wyjaśnień, słyszanych od tych Dowayów, którzy potracili pisać i czytać. Przy normalnym stanie umysłu zanotowałbym je jedynie jako chybioną próbę przełożenia tradycyjnych pojęć Dowayów na pseudozachodnią formułę. W rzeczywistości - dowiedziałem się tego poprzez wyjątkowo mozolne i szczegółowe dociekania - niebezpieczeństwo tkwiło w kamieniach, które miały zapewnić płodność zwierząt i które były zakopane pod skorupami naczyń. Oddziaływały one ponoć także na płciowość ludzi, a zatem wolno było zbliżać się do tego miejsca tylko starcom, którzy od dawna nie mogli zostać ojcami. Siedząc tam, gdzie siedziałem, narażałem na szwank własne możliwości rozrodcze.

Z końcem uroczystości trudno mi było nawet robić notatki i popędziłem z powrotem na złamanie karku, by rzucić się na moje łoże z gliny. Następnego dnia, ledwie wstało słońce, powlokłem się do miasteczka, do lekarza. Zajrzał mi w oczy, obejrzał mój jasnopomarańczowy mocz pod mikroskopem i stwierdził, że mam wirusowe zapalenie wątroby.

- Nikt panu nie robił ostatnio zastrzyku brudną igłą? - zapytał.

Przypomniałem sobie dentystę z Garoua. Teraz jedynym lekarstwem była witamina B, odpoczynek i dobre odżywianie. Biorąc pod uwagę warunki, w jakich żyłem, kuracja taka była niemożliwa. Po dwóch dniach spędzonych w łóżku poczułem się lepiej i poszedłem z powrotem w góry, by zakończyć badania dotyczące obrzędów z naczyniem.

Myśląc niezbyt jasno, pracowałem przez kolejny tydzień, aż przyjechał do mojej wioski Jon ze znajomym misjonarzem z Ngaoundere. Nie pamiętam całej rozmowy. Ale miała coś wspólnego z seksualnym wydzwiewaniem przypominającego penis słodkiego ziemniaka, który mi przyniesiono akurat tego dnia. Spoglądali po sobie znacząco i zaczęli się naradzać. Zaniepokoił ich chyba stan mojego zdrowia, bo chcieli podrzucić mnie do szpitala misyjnego w Ngaoundere.

Nie sądziłem, by konieczne było podejmowanie aż tak drastycznych kroków, ale na szczęście dla mnie uparli się, że wpadną następnego dnia. Rozsądne zdawało się przemyślenie propozycji. Wyposażony w mydło, wybrałem się do miejsca kąpieli, lecz zaledwie sto metrów od wioski ogarnęła mnie tak wielka słabość, że nie mogłem iść dalej. Siadłem na pobliskim kamieniu, nie mogąc w ogóle ruszać nogami. Zaczęło strasznie lać, ale jakikolwiek ruch był nadal poza zakresem

moich możliwości. Przypomniałem sobie, że jest to dzień moich urodzin, i najzwyczajniej się rozplakałem. Takiego właśnie zobaczył mnie Gaston, mężczyzna z pobliskiej wioski. Szlochając, powiedziałem mu, że nie mogę nawet wstać, na co on wziął mnie na ręce i zaniósł do mojej chaty. Spałem do chwili, kiedy zabrano mnie do szpitala.

12 g ~ 9 - Niewinny antropolog

Ex Africa semper quid ego*

Afrykański szpital wywołuje szok, jeśli patrzeć nań z punktu widzenia standardów zachodnich. W niczym nie przypomina wyciszenia i kolorytu naszych lecznic. Nieprzyjemnym i krępującym aspektem funkcjonowania ludzkiego ciała nie udostępnia się miejsc odosobnionych czy choćby parawanu wszystko odbywa się publicznie. Kiedy chory zostaje zatrzymany w szpitalu, cała rodzina pragnie mu towarzyszyć, gotując, myjąc się, pielęgnując dzieci, prowadząc normalny tryb życia z porozumiewaniem się pełnym głosem zupełnie jak w domu. W szpitalu grają więc radia, domokrażcy oferują barachło w tysiącu odmian, w długich kolejkach czekają szczelnie owinięte kobiety i zdeprymowani mężczyźni - wszyscy ściskają w dłoniach jak amulety kawałki papieru. Pielęgniarki przeciskają się między nimi, pochłonięci swoimi sprawami, zubożeni na wyciągające się ręce z papierkami i płaczliwe głosy. Otoczenie szpitala jest przykładem stanu ekologicznej klęski. Oberwano wszystkie listki, by wytrzeć ręce, spalono w ogniskach każdą gałązkę, zdeptano każde źdźbło trawy. Księżycowy krajobraz urozmaicają zgrabne placki ekskrementów, którymi chyłkiem karmią się psy. Wśród tego wszystkiego urzęduje lekarz, zwykle biały, nieustannie nagabywany, przepracowany, miotający się między jednym a drugim nagłym przypadkiem, łączący w swoich

* Ex Africa semper aliquid novi - Z Afryki zawsze coś nowego. Pliniusz St.,

* Historia naturalna.

mało wykwintnych usługach umiejętności tuzina szpitalnych oddziałów.

Zaaplikowano mi kurację w postaci zastrzyków z gamma-globuliny, które sprawiły, że nie mogłem ruszać nogami przez następne dwa dni, i po raz kolejny zostałem wspaniałomyślnie zabrany z deszczu, tym razem do Nelsonów, którzy postanowili poddać mnie intensywnemu dokarmianiu.

Kłopot z żółtaczką polegał na tym, że łatwo mogła nabrać cech schorzenia chronicznego i prześladować mnie do końca pobytu. Należało zatem określić, który z rozlicznych jej rodzajów złapałem, a można było tego dokonać tylko w Jaunde. Tam też miałem znaleźć dentystę, który zrobiłby ~ wygodniejszą protezę jeszcze przed powrotem do Anglii. Zachęcało mnie do tych poszukiwań wyraźne zmieszanie moich pobratymców z Zachodu, kiedy zęby beztrudno wypadały mi w trakcie jedzenia, podczas rozmowy czy innych codziennych czynności.

Na horyzoncie majaczyła tymczasem tragedia finansowa. Pieniądze wciąż nie nadchodziły. Bank nie potrafił wypełniać najprostszych poleceń i moje zadłużenie w misji zaczynało stawać się żenujące. Teraz miałem przed sobą wydatki na reperację samochodu i siebie. Zrozpaczony, nadałem telegram na uczelnię, by wydobyli mnie z opresji, wysyłając mi pięćset funtów. Gdyby przekazali pieniądze telegraficznie, mógłbym odebrać je w ambasadzie brytyjskiej w Jaunde.

Moje załamanie fizyczne nastąpiło w stosunkowo dogodnym momencie. Główny sezon świąteczny runął, a czas zbiorów, na którego obserwacji szczególnie mi zależało, jeszcze się nie rozpoczął. Miałem około trzech tygodni na dojście do stanu używalności i powrót na stanowisko pracy. Przy odrobinie szczęścia mogło mi się to udać. Zaciskając sztuczne zęby, wyruszyłem do Jaunde.

Ponieważ byłem w nie najlepszej kondycji, skłaniałem się ku wzięciu kuszetki, nie bacząc na koszt. Przedział okazał się nadspodziewanie czysty i wygodny, w stylu Przedsiębiorstwa Kolei Żelaznych z Tierra del Fuego, około roku 1910. Moje nadzieje na spokojną noc zostały jednak zniweczone próbą umieszczenia mnie w przedziale potężnej Libanki i jej zgrabnej córeczki. Konduktor wskazał mi

miejsce, więc schowałem bagaż i już zamierzałem szykować się do snu, gdy lewantyńska megiera ruszyła do ataku.

130 t~ 131

- Żaden mężczyzna nie będzie spał w tym samym pomieszczeniu co moja córka, póki jej nie wydam za mąż - syknęła. - Ona jest dziewicą - poinformowała. Obaj spojrzeliśmy na kobietę ze szczególnym zainteresowaniem. Próbowałem zrzec się jakichkolwiek roszczeń wobec cielesnych wdzięków jej latorośli. Dziewczynka chichotała. Konduktor perorował. Ja byłem ignorowany.

Konduktor uraczył nas długotrwałym odczytywaniem regulaminu, nie zważając na przerywającą mu bez przerwy kobietę. Wymiana zdań trwała i trwała z właściwym afrykańskim scysjom brakiem celu.

- Znam dyrektora kolei. Postaram się, by pana wyrzucono. - Mój brat jest inspektorem biura imigracyjnego. Postaram się, by panią deportowano.

- Dzikus! - Dziwka!

Doszło do niegodnej szamotaniny w drzwiach przedziału, zakończonej obfitym opluwaniem się. Dziewczynka i ja wymieniliśmy spojrzenia pełne niemej sympatii. Uznałem, że przyszedł czas na stanowczą decyzję, i podniosłem się z trudem. Kobieta obawiała się widać ataku na dziewczę od tyłu, skoczyła więc między nas z zaciśniętymi pięściami. Korzystając z chwili, konduktor chwycił ją zza pleców i powłókł, wyjąca wniebogłosy, po korytarzu. Spory tłumek, głównie będących w podróży policjantów, przyglądał się zajściu ze spokojną obojętnością, gdy tymczasem niskie pobudki zagrzewały walczących.

Począpiałem korytarzem i widząc, że prawie wszystkie przedziały są puste, wszedłem do pierwszego lepszego. Konduktor uznał to za nędną zdradę i uraczył mnie swoją szczegółową opinią o Libance, póki nie dałem mu łapówki, po to tylko, żeby sobie poszedł. Przez całą noc słyszałem, jak drzwi od tamtego przedziału otwierają się co jakiś czas i kobieta-wartownik, namierzwszy przechodzącego wroga, miota za nim obelgi. Kiedy następnego ranka dotarliśmy do Jaunde, on z poświęceniem przeszkadzał jej w zdobyciu tragarza, ona zaś próbowała oblać go wodą.

Moich francuskich przyjaciół, których poznałem podczas pierwszego pobytu, spotkałem w tym samym barze, co za zwyczaj. Poopowiadaliśmy sobie, co u kogo słychać. Większość z nieobecnych podobno wpadła w kłopoty z powodu niezmiernie zjadliwej choroby wenerycznej, prześladującej Afrykę Zachodnią, gdzie życie towarzyskie jest tak nudne, że cudzołóstwo traktuje się jako główną rozrywkę. Ku mojemu przerażeniu sprzedawcy pamiątek rozpoznali we mnie człowieka, który nie kupił niczego poprzednio, i byli zdecydowani nie popuścić mi tym razem.

Tak jak wkrótce po przybyciu do Kamerunu byłem pod wielkim wrażeniem brzydoty i brudu Jaunde, tak teraz miasto wydawało mi się wzorem piękna i dobrego smaku, opływającym w luksusy cywilizacji. W ciągu minionych miesięcy musiała więc zajść jakaś drastyczna zmiana w mojej ocenie norm. Nie poruszyło mnie także szokujące zestawienie dobrobytu i nędzy. Kiedy siedziałem w kawiarni, głównie w towarzystwie białych, na chodniku przystanął mały chłopiec i, kierowany nie wiedzieć jaką w tak młodym wieku ideą radykalizmu politycznego, zaczął pomstować na cudzoziemców. Klientela kawiarenki uznała to za niezłą rozrywkę i rzucała monety, a dziecko grzebało w brudnej ziemi, by je zebrać.

Wkrótce znalazłem schronienie w mieszkaniu przyjaciół i raz jeszcze uświadomiłem sobie, jak różne są priorytety potrzeb młodych ludzi z Francji i Anglii. Samotny Anglik lub Amerykanin, znalazłszy się w takich okolicznościach, je albo to, co jedzą miejscowi, albo żywi się puszkami, Francuz zaś obstaje przy swojej cuisine. Życie Francuzów, gdy nie uczyli, upływało na rajdach samochodowych po dżungli, przyjęciach organizowanych na terenie ambasad i przedsięwzięciach turystycznych. Jeden z nich z zapałem zajmował się wypychaniem zwierząt; specjalizując się w łuskowcach. Są to bestie wyjątkowo trudne do unicestwienia i człowiek ów wciąż próbował nowych sposobów pozbawiania ich życia. Nierzadko

znajdywało się w jego mieszkaniu wannę pełną żwawych łuskowców, które rzekomo zostały właśnie utopione, albo okazywało się, że "zamrożone na śmierć" zwierzaki wypchnęły wieko lodówki.

Dziwnym zbiegiem okoliczności nowy lekarz polikliniki okazał się moim znajomym - był chłopakiem siostry mojego starego przyjaciela i poznaliśmy się kiedyś w barze w

132 ~ 133

La Rachele. Miło było stwierdzić, że świat jest taki mały i działa wedle afrykańskiej zasady czerpania korzyści z szeroko pojętego krewniactwa. Znajomy lekarz załatwił mi badanie krwi, któremu to zabiegowi poddawałem się z mieszanymi uczuciami. Wbijanie we mnie igieł w ramach kuracji na igłę wbitą uprzednio wydało mi się bezproduktywne.

Następnego dnia zajrzałem do ambasady, by spytać, czy jest jakiś odzew na moje prośby o pieniądze. Okazało się ku memu zaskoczeniu, że byłem obiektem intensywnych zabiegów dyplomatycznych. Z ministerstwa spraw zagranicznych w Londynie odebrano bowiem wielce przesadzone doniesienia o moim okaleczeniu i oszpeceniu. Pracownik ambasady przemyślał nawet, czy nie udać się poza granice stolicy, by mnie odszukać. W charakterystyczny, niezwykle szczegółowy sposób wyjaśniono mi wszystkie powody, dla których niestety ambasada nie mogła mi pomóc. Zatoszczono się wszakże o wizytę u dentysty z pominięciem kolejki, ale zdecydowanie zaprzeczano, jakoby coś wiadomo było o pieniądzach.

Zostałem zmuszony spędzić w Jaunde dwa tygodnie, kiedy to przygotowywano moje zęby, i czerpałem z tego pobytu pełną garścią, jedząc mięso i chleb, a pewnego pięknego dnia udało mi się nawet zjeść ciastko z kremem. (Po powrocie do Anglii przestrzegałem zasady jedzenia dwóch ciastek dziennie, póki nie osiągnąłem swej zwykłej wagi). Nie ma nic wspanialszego nad zdolność poruszania się o własnych siłach po chorobie. Życie pełne było hedonistycznych uciech. Poszedłszy na kolację z właścicielem miejscowego przedsiębiorstwa tytoniowego, nie potrafiłem zrozumieć, skąd się we mnie bierze gwałtowny i wszechogarniający przypływ dobrego samopoczucia, póki nie zdałem sobie sprawy z faktu, że oto po raz pierwszy od czterech miesięcy siedzę w wyściełanym fotelu. W kraju Dowayów siadywałem na kamieniach albo na kiwających się składakach u naczelnika, w misji zaś na krzesłach o twardych oparciach. W mieście były także kina, dysponujące luksusowymi osobliwościami, jak na przykład system pozwalający na odbiór oryginalnej ścieżki dźwiękowej z tyłu sali, bez potrzeby skazywania się na tłumaczenie słyszalne tylko w przednich rzędach. A co najistotniejsze, dachy kin nie były pokryte blachą falistą, dzięki czemu gwałtowne ulewy niczego nie psuły. Euforia moja była wszakże krótkotrwała. Życie towarzyskie białych koncentrowało się w barach, gdzie spotykano się pod wieczór i wspólnie się nudzono, narzekając na Jaunde. Ponieważ nie mogłem pić alkoholu pod groźbą nawrotu żółtaczką, miejsca te były dla mnie zdecydowanie nieatrakcyjne i w końcu wcale nie żałowałem, że mam wracać. Pomijając wszystko inne, byłem pewien, że Dowayowie rozpoczną zbiory akurat w chwili mojego powrotu.

Wpadłem do szpitala, żeby zobaczyć wyniki badań krwi. Pierwszy wynik informował mnie, że cierpiałem na "zaginięcie próbki". Drugi diagnozował "brak reagenta do analizy". Można się było spodziewać, że tylko stracę czas. Czułem się jednak o wiele lepiej fizycznie i w nowym uzębieniu potrafiłem artykułować większość podstawowych dźwięków języka angielskiego. W fatalnym stanie znajdowały się tylko moje finanse. Minęło kilka miesięcy, zanim ambasada odkryła, że pieniądze dla mnie jednak nadeszły i leżały sobie w którejś z szuflad. Duże wrażenie zrobiło na mnie wyczucie, z jakim zaproszono mnie na przyjęcie z okazji urodzin królowej. Wysłano zawiadomienie tak, że dostałem je w tydzień po uroczystości; z tyłu znajdował się dopisek: "Pan ambasador nie będzie zdziwiony, jeśli nie będzie Pan mógł przybyć".

Bez przeszkód dotarłem z powrotem do Ngaoundere, gdzie byłem umówiony z Jonem i Jeannie, którzy mieli mnie podwieźć do Poli. Ze Stanów przybyły tymczasem

posiłki w postaci rodziny Blue, której głowa, Walter, miał nauczać w szkole misyjnej. On, Jon i ja natychmiast poczuliśmy się bratnimi duszami. Walter, wkrótce przechrzczony na Vulcha, gdyż miejscowi utożsamiali jego imię z angielskim vulture (sęp), miał manię rozwiązywania krzyżówek z Timesa i męczył się nad nimi całymi godzinami, stękając i pohukując radośnie na przemian w rozpacz i triumfie. Był człowiekiem bardzo muzykalnym i wkrótce zdobył sobie prawo wyłączności do starego, charczącego pianina, mocno nadwerężonego przez wilgoć i termyty; dopiero dużo później, gdy miał dostęp do lepiej nastrojonego instrumentu, uświadomiłem sobie, że on naprawdę potrafi grać. Jego żona, Jacqui, stanowiła dlań znakomite uzupełnienie, biorąc na siebie odpowiedzialność za

sprawy
134 ~ 135

praktyczne: szyła ubrania, hodowała kury, chwytala - gdy trzeba było - za młotek, rodziła dzieci, które Vulch kołysał bezmyślnie, zajęty rozwiązywaniem krzyżówek. Przez dom przepływał stały strumień gości - gospodarze zawsze byli im radzi. Przybywając z buszu, nigdy się nie wiedziało, kogo się u nich Zastanie. Między porozkładanymi bagażami harcowały dzieci, psy, koty i kameleony, które niekiedy także należały do gospodarstwa.

Czułem się teraz w Kamerunie mniej wyobcowany. Sadziłem, że najgorsze mam już za sobą. Znalazłem przyjaciół mieszkających w pobliżu mojego stanowiska pracy. Miałem azyl w razie choroby, depresji czy poczucia wielkiego osamotnienia. Mogłem rażno zabrać się do pracy, którą przyjechałem wykonać:

Obrzędy i urzędy

Nie było mnie we wsi ponad trzy tygodnie, ale nie traciłem ducha, bo proso przy drodze nie dojrzało jeszcze do zbiorów.

Od czasu, gdy przeczytałem płomienne tyrady Malinowskiego przeciw antropologii uprawianej na misyjnych werandach, owe werandy bardzo mnie pociągały i wydawały mi się przyjemnym oraz wielce stosownym miejscem do rozmyślań o Afryce. Tuż przed oczyma miałem główną drogę wiodącą do miasta, za nią stały góry oświetlone blaskiem księżyca. Ta znakomita lokalizacja pozwalała mi być jednocześnie zajęтым, jak i beczynnym.

Kiedy tak siedziałem, rozkoszując się widokiem i tutejszym łagodnym ciepłem po chłodach Ngaoundere, powiew wiatru przyniósł z gór odgłosy bębnow. Jeszcze raz poczułem się jak ów archetypiczny biały człowiek w którymś z surowych, pouczających brytyjskich filmów z lat czterdziestych, nasłuchujący tubylców z odległych wzgórz i zastanawiający się, czy to aby nie znak zbliżającej się rzezi, której należy się obawiać. Rozpoznawałem głęboki dźwięk bębna śmierci. Chowano kogoś, kogoś bogatego. Z powodu niosącego się po zboczach echa trudno było powiedzieć, skąd dźwięk dochodzi. Spytałem kucharza, Rubena, czy może on wie. Twierdził, że dźwięk dobiega z Mango; dochodził jednak z mojej wioski, właśnie stamtąd, gdzie go umiejscowiłem. Odezwało się we mnie poczucie obowiązku; dotychczas nie uczestniczyłem w pochówku dorosłego mężczyzny. Pożegnałem się z przyjaciółmi i ruszyłem do Kongle przy świetle pożyczonej latarki.

137

Ledwie znalazłem się w wiosce, spotkałem mojego asystenta, który powitał mnie ciepło i poprosił o zaliczkę. Śmierć rzeczywiście dosięgła jednego z bogatych mieszkańców najodleglejszej części Kongle; z jego domostwem utrzymywałem dobre stosunki za pośrednictwem człowieka imieniem Mayo. Mayo był starym przyjacielem ojca Zuuldiba i miejscowe władze traktowały go jak naczelnika wioski, wbrew życzeniom ludzi i prawom dziedziczości. Ojciec Zuuldiba doszedł do wniosku, że skoro podatki może nakładać administracja, może to robić także on. Nałożył tedy specjalny podatek na swoją rzecz i bardzo się zasmucił, gdy mu powiedziano, że to niedozwolone. Pomiędzy sous prefetem a mieszkańcami Kongle rozwinęła się głęboka nienawiść, a Mayo, któremu zawsze zlecano wykonywanie

najniewdzięczniejszych zadań, został uznany za agenta rządu. Co dziwne, on i Zuuldibo żyli w wielkiej przyjaźni, zresztą Mayo był postacią powszechnie lubianą. Osobiście uważałem go za najsympatyczniejszego Dowaya, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. Był wspaniałomyślny, pomocny, pełen życia, zadawał sobie trud pomagania mi w rozmaitych przedsięwzięciach. Bardzo mnie ucieszyła wiadomość, że Matthieu wrócił właśnie z tej części wioski, gdzie mieszkał Mayo, i sporządził notatki o przygotowaniach do pochówku. Następnego dnia o brzasku ruszyliśmy na "miejsce śmierci". Wskutek nalegań Maya wyniesiono leżak przykryty, jak stwierdziłem, materiałem grzebalnym i ustawiono go tuż przy ciele, w miejscu gdzie znacznie utrudniał czynności żałobników. Ciało zostało już owinięte w skórę młodego wołu, zarżniętego na tę okazję przez braci zmarłego. Dookoła wsi biegały kobiety przystrojone w liście żałobne, uderzając kalebasą o kalebasę i zawodząc. Po jednej stronie specjalnego miejsca dla umarłych płci męskiej siedziały wdowy i spoglądały przed siebie kamiennym wzrokiem. Zachowałem się nedorzecznie, próbując je pozdrowić, bo nie wolno im obyło mówić ani się poruszyć. Mężczyźni uznali to za świetny dowcip i chichotali, owijając zwłoki. Inni bliscy, zwłaszcza powinowaci, znosili skóry, materiały i bandaże do owinięcia ciała. Przybył zięć zmarłego ze swoją żoną. Kobieta stanęła w zagrodzie dla by dla, a mężczyzna rzucał swoje ofiary, celując w jej brzuch, aby wskazać na powiązania pomiędzy nim a rodziną zmarłego. Ci, którzy oddali kobiety za żony mężczyznom z rodziny nieboszczyka, rzucali ofiary w twarz krewnych zmarłego. Jest to zwykle gest obraźliwy; w tym przypadku obrazuje szacunek, który mężczyzna winien jest rodzicom żony, oraz podkreśla ich wyższość wobec mężczyzny. Grupa mężczyzn nieustannie żartowała. Dowiedziałem się później, że byli to mężczyźni obrzezani w tym samym czasie co zmarły. Mężczyźni obrzezani w tym samym czasie zobowiązani są do końca życia dowcipnie się obrażać, mogą też korzystać wzajemnie ze swojego majątku. Nagle spadła gwałtowna ulewa i wszyscy zniknęli. - Dokąd pobiegli? - Do buszu, załatwić się. Przypuszczałem wówczas naiwnie, że jest to jedynie przerywnik, że ludzie zajęci przygotowaniem od samego rana jednomyślnie zarządzili przerwę, by udać się za swoją potrzebą przed dalszym ciągiem uroczystości. Dopiero później dowiedziałem się, że była to odrębna część obrzędu - pośrednie odwołanie się do istoty obrzezania, potwierdzenie między braćmi, że odbył nie jest zaślepiony. Matthieu, Mayo i ja schroniliśmy się w chacie i zostaliśmy tam, póki deszcz nie przestał padać. Mayo opowiedział mi, co po czyjejś śmierci robią mężczyźni wczesnym rankiem na rozdrożu. Mayo z własnej woli udzielał mi takich informacji, podczas gdy od innych trzeba je było wyciągać na siłę. "Mężczyźni idą na rozdroże. Są tam też kłowni i czarownicy. Są bracia obrzezańcy. Siedzą po dwóch, twarzami do siebie. Sypią sobie na głowy trawę. Jeden mówi: »Daj mi dupy«. Drugi odpowiada: »Bierz, jak chcesz«. Kopulują. Przy pomocy kija. Któryś podpala trawę. Krzyczą. Przyłączają się do innych mężczyzn. To wszystko". Mayo uznał tę opowieść za bardzo wesołą i dosłownie pokładał się ze śmiechu. Chcąc być grzecznym, robiłem to samo, ale w myślach próbowałem już "nadać sens" tej informacji. Uroczystości Dowayów zawsze wprawiały mnie w stan

138 a 139

ogłupienia, czułem się przygnieciony sugestywnością, a zarazem niedefiniowalnością ich symbolizmu. Cały czas miałem wrażenie, że brakuje mi jakiegoś składnika, czegoś ważnego i oczywistego, czego nie uznali za stosowne mi powiedzieć, i że w związku z tym widzę wszystko w krzywym zwierciadle, interpretuję opacznie. Podejrzywałem już nawet, o co chodziło - o obrzezanie - ale wciąż nikt nie był gotowy, by o tym ze mną rozmawiać. Musiałem mozolić się nad ową układanką przez następne miesiące. W gruncie rzeczy cała uroczystość

była po prostu skróconą wersją wydarzeń, mających miejsce podczas obrzezania, i na ich bazie była osnuta, podobnie jak i inne uroczystości w kraju Dowayów. Wszystkie zdarzenia przełomowe w życiu, wszystkie święta kalendarzowe odnoszą się do obrzezania. Oto dlaczego strój noszony podczas obrzezania pojawia się w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach: w naczyniu na wodę zmarłej kobiety, wśród tkanin owijających ciało zmarłego. Rozległy się krzyki. Kiedy siedzieliśmy w środku, wrócili mężczyźni i przywiązali do ciała czerwony kapelusz, taki sam, jakie noszą kandydaci do obrzezania. Poszturchiwano zwłoki i straszono je obrzezaniem. Podczas pogrzebu kazano czasami oprzeć się nagiemu chłopcu o zwłoki i ucinano czerwoną nitkę u jego członka, co symbolizowało odcięcie napletka. Długo w noc nagrywaliśmy z Mattiueu wszelkiego rodzaju piosenki i pogaduszki. Taśmy miały zapewnić mi zajęcie na dłuższy czas. Ledwie wróciliśmy do siebie i siedliśmy do pierwszego tego dnia posiłku, doszły nas słuchy, że w sąsiedztwie odbędzie się kolejne święto czaszek - może jutro, może pojutrze. Ze zwłokami zmarłego i tak nic nie miało się dziać przez następne dwa dni, ponieważ je "wystawiono" - można więc było spokojnie o nich na jakiś czas zapomnieć i pójść obejrzeć inne wielkie wydarzenie. Podczas posiłku Matthieu przybrał ów chytry wyraz twarzy, który zdażyłem już poznać i którego się bałem. Zwykle tak długo przygotowywał sobie grunt do załatwienia jakiejś sprawy, że z ulgą przyjmowałem moment, gdy przechodził do sedna. W końcu zaczął. W czasie mojej nieobecności spędzał czas odwiedzając krewnych oraz porządkując rzeczy w mojej chacie. Natknął się wówczas na stary garnitur, upchnięty na dnie walizki. Przywiozłem go za namową kolegi: "Będzie ci potrzebny przynajmniej jeden garnitur". Nigdy nie zrozumiałem do czego. Woziłem go z sobą przez te wszystkie miesiące, czekając na okazję, by go włożyć, aż w końcu wpisałem radę mojego kolegi na długą listę "idiotycznych i chybionych rad dla antropologa jadącego w teren". Matthieu był innego zdania. Prosił mnie gorąco, abym ubrał się w garnitur na święto czaszek. Uważał, że to sprawi na ludziach wielkie wrażenie. Kategorycznie odmówiłem. Nadaśał się. Miał jeszcze inną sprawę. Powinienem zatrudnić kucharza. To źle, że gotuję sam. Co więcej, w sytuacjach takich jak dzisiejsza byłoby znakomicie zastać po powrocie gotowy posiłek. Matthieu ma "brata" i może go przyprowadzić. Dla świętego spokoju zgodziłem się z "bratem" porozmawiać, ale w duchu nie miałem najmniejszego zamiaru obciążać się utrzymywaniem służby domowej. Następnego dnia Matthieu obudził mnie jeszcze przed świtem - cały w uśmiechach. Miał dla mnie niespodziankę. Odnalazł kucharza, brata, o którym wspominał. Śniadanie już na mnie czeka. Składało się z jelit bydłowych spalonych na węgiel, w wielkiej ilości oliwy. Nie znosiłem tego zalewania wszystkiego oliwą. Pojawił się kucharz, by przyjąć gratulacje - chłopię, może piętnastoletnie, mające po sześć palców u każdej dłoni, co mnie poruszyło i zainteresowało. Pomyślałem, że byłoby dobrze poznać określenia związane z kalectwem i deformacjami. Chłopak przypisywał swoje sukcesy w gotowaniu kontaktom z białymi, które miał w Garowa. Czy był tam może kucharzem? Nie, śmieciarzem. Poczulem zmęczenie. Powiedziałem, że wrócimy do sprawy, gdy będę miał się lepiej. Może wieczorem. Jeśliby trzymać się wyobrażeń Dowayów dotyczących czasu, święto, na które przybyliśmy, nie było jeszcze w tej fazie, w jakiej powinno. Miało to dla mnie pewną korzyść, mogłem bowiem zobaczyć tę jego część, o której Dowayowie w ogóle mi nie wspomnieli. Nie była to, gwooli sprawiedliwości, ich wina. Prosiłem, by mi pokazali "rzucanie na czaszki", sądząc, że jest to nazwa całej uroczystości. Rzeczywiście była to jej nazwa, ale także, na moje nieszczęście, określano w ten sposób samą chwilę "rzucania" na czaszki ekskrementów i krwi.

140 141

A zatem skoro upominałem się o "rzucanie na czaszki", pokazano mi ten konkretny moment. Tymczasem dookoła odbywały się najrozmaitsze ekscytujące występy w wykonaniu osób, o których nawet nie wiedziałem, że mogą uczestniczyć w

uroczystości. Mężczyźni, na przykład, zademonstrowali narcystyczny taniec z lusterkami. Bracia obrzezańcy wspięli się na chaty zmarłych i tarli okolica odbytu o brzeg dachu. Kobiety przedstawiały sceny ze słodkimi ziemniakami w kształcie penisów, które wprawiały mnie w zakłopotanie, póki nie uświadomiłem sobie, że było to jedynie odtworzenie tego, co robią chłopcy po obrzezaniu. Innymi słowy, wdowy traktowano tak, jakby właśnie zostały obrzezane poprzez ostateczne odejście ich zmarłych mężów. Cechą wspólną obu obrzędów jest to, że wdowy zostają tym sposobem przywrócone normalnemu życiu po długim okresie wykluczenia z niego. Ich zmarli mężowie, poddani obrzędowi czaszek, też jakby zostają obrzezani. Tu cechą wspólną obu obrzędów jest z kolei to, że zmarli mogą wstąpić do domu czaszek, co stanowi akt wieńczący rytuał obrzezania. Niewiele z tego wszystkiego wówczas rozumiałem. Byłem zbyt zajęty samym zapisywaniem wydarzeń, by rozważać, co właściwie w pocie czoła notuję. Często strzelałem jakimś pytaniem na chybił trafił z nadzieją, że znajdę punkt zaczepienia do dalszych dociekań. Kłopot w poruszaniu się po obszarze symbolizmu polega na trudności określenia danych dla symbolicznej interpretacji. Próbuje się opisać, w jakiego rodzaju świecie żyją Dowayowie, jak go kształtują i jak objaśniają. Ponieważ nie zna się jednak większości owych danych, nie sposób o nie pytać. A Dowayo miałyby jeszcze większy aniżeli my problem z odpowiedzią na pytanie: "Jaki jest świat, w którym żyjesz?". Pytanie to jest po prostu zbyt niejasne. Dlatego obraz świata Dowayów trzeba składać kawałek po kawałku. Być może istotne okazały się zwyczaje językowe, wierzenia albo struktura obrzędów. Próbuje się wobec tego połączyć to wszystko w pewną całość.

Na przykład: wyjaśniłem już, że kowale są odseparowani od reszty Dowayów, co wyrażają reguły zobowiązujące kowali do odosobnionego uprawiania roli, jedzenia, uprawiania seksu, czerpania wody. Antropolog przypuszcza, że także inne formy komunikowania się mogą podkreślać ową separację: dajmy na to, wierzenia dotyczące języka. Stwierdziłem, że od kowali oczekuje się szczególnego akcentowania wyrazów, innego niż to, które słychać u pozostałych Dowayów. Izolacja seksualna mogła być obciążona wierzeniami o kazirodztwie lub homoseksualizmie. Ta ostatnia sprawa okazała się szczególnie trudnym obszarem. Okazja do poruszenia tematu nadarzyła się podczas kastracji byka, którego jądra zostały zaatakowane przez pasożyty. Zaciekawilo mnie spostrzeżenie, że gdyby kastracji miało być poddanych kilka sztuk bydła, zabieg odbyłby się w lasku, gdzie dokonuje się obrzezania chłopców - doszedł bowiem jeszcze jeden dowód na identyfikowanie bydła z mężczyznami. Kiedy wprowadzano bydło, by można było złapać chorego, dwa roczniaki próbowały z sobą kopulować. Wskazałem na to z nadzieją, że podobne praktyki zostaną przypisane niektórym grupom, powiedzmy - jeśli mi się poszczęści, - kowalom. Im dalej posuwałem się w moich pytaniach, tym sytuacja stawała się trudniejsza i bardziej żenująca. Wyglądało na to, że praktyki homoseksualne są w Afryce Zachodniej zgoła nieznane, wyjąwszy miejsca, gdzie biali dali przykład. Dowayowie nie dowierzali, że takie rzeczy są możliwe. Tego rodzaju zachowanie u zwierząt zawsze interpretowano: "Walczą o samicę". Mężczyźni pozwalają sobie wprawdzie na znacznie więcej kontaktów fizycznych, aniżeli uznaje się za normę w naszej kulturze, ale kontakty te nie mają wydźwięku seksualnego. Przyjaciele chodzą trzymając się za ręce. Młodzi mężczyźni często śpiąją spleceni w uścisku, ale nie odbiera się tego w kategoriach płciowości. Dowayowie, którzy nie widzieli mnie przez jakiś czas, siadali mi na kolanach i głaskali mnie po głowie, rozbawieni moim zażenowaniem wobec publicznego zachowania tego rodzaju. A zatem moje nadzieje na wykrycie związku kowali z homoseksualizmem okazały się chybione - kowale jedzą wszakże psy i małpy, choć większość Dowayów zaprzeczała i jednemu, i drugiemu. Antropolog wyjaśniłby to zbytnią bliskością tych zwierząt i ludzi. Jedzenie ich jest więc kulinarnym ekwiwalentem kazirodztwa i homoseksualizmu. Tak oto szuka się drogi przez gąszcz danych, nieustannie popełniając błędy i je naprawiając. Owego dnia jednakże bar

dziej, przyznaję, zajmowała mnie sprawa kucharza i tego, jak się uwolnić od jego usług wątpliwej jakości. Na szczęście przyszło mi w końcu do głowy znakomite rozwiązanie - zatrudnię go przy budowie mojego nowego domu. Z pewnością będzie lepszy w narzucaniu błotnistej zaprawy niż w gotowaniu jedzenia.

Poza innymi atrakcjami nadarzyła mi się podczas uroczystości okazja do ponownej rozmowy ze Starym Człowiekiem i z Kpan, ponieważ wszystko odbywało się w jego własnym

ogrodzie. Jak zwykle otaczała go liczna świta, ktoś trzymał nad jego głową czerwony parasol, a on sam poił się piwem. Pragnął porównać nasze protezy i stwierdziwszy, że jego sztuczne zęby są urządzeniem znacznie bardziej wyszukany, zaprosił mnie do siebie za miesiąc. Obiecał, że po mnie przyśle. Sezon deszczowy został oficjalnie zakończony i przez następnych pięć albo sześć miesięcy opadów się nie spodziewano - była to rzecz wielce dla mnie pocieszająca, ponieważ nienawidziłem deszczu. Kiedy wracaliśmy obaj z Matthieu, złapała nas jednak okropna burza. Zaczęła się od niewinnego pomrukiwania, dochodzącego z gór, które przerodziło się w głuchy ryk. Spojrzawszy w niebo, ujrzeliśmy ogromne chmury, gromadzące się i kłębiące wokół szczytów. Było pewne, i że nie zdążymy do wioski, nim dopadnie nas najsilniejsze uderzenie. Nad równiną zerwał się wiatr, targając trawy i ogarniając drzewa z liści. Matthieu uważał za rzecz oczywistą, że nie jest to zwyczajna burza, lecz specjalna demonstracja siły zaklinacza deszczu. Przyznaję, że gdybym nie był pełnym uprzedzeń człowiekiem Zachodu, skłaniałbym się do przyznania mu racji, albowiem burza okazała się doprawdy wyjątkowa. Lało strasznie, w kilka sekund przemokliśmy do suchej nitki i dygotaliśmy z zimna. Wiatr szarpał nami tak gwałtownie, że wrywał nam guziki u koszul. Przy drewnianym mostku musieliśmy sprząść wędrowną. Ów mostek był omszałym pnem przewróconego drzewa, który spinał brzegi wozu głębokiego na jakieś dwanaście metrów. Zwykłą niemożliwością było balansowanie na pniu przy takim wietrze, siedliśmy zatem i czekaliśmy - Matthieu trząsał się ze strachu, że Stary Człowiek zesła piorun, by nas zabić. Powiedziałem mu, że białego człowieka piorun nie dotrze, więc jeśli będzie

trzymał się blisko mnie, nic mu się nie stanie. Uwierzył w to od razu. W Afryce Zachodniej jest bodaj najwięcej wypadków, w których ludzie giną od pioruna. Pamiętam, jak przemyślałem, siedząc przy owym mostku, że skoro każdy pojazd ma motorjo, człowieka, którego zadaniem jest umocowywanie bagażu i wchodzenie na dach, by zdjąć rzeczy pasażerów, absurdalne sformułowanie ze starych angielskich rozmówek dla podróżników: "mojego pocztyliona trafił piorun" może być tu używane rzeczywiście częściej niż gdziekolwiek indziej na ziemi.

W końcu żywo ucichł i wróciliśmy do domu. Opowieść o burzy od razu okrzyła wioskę i spędziłem wieczór, gawędząc otwarcie o zaklinaczach deszczu - nagle temat ów stał się tematem dozwolonym.

Niektórzy z Dowayów rozpoczęli już żniwa - stosunkowo wcześniej - najwyraźniej więc powinienem być udać się na pola. Przed zbiorami trzeba przygotować klepisko. Tworzy je płytkie wgłębienie wygrzebane w ziemi, które oblepia się gliną, bydlęcymi odchodami i kleistymi roślinami, by utwardzić grunt. Klepisko musi być zabezpieczone przed złymi mocami czymś ostrym: ostami, łodygami prosa albo bambusu, używa się nawet szpilek jeżozwierza. Kłosa ściętego prosa suszą się zwykle na klepisku przez kilka dni, zanim zaczną się uderzać w nie kijami, by wypadło ziarno. Jest to bardzo ciężka i zniechęcająca przez Dowayów praca. Plewy boleśnie drażnią skórę i nawet na zahartowanym ciele tubylców pojawiają się rozległe czerwone placki. Dowayowie siedzą dookoła klepiska, na przemian młócąc i pijąc, drapiają się przy tym nieprzyzwoicie z nie skrywanym zadowoleniem. Klepisko ogromnie mnie interesowało. Wszędzie na świecie takie miejsca skupiają jak w soczewce całą symbolikę, a w kraju Dowayów przypisuje się im spory zestaw zakazów. Wiedziałem już, że istnieje odrębna klasa "prawdziwych rolników", którzy muszą przedsięwziąć specjalne środki ostrożności. Załatwiłem już sobie

nawet wizytę u kogoś takiego - za dwa tygodnie, w czasie zbiorów na jego polu - aby dowiedzieć się, jaką to szczególną pozycję zajmują "prawdziwi rolnicy" w tutejszym systemie kulturowym. Postawiłem sobie za cel utrzymywanie poprawnych kontaktów z miejscowymi kobietami,

145

przypuszczając, że będą dobrym źródłem informacji w tych sprawach, gdyż były skłonne przyzwolić na naruszanie tabu własnej seksualności, i dzięki temu dowiedziałem się, że kobiecie w ciąży nie wolno wchodzić na klepisko. To było dla mnie niespodzianką. W innych częściach kraju Dowayów uważano, że seksualność ludzi i płodność roślin mają na siebie korzystny wpływ. Na przykład: podczas pierwszej miesiączki dziewczynę zamyka się na trzy dni w chacie, gdzie proso ścierane jest na mąkę. Tylko kobiety pozostające w związku małżeńskim mogą przyjmować w darze kiełkujące proso. Kowale, z którymi zabrania się stosunków seksualnych, nie mogą wchodzić na pole kobiety, kiedy rośnie na nim proso. Innymi słowy, kultura ustanowiła paralele pomiędzy kolejnymi cyklami wzrostu proso a rozwojem płciowym kobiet. Spodziewałem się wobec tego, że narodziny dziecka i młócka powinny jakoś się ze sobą łączyć. Pasowałoby też do mojego modelu umieszczenie kobiety na klepisku w razie trudnego porodu. Sprawa stanowiła dla mnie zagadkę przez długi czas. Skorzystałem nawet podczas nieobecności Jana z jego biura i siedziałem przez cały dzień nad notatkami, próbując odgadnąć, gdzie popełniam błąd. Jeśli rozumowałem nieprawidłowo, mogłem równie dobrze wyrzucić na szmelc wszystko to, co opracowałem do tej pory, a co dotyczyło "mapy kulturowej" Dowayów.

Postanowiłem pogadać z moją ulubioną informatorką, Mariyo, trzecią żoną naczelnika. Przyjaźniliśmy się od chwili, gdy moje pigułki wyleczyły młodszego brata naczelnika, ona sama zaś interesowała mnie z kilku powodów. Mieszkała tuż za moją chatą i nie mogłem nic poradzić, by nie słyszeć nieprzerwanego strumienia głośnych bąków, pokasywań i ogłuszającego czkania, dochodzących z tamtego kierunku po zmierzchu. Czułem do niej ogromną sympatię jako do osoby, której kiszki równie źle tolerowały krainę Dowayów, jak i moje. Pewnego dnia wspomniałem o owych odgłosach Matthieu, który ryknął śmiechem i wybiegł z chaty, by obwieścić Mariyo o moim kolejnym idiotyzmie. Minutę później wybuch wesołości dał się słyszeć w jej domostwie, a potem można już było nakreślić tor, po którym wieść rozchodziła się po wsi, śledząc salwy historycznych chichotów w kolejnych chatach. W końcu Matthieu wrócił, osłabły i spłakany ze śmiechu. Zaprowadził mnie do domostwa Mariyo i wskazał na małą chatę, stojącą na wprost mojej. Trzymano w niej kozy. Nie mając żadnej wiedzy o kozach, nie byłem też świadom, że potrafią wydawać ludzkie odgłosy. Po tym zdarzeniu połączył mnie z Mariyo szczególny rodzaj zażyłości, dopuszczający wzajemne porozumiewanie się poprzez nieustanne żartowanie z siebie. Relacje takie są wśród Dowayów częste i zdarzają się zarówno wśród ludzi w specyficzny sposób ze sobą spokrewnionych, jak i wśród osobników, którzy po prostu darzą się sympatią. Dowayowie potrafią być czasami niesamowicie zabawni, czasami zaś są niewyobrażalnie nudni, ponieważ nie biorą pod uwagę cudzego nastroju.

W wyniku naszej żartobliwej zażyłości Mariyo stała się bardzo chętną informatorką i przystała na moją propozycję ścisłego rozdzielania żartów od "pytań o pewne rzeczy". Była jedyną spośród Dowayów, która zdawała się pojmować, o co mi właściwie chodzi. Spytałem ją kiedyś o szczególny rodzaj strzyżenia włosów w kształt gwiazdy, który widziałem u kobiet - spokrewnionych ze zmarłą - podczas ceremonii naczynia na wodę. Czy nosiło się taką fryzurę także przy innych okazjach? Odpowiedziała przecząco, jak zrobiłby każdy z Dowayów, ale, czego nie zrobiliby inni, dodała: "Czasami noszą takie fryzury także mężczyźni" i zaczęła wyliczać, w jakich okolicznościach mężczyźni strzygą włosy we wspomniany sposób. Ponieważ większość rytuałów kobiecych można zrozumieć tylko wtedy, gdy założy się, że pochodzą one od rytuałów męskich, dało mi to podstawę do ich interpretacji i otworzyło nową ścieżkę dociekań, prowadzącą od rysunków

na ciałach ludzkich do dekoracji na naczyniach i do ludowej koncepcji patrzenia na kobietę jak na bardziej lub mniej uszkodzone naczynie.

Zebrałem już wiadomości dotyczące kobiet ciężarnych i klepiska od innych informaterek, byłem więc ciekaw, co powie mi Mariyo. Staralem się wyjaśniać tę sprawę stopniowo. Jak się przygotowuje klepisko? Co się na nim dzieje? Czy jest coś, czego nie wolno robić na klepisku? Czy komuś nie wolno na nie wchodzić? Potwierdziła, że na klepisko nie wolno wchodzić kobiecie w ciąży, a przynajmniej, dodała, "póki dziecko nie jest jeszcze całkowicie ukształtowane i gotowe do porodu".

146

To postawiło całą sprawę w zupełnie innym świetle. Wyjaśniła mi, że jeśli brzemienna kobieta znajdzie się na klepisku, może nastąpić przedwczesny poród. A zatem moje łączenie cyklu wzrostu prosa z płodnością kobiety odpowiadało rzeczywistości. Trudno wytłumaczyć laikowi głęboką satysfakcję pochodzącą z tak prostego fragmentu informacji jak ta. Tymczasem służy ona za usprawiedliwienie wielu lat uczenia się banałów, miesięcy chorób, samotności i nudy, całych godzin stawiania głupich pytań. W antropologii chwile potwierzeń należą do rzadkości, ta chwila została mi dana jako bardzo potrzebne pokrzepienie moralne.

Lecz jak to zwykle w Afryce, tuziny drobnych problemów uniemożliwiają długotrwałą metodyczną pracę. Musiałem wziąć dzień wolnego, by stoczyć bój z różnymi formami życia zwierzęcego, które opanowały moją chatę. Mogłem od biedy współżyć z jaszczurkami. Biegały po dachu, przenosząc się błyskawicznie z belki na belkę. Jedyną ich wadą było to, że zwykły oddawać stolec na cudzą głowę. Kozy były przekleństwem i należało umieć się przed nimi bronić.

Prowadziłem nieustanną wojnę z pewnym starym capem, któremu nic nie sprawiało większej przyjemności niż zakradanie się do mojego obejścia o drugiej nad ranem i skkanie po naczyniach do gotowania. Przegoniony, dawał spokój co najwyżej na godzinę, po czym wracał i na bis traktował butlę gazową tylnymi kopytami.

Najgorszy był jednak buchający od niego smród. Zapach kóz Dowayów jest tak intensywny, że wędrując przez busz, można stwierdzić, iż w ciągu ostatnich dziesięciu minut przemierzał tę samą trasę kozi samiec - polegając wyłącznie na własnym nosie. Pokonałem capa definitywnie, kupując sobie względy psa naczelnika, Burse'a, który popadł w beznadziejne uzależnienie od czekolady. Kawalek tabliczki każdego wieczora gwarantował, że pies będzie spał przed moją chatą i odpędzał kozy. Później Burse wprowadził do interesu żonę i dzieci, znacznie uszczuplając stan moich zapasów. Dowayów niezmiernie bawiła moja psia świta, która towarzyszyła mi w kilometrowych wędrowkach przez busz, i czasami nazywali mnie "wielkim myśliwym".

Stałym zagrożeniem dla papieru były termyty. Miały chytry zwyczaj wnikania do książek od środka i pożerania ich w taki sposób, że z zewnątrz wyglądały całkowicie w porządku, podczas gdy składały się już tylko z cienkiej jak opłatek okładki. Wystarczył krótki atak środkami chemicznymi, by je rozgromić.

Bardziej jednak denerwowały mnie myszy. Twardo ignorowały moje pożywienie. Jak wszystko, co żyje w kraju Dowayów, przepadały za prosem, natomiast jedyną z moich rzeczy, która im rzeczywiście smakowała, był plastik. Waż od filtra do wody zeżarły w ciągu jednej nocy. Przypuszczały zmasowane ataki na aparat fotograficzny. Najbardziej nienawidziłem ich niezręczności, gdy spadały z łoskotem z jednej części sprzętu na drugą. Ich Los został przesadzony pewnej przerażającej nocy, kiedy zbudziłem się w ciemności i poczułem drżący kształt na swojej piersi. Leżałem bez ruchu, przekonany, że to śmiertelna zielona mamba zwinęła się dokładnie na moim sercu. Próbowałem oszacować jej rozmiary. Co miałem robić? Leżeć i czekać, aż odejdzie? Śpię niestety bardzo niespokojnie i mogłem, zasnawszy na powrót, obrócić się i przygnieść ją do podłoża z fatalnymi dla siebie skutkami. Uznałem, że najlepiej będzie odliczyć do trzech i zerwać się szybkim ruchem, strącając zwierzę. Policzyłem, wrzasnąłem potężnie i

rzuciłem się na bok, zostawiając część kolana na wystającym brzegu łóżka. Z nieomylną precyzją, która wywarła na mnie w tamtej chwili spore wrażenie, sięgnąłem po latarkę i skierowałem snop światła na agresora. Przyszpilona nagłą jasnością, dygotała ze strachu najmniejsza mysz, jaką kiedykolwiek widziałem. Było mi nawet trochę wstyd, póki nie odkryłem o świcie, że próbowała zjeść moje sztuczne zęby. Serce me stwardniało i przeszedłem się po wiosce, zbierając wszystkie dostępne łapki na myszy. W ciągu jednej nocy zabiłem dziesięć sztuk, które zostały następnie zjedzone przez dzieci.

Najgorsze były wszakże cykady. Dziesięć milionów cykad rozproszonych po wzgórzach krainy Dowayów wytwarza ów przyjemny szum, będący symbolem wieczorów w strefie tropikalnej. Ale pojedyncza cykada, która dostanie się do twojej chaty, może przyprawić cię o obłąd. Cykady mają przedziwną zdolność chowania się w najmniejsze szpary i niezmiernie trudno jest ustalić kierunek, z którego dochodzi ich głos. Przy

148 ~ 149

świetle są całkowicie nieme. W ciemnościach wydają najprzeróżliwsze, ostre i zgrzytliwe skrzeki. Jedynym sposobem na ich wykrycie było skrupulatne posypanie wszystkiego dookoła zawartością puszek ze środkiem owadobójczym - na nalepce przedstawiono optymistyczne wizerunki duszących się karaluchów, konających much, spadających korkociągami moskitów i tak dalej. Cykada opuszczała wówczas swą kryjówkę i biegła w oszołomieniu po podłodze, gdzie wystarczyło ją dobić dziesięcioma uderzeniami jakiegoś ciężkiego przedmiotu. Po kilku bezsennych nocach wściekłość i żądza czynów gwałtownych, potrzebne do tego przedsięwzięcia, przychodziły w sposób naturalny.

Do wypowiedzenia wojny totalnej sprowokowało mnie odkrycie gniazda skorpionów w rogu chaty, gdzie trzymałem zapasowe buty. Uniósłszy je, z pełną nieświadomością, w górę, przeraziłem się strasznie, gdy ogromny żwawy skorpion ruszył w moim kierunku. Wrzeszcząc nieludzko, umknąłem w stronę drzwi, gdzie stało dziecko, może sześciolatek, i przyglądało mi się pytająco. Stres zubożył moją zdolność myślenia i nie mogłem znaleźć słowa na określenie skorpiona. - Tam jest gorący potwór - krzychałem wielkim głosem. Dziecko zajrzało do chaty i z wyrazem pogardy zdeptało skorpiona bosą stopą. (Gwoli ścisłości pozwolę sobie wyjaśnić, że skorpiony rzadko żądają śmiertelnie, ale ich ukłucie może spowodować silny ból. Należy wówczas zanurzyć ukąszone miejsce w zimnej wodzie i zażyć tabletki antyhistaminowe, które są zwykle określane jako środki na katar sienny).

Dowayowie zawsze mi się dziwili, że uważam węże i skorpiony za przerażające - bo tak w istocie było - a jednocześnie słyne z tego, że nie uciekam przed najokropniejszymi z ptaków, przed sowami. Pewnego razu widziano, jak wzięłem w rękę i wsadziłem na drzewo kameleona, nad którym pastwiły się dzieciaki, a ponieważ ugryzienie tego zwierzęcia uważano za śmiertelne, potraktowano to jak akt wielkiej odwagi z mojej strony. Jednak za najbardziej pożyteczne spośród moich szaleństw Dowayowie uznali fakt, że dotykam bez lęku pazurów mrówkojada. Żaden Dowayo nigdy by tego nie zrobił, bo wówczas jego penis na zawsze pozostałby wiotki. Pazurami mrówkojada można zabić człowieka, jeśli wbije się je w owoc baobabu i wypowie imię ofiary. Kiedy owoc spadnie, ofiara umrze. Dowayowie, którzy zabili mrówkojada, przyzywali mnie i publicznie przekazywała mi pazury w dowód swych pokojowych intencji wobec współplemieńców. Miałem je zanieść wysoko w góry i zakopać z dala od uczęszczanych miejsc. Rola osoby kontrolującej skażenie moralne we Wszechświecie, którą przyszło mi pełnić, była wysoko ceniona.

Dowiedziałem się od podróżnych, że proso mojego "prawdziwego rolnika" nie dojrzało jeszcze do żęcia, mogłem więc spokojnie czekać i obserwować kolejną z rozrywek - wybory w Kongle. Sous prefet zwołał wszystkich mieszkańców wsi 0 określonej porze w jedno miejsce, by przemówić do nich na temat wyborów i nie załatwionej sprawy naczelnikowania. Nie pojawił się jednak, a oni siedzieli pod

drzewem i czekali przez całe dwa dni, zanim udali się z powrotem na poła. Wkrótce potem przybył do wioski goumier. Ci niesympatyczni ludzie są byłymi żołnierzami, których rząd centralny wykorzystuje do zapewnienia sobie posłuszeństwa wśród krnąbrnych wieśniaków tam, gdzie żandarmi nie mogą wszystkiego dopilnować. Goumiers osiedlają się na dłuższy czas, żyją z dóbr swoich gospodarzy i zmuszają ich do wykonywania swoich poleceń. Na obszarach, gdzie ludzie nie wiedzą, jakie są ich prawa, albo też .może wiedzą, jak niewiele znaczą one w praktyce, goumiers uciekają się do prawdziwej tyranii. W tym konkretnym przypadku chodziło o upewnienie się, czy zostały przygotowane lokale wyborcze. Dowayowie wykazywali zdecydowany brak zainteresowania sprawami polityki; ich entuzjazm wymagał więc stymulacji.

Wszyscy Dowayowie, mężczyźni i kobiety, mieli zameldować się określonego dnia i oddać głos. Odpowiednią frekwencję powinien był zapewnić naczelnik. Mayo pokornie wziął więc sprawę na siebie, podczas gdy Zuuldibo siedział w cieniu, wykrzykując polecenia do tych, którzy pracowali. Siadłem obok niego i odbyliśmy długą dyskusję o najwspanialszych stronach cudzołóstwa.

- Weź Mariyo - rzekł. - Ludzie zawsze mi mówili, że sypia z moim młodszym bratem, ale sam widziałeś, jak się zdenerwowała, kiedy zachorował. Świadczy to o tym, że nic między nimi nie było.

150 '~ 151

Dla Dowayów seks i uczucie tak bardzo nie miały ze sobą nic wspólnego, że wręcz jedno wykluczało drugie. Pokiwałem ze zrozumieniem głową. Nie było sensu mu wyjaśniać, że można na to spojrzeć inaczej.

W lokalach wyborczych demokracja w pełni rozwinęła skrzydła. Jednego z mężczyzn skarcono, że nie przyprowadził wszystkich żon.

- Nie przyjdą.

- Powinieneś spuścić im baty.

Spytałem kilku Dowayów, za czym głosują. Patrzyli, nie rozumiejąc, o co mi chodzi. Bierzesz dowód osobisty, wyjaśniali, dajesz urzędnikowi, który go stempluje, i w ten sposób oddajesz głos. Tak, ale jaki jest cel głosowania? Spoglądali jeszcze bezmyślniej. Przecież już mówili, bierzesz dowód osobisty... Nikt nie wiedział, o co w wyborach chodzi. Głosów negatywnych nie przyjmowano. Po całodziennej procedurze wyborczej stwierdzono, że nie dość głosów zebrano, i wszyscy przystąpili do głosowania po raz drugi. W tygodniu ogłaszania wyników byłem akurat w kinie i dowiedziałem się, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent wyborców głosowało na jedyne go kandydata wyłonionego z szeregów jedynej partii. Uznałem za dobry znak, że publiczność, bezpiecznie anonimowa w ciemnościach, wybuchnęła urągliwym śmiechem.

We wsi jednakże wszyscy podchodzili do głosowania z wielką powagą, jak nakazywały przepisy. Dowody tożsamości były drobiazgowo sprawdzane, starano się bardzo, żeby stempel został przystawiony na odpowiednim miejscu, procent głosujących wieśniaków wyliczono skrupulatnie, rejestry przekazywano od urzędnika do urzędnika za pokwitowaniem. Nikt zdawał się nie zauważać rozdźwięku pomiędzy pieczołowitym przestrzeganiem szczegółów a rażącym lekceważeniem pryncypiów demokracji.

To samo działo się w szkołach. Obciążono je niewyobrażalnym aparatem biurokratycznym wyłącznie dla określenia, którego z uczniów należy wydrzeć, którego promować, a którego zostawić na drugi rok. Czas spędzany na zawiłym obliczaniu "średniej" wedle tajemnego przepisu jest co najmniej równy czasowi spędzanemu w klasie. A na koniec całej procedury dyrektor szkoły arbitralnie orzeka, że stopnie wyglądają na zbyt niskie, i podwyższa je wszystkim bez wyjątku albo bierze łapówki od rodziców i po prostu zmienia oceny. Także rząd, uznając, że nie potrzeba aż tylu studentów, może unieważnić egzaminy. Egzaminy bywają czasami czystą farsą. Nie można się nie śmiać na widok pytań egzaminacyjnych strzeżonych przez żandarmów z pistoletami

maszynowymi, kiedy koperta, w której się one znajdują, została otwarta, a zawartość sprzedana przed kilku dniami osobie oferującej największą stawkę. Po "wyborczej" przerwie trzeba było wyruszyć do mojego "prawdziwego rolnika" na żniwa. Oznaczało to pokonanie około trzydziestu kilometrów przy rosnących z dnia na dzień temperaturach. Należało postanowić, czy wędrować nocą, gdy jest chłodniej, czy liczyć na podwiezienie i wyruszyć w ciągu dnia. W końcu zdecydowałem się na drugie rozwiązanie i miałem szczęście natknąć się na jednego z francuskich misjonarzy katolickich, dojeżdżającego z jednej misji do drugiej. Zabrał nas chętnie i odbyliśmy bardzo sympatyczną podróż; w czasie której przedstawił mi swoją teorię kultury Dowayów. Zmierzała ona do koncepcji tłumienia seksualnego. Wszystko wiązało się z seksem. Drewniane widelce ustawiane przy zabitym symbolizują jedną stroną penis, drugą - pochwę; szczególne znaczenie obrzezania odzwierciedla kompleks kastracyjny; kłamstwa dotyczące obrzezania, a mówiące o zatkaniu odbytu, są widowym znakiem, że Dowayowie, jako plemię, mają obsesje analne. Czytywał nie tylko podręczniki do psychologii, ale także książki antropologiczne. Uwaga ta oznaczała, jak się okazało wskutek moich dociekań, że przeczytał coś niecoś o Dogonach, najbardziej rezolutnym i autoanalitycznym plemieniu z Mali. Ze smutkiem kiwał głową nad Dowayami. Mimo że spędził wśród nich tyle lat, nie powiedzieli mu jeszcze niczego ani o swoich mitach, ani o pierwotnym jaju. Przeczytawszy, że Dogoni nie są całkiem tacy sami jak Francuzi, nie mógł pogodzić się z myślą, że Dowayowie nie są całkiem tacy sami jak Dogoni.

Trudno nie zaakceptować poglądu, że wszechobecna seksualność, przynajmniej w swej części, nie miała nic wspólnego z domaganiem się wstrzemięźliwości seksualnej w afrykańskim klimacie kulturowym. Zapewne ufność pokładana w Biblii każe człowiekowi sądzić, że całą prawdę można

152 153

znaleźć w jednej księdze. Relatywizm kulturowy wydaje się, rzecz jasna, szczególnie trudny dla ludzi o wykrystalizowanej wierze, czy to będą misjonarze, czy zadowoleni z siebie osadnicy, czy niemiecki wolontariusz, który zdobył podczas trzyletniego pobytu w Kamerunie prawdę o Afryce potrafił ująć w jednym zdaniu: "jeśli tubylec nie może czegoś zjeść ani użyć seksualnie, ani sprzedać piałemu, to nie jest tym zainteresowany".

Celem naszej wyprawy była odludna wioska u stóp nagich, granitowych gór. Zakrawało na cud, że cokolwiek rośnie na cienkiej warstwie spieczonej gleby. Różnica temperatur pomiędzy tamtym miejscem a tym, które zacząłem już nazywać "moim" zakątkiem krainy Dowayów, była znaczna i zarówno Matthieu jak i ja chętnie siedliśmy w cieniu, gdy szukano gospodarza.

Okazał się małym pomarszczonym człowieczkiem, ubranym w łachmany. Był całkiem pijany, choć nie minęła jeszcze dziesiąta rano. Odbyliśmy zwykle powitania, przyniesiono maty, byśmy na nich usiedli. I jak się obawiałem, postanowiono przygotować jedzenie. Znosiłem jako tako osobliwe potrawy z pochrzynu, orzeszków ziemnych czy prosa, ale niestety, kiedy pojawiłem się w obcej wiosce, na znak szacunku uważano za stosowne poczęstować mnie mięsem. Ponieważ nikomu nie chciało się bić wołu po to tylko, by mi zaimponować, kończyło się zwykle na mięsie wędzonym, czyli tym, które wisiało nad rozpalanym sporadycznie ogniem do gotowania przez bliżej nieokreślony czas. Polewano je sosem, który łagodził smród, mający potężne działanie wymiotne. Na szczęście, niegrzecznie jest przyglądać się jedzącym gościom, oddalaliśmy się więc z Matthieu na czas posiłku do osobnej chaty. Tam mogłem rzec się wszelkich roszczeń wobec podanego jedzenia, nikogo nie urażając. Matthieu jadł za nas obu, a ja, przycupnawszy w kącie, próbowałem myśleć zupełnie o czym innym.

Kiedy czyniono przygotowania do uczyty, zacząłem rozmawiać z gospodarzem o rozmaitych błahych sprawach, prosząc na przykład o informacje na znane mi już tematy. Jak się obawiałem, odpowiedzi były wymijające i obficie zmieszane z

półprawdami. Co więcej, wyglądało na to, że wcale nie jest pewne, czy czas żniw rzeczywiście się zbliża. Może uda się

154

rozpocząć zbiory jutro, a może nie. Pracując w terenie, nikt nie chce, rzecz jasna, mieć do czynienia z informatorami tego rodzaju. Każdy pragnie ograniczyć się do informatorów o grzecznym, uprzejmym i wspaniałomyślnym usposobieniu, dla których odpowiadanie na uporczywe i nie mające sensu pytania dociekliwego antropologa jest zabawnym i wartym trudu zajęciem. Tacy ludzie należą niestety do wyjątków. Większość woli zajmować się innymi rzeczami, łatwo się nudzi i irytuje głupotą rozmówcy, albo też bardziej zależy jej na przedstawieniu siebie w korzystnym świetle aniżeli przedstawieniu prawdy. W takich przypadkach najlepszą taktyką jest danie łapówki. Niewielka kwota pieniędzy przekształca antropologiczną wypytynkę w opłacalny interes i otwiera drzwi, które w innych okolicznościach pozostawałyby zamknięte. Także w tym przypadku łapówka zrobiła swoje. Mały prezencik zapewnił rozpoczęcie żniw z możliwie najmniejszym opóźnieniem oraz zagwarantował mi uczestnictwo w całym wydarzeniu od początku do końca - gospodarz miał zaraz wszystko zorganizować. Kiedy, kołysząc się jak kaczką, odszedł, pojawiła się jedna z jego żon z przeogromnym talerzem wędzonki. Ledwie przełknięty został ostatni kęs cierpkiego mięsa, dały się słyszeć cięcia maczet; rozpoczęto żniwa. Matthieu zdradził mi na ucho powód, dla którego nasz gospodarz tak ochoczo zgodził się mnie zadowolić. Otóż powinien uiścić pogłównę. Posłuży się moim prezentem, by opłacić podatek, a jednocześnie nie będzie musiał dzielić się nim z krewnymi, gdy znajdą się w potrzebie.

Praca szła na całego, a ja siedziałem na polu, rozpaczliwie próbując nawiązać rozmowę ze żniwiarzami. Nie mogliśmy się jednak zrozumieć prawie wcale - oto przykry dowód na to, jak bardzo umiejscowiona była moja znajomość języka. Milczenie bywało długie i kłopotliwe, nie pomagał zwyczaj Dowayów, którzy wykrzykują do cichego gościa: "Powiedz coś!", co niezawodnie paraliżuje proces myślenia u rozmówcy.

Mężczyźni i kobiety pracowali cały dzień, pot spływał im strumyczkami po twarzach i piersiach, kiedy pochyleni żęli proso, przewracające się z suchym szelestem - różnokolorowe wiechy padały na ziemię z wysokości ponad trzech metrów. Od czasu do czasu robili przerwę, by tyknąć wody albo i zapalić ze mną papierosa. Nikogo, nawet w najmniejszym i- stopniu, nie drażniło, że przyglądam się ich pracy, wykazywali natomiast wiele troski, czy słońce, zmieniające swą pozycję, nie wadzi mi i nie sprawia, że jest mi zbyt gorąco. Snuto rozmaite przypuszczenia co do ilości plonów. Ktoś gotów pomyśleć, że skoro zbiory leżały przed nimi, widoczne jak na dłoni, dokładne ich oszacowanie nie nastroczało trudności - nic bardziej mylnego. Z tego, co mówili, wynikało, że rzeczywisty moment oceny plonu jest sprawą dość odległą i nieosiągalną są dane, z których można by cokolwiek wynioskować. Sposób, w jaki zboże pada, świadczy dobrze albo źle; to, czy kłosa sięgają kostek żniwiarzy, przepowiada to lub owo. Wieśniacy byli w strachu, że złe moce w każdej chwili mogą pozbawić ich plonu albo wyciągnąć z niego "to, co dobre", a wtedy człowiek, choć zje dużo, nadał będzie głodny. Dlatego też pole i kłepisko, gdzie leżały w stosach owoce natury, były dobrze zabezpieczone cierniami i szpikulcami, które miały zranić grasujące złe moce. Nie wzięto, co dziwne, za zły omen, że dwóch i żeńców stąpnęło na ostrze z bambusa i się skaleczyło. Kilku

braci "prawdziwego rolnika" krzątało się dookoła ognia, mrużąc jeden do drugiego, jak mniemałem, tajemne zaklęcia. Posłałem do nich Matthieu z tytoniem i poleciłem mu zgłębić temat ich rozmowy. Otóż zastanawiali się, czym się posłużyłem, by uczynić moje włosy prostymi i jasnymi. Czy takie włosy podobają się kobietom? Dlaczego my, biali, nie damy sobie spokoju i nie wyglądamy naturalnie, jak nas Bóg stworzył, z czarnymi kręconymi włosami?

Siłą dziesięciu czy piętnastu robotników - wszyscy byli braćmi lub synami organizatora - pracę zakończono w ciągu jednego dnia i ludzie odeszli, by zjeść

i odpocząć. Ja tymczasem, idąc za odgłosami śpiewów, zabrnąłem parę kilometrów w stronę gór, żeby rzucić okiem na pogrzeb kobiety, której ciało, owinięte w skóry i tkaniny, niesiono z wioski męża do wioski ojca. Ponieważ droga wiodła stromą ścieżką, a Dowayowie, jak to oni, bali się ciemności, pochód wyruszył jeszcze za dnia. Upewniwszy się, że nic nie będzie się działo na polach aż do świtu, pozwoliłem Matthieu, wobec jego rodzinnych powiązań, pójść z żałobnikami. Wspaniałe czerwone słońce

156

chyliło się ku zachodowi, gdy z brzuchem pustym od rana i burczącym złowieszczo patrzyłem; jak oddalali się w chmurze kurzu, śpiewając i płasając, niosąc ciało na skleconych naprędce noszach. W dolinie było już ciemno, gdy dotarli na wzgórze jeszcze skapane w blasku słońca i zniknęli po drugiej stronie grzbietu. Wówczas to na polach buchnęły głośnie śpiewy. Coś się tam odbywało.

Nigdy się nie dowiedziałem, czy wykluczenie mnie z uczestnictwa w widowisku było wynikiem podstępny, czy nieporozumienia, i jaką rolę odegrał w tym Matthieu. Była to jedna z tych sytuacji, kiedy im więcej zadajesz pytań, tym mniej odpowiedzi otrzymujesz. Jak się jednak przekonałem podczas innych żniw, w których brałem udział, przed moim przybyciem nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Wszyscy mężczyźni zgromadzili się na klepisku, kobiety i dzieci były nieobecne. Na stosie kłosów prośa ułożono rozmaite remedia roślinne, po czym śpiewano pieśni na obrzęd obrzezania, których nie wolno słuchać kobietom. Nikt nie przejmował się moją obecnością. Rozpoczęto młóckę. Mężczyźni, niektórzy rozebrani do naga, z tykwami na penisach, wykonywali podczas młócenia powolny taniec. Kij wznoszono prawą ręką ponad głowę, chwytano lewą ręką i opuszczano na proso. Wszyscy robili krok w bok i powtarzano operację. Trwało to wiele godzin, brzmiał monotony śpiew, za nim szło głucho unisono uderzeń. Wszedł księżyc i wspiał się wysoko, a wciąż słychać było rytmiczne razy; w powietrze wzbijały się łuski i przyklejały do spoconych ciał. Nawet o tej porze nocy było okropnie duszno, ziemia promieniowała ciepłem.

Kolejny fragment rzeczywistości, który pamiętam, to wschód słońca. Mężczyźni nadal pracowali i śpiewali, podtrzymywani na duchu wielkimi ilościami piwa. Spoczywałem na skale nie bez szkody dla zadka, wspierając się o ciernisty krzew. Uczucie totalnego przepicia przypominało kaca po nocnej przeprawie przez kanał La Manche. Najwyraźniej obudziła mnie duża koza, która w zamyśleniu żuła moje notatki, posiliwszy się uprzednio autobiografią kapitana łodzi podwodnej, z którą się ostatnio nie rozstawałem. Na szczęście, zdażyłem już przejąć dobry nawyk Dowayów wieszania swoich rzeczy na drzewie; szybki rzut oka upewnił mnie, że jedyną poza no

157

tatkami stratą było nadgryzione sznurowadło. Stanowczo odprawiwszy kozę, wróciłem do mężczyzn, którzy rozpoczynali akurat kolejny etap pracy - wianie, czyli oczyszczanie ziaren z plew. Z rodzaju dowcipów, w których się prześcigano, wynikało, że niektórzy z mężczyzn nie byli jedynie krewnymi, lecz należeli też do grupy równocześnie obrzezanych.

- Nie ma wiatru! - wołał jeden z nich. - Jak mamy wiać? Musimy wszyscy puszczać wiatry.

Sypał ziarno sponad głowy do kosza, tak by oddzieliły się plewy. Jego uwaga wywołała falę histerycznego śmiechu, którym i ja się zaraziłem. Wianie szło sprawnie. Odcięto głowę trzymanemu nad ziarnem kurczakowi, a ze wszystkich stron spadał na stos zboża ugotowany dziki pochrzyn, zwany "pożywieniem skorpionów". Sprowadzono ze wsi odświętnie ubranego gospodarza; usypał ziarno w koszyku, do którego przytroczył czerwony fulański kapelusz, i pomknął z wielką prędkością ku wsi. Kiedy pierwsze ziarna zostaną złożone w wysokim cylindrycznym spichrzu, zbiory są wreszcie bezpieczne, złe moce nie mają do nich dostępu.

Nie potrafię powiedzieć, kiedy spostrzegłem, że analizowane przeze mnie dane łączą się ze sobą, ale krok po kroku zaczynałem wszystko rozumieć. Nie wątpiłem,

że to, czego byłem świadkiem, może być zrozumiane jedynie w odniesieniu do obrzędu obrzezania. Słyszałem dostatecznie dużo o tej ceremonii, by wiedzieć, iż młódka stanowiła jakąś formę przedstawienia zatytułowanego: Uśmiercenie starej Fulanki.

"Stara kobieta z plemienia Fulanów miała syna. Syn był chory. Biegł po trawie silkoh i się zranił. Penis mu spuchł i był pełen ropy. Kobieta wzięta nóż i ucięła tak, że dziecko wyzdrowiało. Penis stał się piękny. Obcięła też drugiemu synowi. Pewnego dnia szła spacerem przez wioskę Dowayów i Dowayowie zobaczyli, że to dobrze. Dowayowie przejęli obrzezanie i zatłukli ją na śmierć. Tak to się zaczęło, bo Dowayowie nie znali obrzezania. Zabronili kobietom patrzeć na nie. A komety Fulanów mogą patrzeć. To wszystko".

Bicie na śmierć jest odtwarzane przy kilku okazjach, zwłaszcza podczas obrzezania chłopców. Odbywa się wówczas krótkie przedstawienie, kiedy to stara kobieta, lamentując i narzekając, idzie drogą, gdzie leżą zaczajeni Dowayowie. Przechodzi między nimi dwukrotnie. Za trzecim razem Dowayowie wyskakują i biją ziemię kijami, obrywając liście, które kobieta ma na sobie. Na usypanym stosie kamieni wisi koszyk i czerwony kapelusz kobiety. Śpiewa się piosenkę na obrzezanie. Kobiety i dzieci nie mogą być przy tym obecne.

"Pożywienie skorpionów" odnosi się do czego innego. Słyszałem o kultach płodności, podtrzymywanych między innymi przez zaklinaczy deszczu. A mianowicie, zanim jakiegokolwiek plony zostaną wprowadzone do wioski po raz pierwszy w danym roku, należy odprawić określone rytuały, aby skorpiony nie opanowały chat i nie zaatakowały ludzi. Nikt dotychczas mi nie wspomniał, że skorpiony, które wtargnęły do mojej chaty, zostały potraktowane jako znak, iż nierozsądnie złamałem zwyczaj, przywożąc żywność z zewnątrz. Rzucanie "pożywienia skorpionów" na zbiory wprowadza skorpiony w błąd. Pozostają one dzięki temu w buszu. Podobnie rzucanie odchodów górskiego jeżozwierza podczas święta czaszek trzyma niebezpiecznych przodków z dala od wioski. Dopiero dużo później dowiedziałem się, że "pożywienie skorpionów" dotyczy także ludzi: dziewczynek podczas pierwszej miesiączki oraz chłopców po obrzezaniu. To właśnie potwierdziło moje wcześniejsze przypuszczenie, że młodzi ludzie, na progu dojrzałości, traktowani są jak rośliny gotowe do zbioru. Dowayowie starają się tak zorganizować zakończenie obrzędu obrzezania, by powrót chłopców do wioski zbiegł się w czasie ze znośaniem plonów z pól. Obie uroczystości odbywają się wedle tego samego modelu.

Spędziłem w wiosce jeszcze jedną noc, by nabrać pewności, że nic innego już się nie kroi, i przywitałem mojego krnąbrnego asystenta, który wrócił o zmierzchu szczerze skruszony. Żeby wynagrodzić mi swoją nieobecność, pokazał mi, w wielkim sekrecie, magiczny kamień do wywoływania poronienia u ciężarnej kobiety. Aby poród był szczęśliwy, należało przyjść do właściciela kamienia i złożyć mu datek pieniężny. Rodzina mojego asystenta czerpała stałe zyski z owego, mającego tak wielką moc, kawałka skały, choć nie aż tak wielkie jak pewni ludzie mieszkający przy drodze, w których posiadaniu był

158 ~ 159

kamień wywołujący czerwonkę. Istnienie kamieni trzymano w tajemnicy przed misjonarzami. Najwidoczniej to oni ponosili a odpowiedzialność za wysiłki byłego francuskiego sous prefeta, by owe kamienie zniszczyć. Dowayowie byli przekonani, i że chodziło mu w rzeczywistości o odebranie im kamieni i zdobycie dzięki nim bogactwa dla siebie. ',

Następnego dnia powędrowaliśmy do Kongle. Spotkała nas '° tylko jedna przygoda podczas tego długiego i bardzo nudnego marszu: przechodząc przez rzekę, straciłem grunt pod nogami i zanurzyłem się po szyję w głębokim oczku, moczac wszystkie błony fotograficzne ze zdjęciami robionymi w czasie zbiorów i kompletnie je niszcząc. Przygnębiło mnie to niewymownie. Z punktu widzenia zebranych materiałów wyprawa nie była więc znaczącym sukcesem, wracałem bez

notatek i zdjęć. Są one wszakże, lub powinny być, jedynie katalizatorem pewnych pomysłów, a na kilka pomysłów z pewnością wpadłem.

W ramach odpoczynku zajrzeliśmy do misji i zatrzymaliśmy się tam aż do dnia pocztowego. Po kilku dobach bez mycia, po spaniu na ziemi i skąpym jedzeniu cudowną rzeczą jest

położyć się w prawdziwym łóżku, wziąć prysznic i dobrze v' zjeść, a przede wszystkim mieć z kim pogadać. Były też nowiny, pojęcie prawie zupełnie obce w krainie Dowayów, na pozór nie poddanej wpływowi czasu. Sous prefet zbierał się do wyjazdu.

Wyglądało na to, że po czternastu latach w Poli ustępował miejsca komu innemu. W Kongle panowało z powodu tej wiadomości wielkie poruszenie. Czuło się atmosferę zabawy karnawałowej. Mężczyźni zebrali się, by pić bez pamięci i świętować odejście człowieka, którego przez długi czas uważali za wroga. Była to znakomita okazja do posłuchania plotek, a znalazło się wielu chętnych do opowiedzenia mi o dawnych krzywdach. Co pewien czas ekspediowano do miasteczka posłańców po najnowsze wieści. Zuuldibo chętnie pomógłby staremu sous-prefetowi opuścić Poli. Był wręcz skłonny nieść jego meble na własnych plecach do rozdroża. Powiedziano mi, że usłyszawszy o przeniesieniu na inną placówkę, sous prefet zwrócił się do Dowayów z prośbą, by użyli swych tajemnych mocy dla zmiany rozkazu. Uśmiechnęli się do niego

słodko i odpowiedzieli z żalem, że wszystkie rośliny zwiędły, nie mogą mu więc pomóc. Kolejny mężczyzna przybył z miasteczka. Rozmawiał ze służącym sous prefeta przez okno sypialni. Pracodawca dał jasno do zrozumienia, że ów stary sługa nie dostanie na odchodne żadnego prezentu. Co więcej, sous-prefet kazał pewnemu człowiekowi, którego jedynym majątkiem była koszulina, co ją miał na grzbiecie, spalić wszystkie swoje ubrania, których nie zamierzał brać z sobą. Wzbudziło to ogólny gniew. Uświadomiłem sobie, że i ja będę musiał spełnić rozmaite oczekiwania, kiedy nadejdzie czas mojego wyjazdu.

Strumień gości przepływał nieustannie i każdy dokładał swoje ziarenko do wspólnego zasobu wiedzy. Na koniec przyszedł Gaston, którego naczelnik wyprawił na swoim rowerze do miasteczka po piwo i nowiny. Wyglądał na wyczerpanego. Dowayowie lubią opowiadać, więc i Gaston zabrał głos. Wszyscy usiedli znowu dookoła ogniska, od którego ja odsuwałem się jak najdalej.

Większość mieszkańców Poli była pijana (Zuuldibo wydawał się zazdrosny). Nikt nie wiedział niczego więcej. Widziano tylko, jak sous-prefet się pakuje. Gaston wybrał się nawet na bazar z nadzieją zdobycia nowych informacji. Zastał tam mnóstwo więźniów. Poli było tak zapadłą dziurą, że więźniowie nie mieliby dokąd uciec, więc pozwalano im wychodzić na ryby albo na drinka. Dwóch z nich napastowało właśnie dziewczynę Dowayo, gdy Gaston niewinnie wjechał rowerem w środek sceny.

- Teraz dostaniecie za swoje - wykrzyknęła dziewczyna. Przyjechał mój mąż! Wówczas opryszkowie zostawili dziewczynę i rzucili się na nieszczęsnego Gastona, kobieta zaś uciekła ze śmiechem. Wszyscy inni także uznali historyjkę za zabawną. Gaston tarzał się po ziemi z uciechy nad własną krzywdą. Wieczór zakończył się radosnymi rykami. Tylko Zuuldibo był zły; więźniowie ukradli Gastonowi piwo.

161

Mokre i suche

Pora sucha nastąpiła na dobre i okolica zmieniła się w pustkowie pokryte zeschniętymi trawami. Dowayowie przestawili się na zupełnie inny tryb życia - z wyjątkiem obszarów wysokogórskich, gdzie możliwe było nawadnianie, uprawę roli odłożyli do pierwszego deszczu. Mężczyźni oddawali się picciu, j` tkactwu i najzwyklejszemu nicnierobieniu, albo przypadkowym łowom. Kobiety łapały ryby albo robiły kosze i garnki.

Młodzi mężczyźni udawali się do miast w poszukiwaniu pracy i zepsucia.

Miałem w zapasie kilka pomysłów, ale trzeba było z nimi poczekać w związku ze zbliżającym się Bożym Narodzeniem. Aż za dobrze wiedziałem, jak okropnie byłoby siedzieć samemu w kraju Dowayów podczas tego najbardziej przygnębiającego z kalendarzowych rytuałów, i umówiłem się z Jonem i Jeannie, że dołączę do nich w misji w Ngaoundere. Tam właśnie urządziliśmy bardzo skromne, ale pokrzepiające święta - bardziej religijne niż którekolwiek z poprzednich w moim życiu - tchnące, na przemian, spokojem i szaleństwem. Walter, jak w obłędzie, świętował z energią godną lepszej sprawy. Kaca mieliśmy na zmianę i jakoś udało nam się zapomnieć, że na zewnątrz nie ma głębokiego, chrześzczącego i gładkiego śniegu. Były naturalnie momenty, które chwytały za serce. Pewien zatwardziały ekspatriant zalał się łzami, gdy podano lody domowej roboty, inny był wyraźnie wzruszony widokiem ciasta bożonarodzeniowego z suszonymi owocami mango i bananami. Ja, nie wiadomo dlaczego, dostałem ataku malarii na widok migocących gwiazdkowych światełek, ale wróciłem do wsi po tygodniu, odżywiony i ożywiony, by dopilnować budowy mojego domu.

Było to wyjątkowo uciążliwe zadanie. Raz ziemia okazywała się za mokra, innym razem, po tygodniu, za sucha: Brakowało beczki na wodę. Trawa na dach nie była gotowa. Człowiek kierujący pracami albo chorował, albo właśnie udawał się z wizytą, albo chciał więcej pieniędzy. Kontrakt renegocjowaliśmy z przesadną teatralnością trzykrotnie. Gdybym nie dopłacił, ponosiłbym odpowiedzialność za głodujące dzieci, szlochające żony i nieszczęśliwych mężczyzn.

Po kilku tygodniach postąpiłem tak, jak postąpiliby Dowayowie, to znaczy poprosiłem naczelnika o zwołanie sądu, który by rozsądził moją sprawę. Sądy Dowayów dostępne są dla każdego, chociaż kobiety i chłopców należy przedtem szczegółowo pouczyć, by wiedzieli, jak się zachować wobec znaczniejszych od siebie. Wszyscy zbierają się pod drzewem na publicznym placu przed wsią i rozpoczyna się palabre. Swoje żale przedstawia się w stylu efektownej retoryki, świadkowie są powoływani i przesłuchiwani przez każdego, kto tego chce. Naczelnik nie ma prawa narzucać wyroku, ale obie strony, zapoznawszy się z opinią ogółu, często akceptują jego mediację. Innym rozwiązaniem było przedstawienie sprawy w Poli, gdzie decydowałiby o niej obcy i gdzie istniało ryzyko otrzymania kary więzienia za niepokojenie administracji.

Nie mając rozeznania w subtelnościach języka i procedury, dokonałem jedynie wprowadzenia do problemu w mowie, którą przeciwczyliśmy z Matthieu. Kończyła się słowami: "Jestem pomiędzy Dowayami niby dziecią. Oddaję swoją sprawę w ręce Mayo, by ją wyjaśnił". Poszło nieźle i Mayo mógł pozwolić sobie na określenie moich adwersarzy jako bezdusznych nikczemników, który oszukują mnie, wykorzystując moją przyzwoitą naturę oraz fakt, że nie mam na miejscu krewnych. Padały liczne argumenty za i przeciw, a ja tylko kołysałem się na piętach i w regularnych odstępach czasu mamrotałem: "Ano właśnie", "Tak, dobrze". W końcu zgodziłem się zapłacić podwójną stawkę za robotę i wszyscy byli zadowoleni. Muszę w tym miejscu zaznaczyć, że przystając na tę kwotę, wcale nie dałem

163

się oszukać. Bogaci płacą drożej za wszystko; byłoby nieuczciwe, gdyby się temu sprzeciwiali. Mając to na względzie, po większość zakupów wysyłałem Matthieu. Niewątpliwie korzystał ze sposobności i doliczał sobie prowizję, ale i tak lepiej na tym wychodziłem. W rezultacie mój wspaniały dom z ogrodem i cienistym patio kosztował mnie czternaście funtów.

Kolejna sprawa tego dnia była typowa dla tutejszego sądu. Chodziło o spór pomiędzy pewnym starcem a młodym człowiekiem o worek proso. Starzec utrzymywał, że chłopak ukradł proso z jego spichlerza, tamten zaprzeczał. Starzec wdarł się do chaty chłopaka, by obejrzeć jego zapasy, i znalazł worek, który rozpoznał jako swój. Obaj zaczęli wzajemnie się obrażać. Na to tylko czekała publiczność. Radośnie włączano się do dyskusji, wykrzykując coraz głośniejsze impertynencje: "Masz spiczastą dupę", "Cipa twojej żony cuchnie starą rybą". W końcu wszyscy pękali ze śmiechu, nie wyłączając spierających się stron.

Jakiś mężczyzna twierdził podobno, że widział, jak chłopak wchodzi do spichlerza starca, ale zabrakło go akurat wśród zebranych. Sprawa została odroczone, by można było usłyszeć jego zeznania. Na następnej sesji obecny był i chłopak, i świadek, ale nie stawił się starzec. Świadek zaś niczego nie widział. Podczas kolejnej sesji zaproponowano przeprowadzenie próby. Chłopak wyjmie kamień z wrzącej wody, ręka zostanie zabandażowana. Jeśli po tygodniu będzie zdrowa, młody człowiek zostanie uniewinniony i otrzyma od oskarżyciela rekompensatę. Starzec nie zgodził się na próbę. Chłopak zażądał odszkodowania za zniszczone drzwi swojej chaty. Starzec przeczył, by miał je zniszczyć - chłopak sam to zrobił, żeby mu dokuczyć. Powołano świadków i sprawę ponownie odroczone. Podczas kolejnej sesji pojawili się świadkowie, lecz nie było skłóconych stron. Sprawa umarła śmiercią naturalną. Strony zdawały się nie żywić do siebie urazy. Dowayowie uważali sprawy sądowe za popularną rozrywkę i nie wahali się zgłaszać najbanalniejszych problemów. Jeszcze raz uczestniczyłem w rozprawie jako strona - jeden z mieszkańców wioski wniósł oskarżenie przeciwko mnie. Prace antropologów pełne są opisów, jak to badaczowi nie udaje się "zyskać akceptacji", póki sam nie chwyci za motykę i nie zacznie kopać we własnym ogródku. Wówczas dopiero, niejako automatycznie, otwierają się przed nim wszystkie drzwi, a miejscowi zaczynają zaliczać go do "swoich". Z Dowayami jest inaczej. Zawsze okazywali przerażenie, ilekroć usiłowałem wykonać najlżejszą pracę fizyczną. Chciałem przynieść sobie wody, a już jakieś starsze panie nalegały, że przydźwigają mi wypełniony po brzegi pojemnik. Kiedy próbowałem urządzić sobie ogródek, Zuuldibo doznał wstrząsu. Dlaczego chcę robić takie rzeczy? On sam nigdy nie tknął motyki; znajdzie człowieka, który to za mnie zrobi. Zyskałem więc ogrodnika. Człowiek ów miał ogród w pobliżu rzeki, mógł zatem uprawiać warzywa także w porze suchej. Odmówił ustalenia zapłaty z góry. Miałem zdecydować później, czy robota została dobrze wykonana, i określić wysokość wynagrodzenia. Dowayowie często posługiwali się tą techniką, by skłonić "patrona" do hojności. Dałem mu przysłane przez przyjaciół nasiona pomidorów, ogórków, cebuli i sałaty. Miał posiać wszystkiego po trochu i zobaczyć, co wszędzie.

Zapomniałem zupełnie o tej sprawie, a tu nagle z końcem stycznia dostałem wiadomość, że mój ogród jest gotowy i powinienem pójść go zobaczyć. Panował okropny upał, nawet jak na tę porę roku - powietrze drgało od gorąca. Ziemia była tak spalona słońcem, że miała barwę ciemnobrazową i głębokie pęknięcia. Ale jakieś trzy kilometry w głąb buszu znajdowała się enklawa jasnej zieleni. W miarę zbliżania się do owego miejsca spostrzegliśmy, że są to tarasy zbudowane na brzegu rzeki. Z pewnością kosztowały wykonawcę wiele trudu. Podczas pory deszczowej znikną bez śladu i w następnym roku trzeba będzie zacząć całe przedsięwzięcie od początku. Pojawił się ogrodnik i jał podlewać uprawy z wielkim wydatkiem energii, często ocierając czoło, by przypadkiem nie uszła mojej uwagi ilość włożonej przez niego pracy, i to przy takiej pogodzie. Wyjaśnił mi, jak zbierał czarną ziemię i kozie bobki i transportował je na swoją działkę, z jakim oddaniem podlewał kiełkujące rośliny trzy razy dziennie i chronił je przed zwierzętami. Wprawdzie marchew została zjedzona przez szarańczę, a cebula padła ofiarą bydła wędrownych Fulanów, ale udało mu się uchronić sałatę. Oto i ona: trzy tysiące główek sałaty. Wszystkie zasiane tego samego dnia i mające dojrzeć za

164 165

~. ~: ` niecały tydzień, wszystkie - stwierdził, wykonując obszerny ~' - gest - moje! Muszę przyznać, że byłem zaskoczony nagłym .

x przeistoczeniem się w sałatowego króla północnego Kamerunu. Nie miałem pojęcia, co począć z takim zalewem zieleniny. Tym bardziej, że nie miałem choćby kropli octu winnego.

a ~ W ciągu następnych kilku tygodni zjadłem zdecydowanie więcej sałaty, niż powinienem. Zaopatrzyłem w nią misję; '~ ucztowali wszyscy urzędnicy w Poli;

obdarowywani przez mnie Dowayowie głupieli i skarmiali sałatą kozy, uważając ją za produkt niejadalny dla ludzi. Usiłowałem namówić ogrodnika, by sprzedał ją w mieście, lecz efekt był mizerny. W końcu poróżniliśmy się o kwotę, którą miałem mu zapłacić. Popie- '~ waż w moim pierwotnym zamyśle ogród miał być źródłem oszczędności oraz urozmaicenia diety, byłem bardziej niż niezadowolony. Zapropnowałem ogrodnikowi pięć tysięcy franków za część zbiorów, którą zjadłem. Resztę mógł zatrzymać

i spieniężyć w mieście. On upierał się przy dwudziestu tysiącach i nie chciał spuścić z ceny ani o grosz.

i, Sprawa znalazła się w sądzie, sałata rosła, poszła w nasiona i zgniła. Idąc za radą Mayo względem poprawności procedury, zaopatrzyłem naczelnika w sześć butelek piwa, by pomogły mu one w rozmyślaniach; mój przeciwnik zrobił to samo.

!~ Sprawa została rozpatrzona szczegółowo pod centralnym drzewem. Obstawałem przy swoim, że cały zbiór był mi niepotrzebny, że nigdy nie prosiłem ogrodnika, by wyhodował trzy tysiące główek sałaty, a jedynie by spróbował wysiać po odrobinie nasion z każdej torebeczki. Mój oponent upierał się, że niezależnie od wszystkiego powinien zostać nagrodzony za trud, jaki włożył w uprawy.

Powtarzaliśmy swoje do utraty tchu. W końcu wtrącił się naczelnik: mam zapłacić dziesięć tysięcy franków. Nauczony doświadczeniem, że nie należy zgadzać się na nic zbyt pochopnie, jęczałem i mamrotałem, aż wreszcie przystałem na propozycję, twierdząc, że nie chciałyby sprawiać ogrodnikowi przykrości. Ogródnik przyjął kwotę z pewnymi oporami, oznajmiając, że nie chciałby ' mi sprawiać przykrości i że zwróci mi połowę tej sumy, by dać wyraz swemu zadowoleniu ze szczodrości, jaką mu ostatecznie okazałem. Zadowolili się więc zapłatą, którą od samego początku oferowałem. Honor został uratowany, wszyscy

~I, ' 166

wyglądali na usatysfakcjonowanych, ale nie byłem pewien, czy zrozumiałem, co się właściwie stało, i nikt nie potrafił mi tego wyjaśnić.

Zaangażowanie w sprawy sądowe podsunęło mi myśl, że sprawozdania z ich przebiegu mogłyby mi posłużyć za tło historyczne. Czytałem kilka takich sprawozdań w starych kolonialnych periodykach, jeszcze będąc w Anglii, i okazały się one bardzo pouczające. Podobne materiały miałem szansę znaleźć jedynie w sous prefecture w Poli. Ciekaw byłem nowego sous prefeta, wypadało też mu się przedstawić. Powędrowałem do miasta w towarzystwie dyrektora wiejskiej szkoły. Mężczyzna ów był młodym Bamileke, członkiem dynamicznego i przedsiębiorczego plemienia z południowo-zachodniej części kraju, które czasami nazywano "Żydami Kamerunu": znajdowało się ich wszędzie tam, gdzie był przemysł, zysk i handel. Stanowili dominującą większość w wielu zawodach i tworzyli główny trzon nauczycielstwa na Północy - wysyłano ich tam w ramach pomocy państwa dla gorzej rozwiniętych regionów. Nauczyciel miał zwyczaj wpadania do mnie w środku dnia na filiżankę kawy - podczas przerwy w zajęciach szkolnych. To, co mówił, obracało się zwykle wokół jednego tematu - przerażającego prymitywizmu Północy.

- Ci ludzie są jak dzieci - wyjaśniał. - Myjesz ich, ubierasz, uczysz, co dobre, a co złe i, naturalnie, wszystko to wydaje im się bardzo trudne. Płaczą. Ale potem sami lepiej się czują. Oto co my, ludzie Południa, robimy dla Północy. Rozwodził się całymi godzinami nad koniecznością uczenia tubylców logicznego myślenia, do czego naturalnie potrzebna była znajomość francuskiego. Czasami opowiadał mi o walkach, które toczono na Południu przeciw Francuzom, i ze spokojem przywoływał na pamięć, jak to pomagał swoim krewnym w zamordowaniu białego nauczyciela - wszystko to, gdy siedzieliśmy sobie, sącąc kawę.

Nowy sous prefet był niskim, fertycznym człowieczkiem, ubranym w fulańskie suknie, i miał głębokie ozdobne szramy na policzkach. Dowayowie nazwali go buuwiilo, "Czarny Białą Człowiek". W miasteczku widać już było zmiany. Poddano remontowi budynek administracji, zasiedlono nowy pałac. Na targowisku handlarze zaczęli posługiwać się wagami, wy

167

stawiono ceny. A co najdziwniejsze, nareperowano drogę i uruchomiono regularną komunikację autobusową z innymi miastami. Sous prefet ostro zabrał się do porządków.

Czarny Biały Człowiek powitał mnie z radością i odbyliśmy długą pogawędkę o jego planach dotyczących okolicy. ; Mówił wspaniale po francusku, swego czasu sporo podróżował po Europie. Zamierzał ucywilizować Dowayów, czyli zamienić ich w Francuzów – podobnie jak on sam zamienił się w Francuza. Zasługujący na uwagę był fakt, że kiedy Fulanie przerywali nam, przychodząc z jakąś sprawą, on, jakby dalej rozmawiał ze mną, mówił do nich po francusku. Z przyjemnością zleci komuś przejrzanie sprawozdań sądowych; mogę je ; nawet ze sobą zabrać, jeśli chcę. Byłem zaskoczony. Nigdy przedtem, i nigdy potem, nie spotkałem się z taką chęcią współpracy ze strony urzędnika państwowego.

Rozstaliśmy się w jak najlepszych stosunkach. Sous prefet obiecał przyjechać i odszukać mnie w mojej wiosce, ponieważ postawił sobie za punkt honoru odwiedzić każdy zakątek tej ziemi i osobiście sprawdzić, jak się sprawy mają. Nie wziąłem tego na serio. Nie oczekiwałem, by jakikolwiek urzędnik zaryzykował oddalenie się od komfortu własnej rezydencji. Myliłem się jednak. On rzeczywiście mnie odwiedził i krążył po wiosce, zadając wiele inteligentnych pytań. Dowayowie byli przerażeni. Obecność fułańskiego urzędnika witano podobnie jak wizyty jego poprzednika. Na odjazdne wskazał wioskę z wyrazem radosnego optymizmu:

- Proszę tylko pomyśleć: za kilka lat wszystko tu będzie gotowe, by dać drogę postępowi. Już teraz posuwamy się do przodu. Kupiłem dziś na bazarze sałatę. A zatem ktoś zaczął ją uprawiać!

W odpowiedzi udało mi się bąknąć coś wymijająco. Wstyd byłoby zniszczyć tak rzadki rozkwit uczuć, taką wiarę w przyszłość.

Człowieka z Zachodu zaskakuje fakt, że wiele postaw Afrykanów to postawy, które zostały już przez Zachód odrzucone. Każdy z kolonialnych administratorów w latach czterdziestych zgodziłby się z opiniami nauczyciela Bamileke czy fułańskiego sous-profeta, choć obaj Afrykanie bez wątpienia protestowaliby przeciw takim porównaniom. Tymczasem wiara w to źle zdefiniowane pojęcie – w "postęp", przekonanie, że tubylców charakteryzuje zaciętość i ignorancja i że powinno się pchać ich w terażniejszość dla ich własnego dobra, obu ich czyniła podobnymi do tamtych gorliwych imperialistów.

Pokutują wciąż nie tylko "dobre", ale i "złe" strony imperializmu. Wyzysk ekonomiczny w imię "rozwoju" oraz karygodny rasizm i brutalność to typowe składniki rzeczywistości. Bez wątpienia są one jak najbardziej miejscowe, afrykańskie. Nie trzeba akceptować romantycznego poglądu liberałów, że wszystko, co w Afryce dobre, pochodzi z rodzimych tradycji, a wszystko, co złe, jest spuścizną imperializmu. Nawet wykształceni Afrykanie nie potrafią przyjąć do wiadomości, że można być równocześnie czarnym i rasistą, choć wciąż posiadają, rzecz by, niewolników i spluwają na podłogę, by oczyścić usta, gdy wymknie im się słowo "Dowayo". Ów podwójny standard prezentował z powodzeniem pewien student, z którym dyskutowaliśmy o masakrze białych w Zairze. Dobrze im tak, twierdził, byli rasistami. Można powiedzieć, że byli rasistami, ponieważ byli biali. A czy on wobec tego wzięłby sobie za żonę kobietę z plemienia Dowayów? Spojrzał na mnie jak na idiotę. Mężczyzna z plemienia Fulanów nie może poślubić kobiety Dowayo. Dowayowie to psy, po prostu zwierzęta. Co ma do tego rasizm?

Fulanie pragnęli odciąć się od otaczających ich ludów negroidalnych. Słyszeli o ludziach z Ameryki Południowej zwanych Bororo; łączyli tę nazwę z powszechnie stosowaną nazwą dla Fulanów-koczowników, Mbororo, i traktowali jako oczywisty dowód na to, że Fulanie są przybyszami z Ameryki Południowej, którzy skolonizowali podrzędniejsze plemiona. Teorię tę, godną Thora Heyerdahła, sprzedawało mi paru młodych ludzi. Wyjaśniała ona ich jasną skórę i długie, nie pokręcone włosy, ich proste nosy i wąskie wargi. Dokładali wszelkich starań, by mi wykazać, że odkryte części mojego ciała, brązowe od słońca, są tego samego koloru co ich, blade od zużycia.

Wydarzeniem, które w okresie pory suchej najbardziej ucieszyło Dowayów, było sprowadzenie mojej lodówki. Od dawna chciałem kupić chłodziarkę naftową i tęsknym wzrokiem popatrywałem na nie w miejskich sklepach, ceny wszakże 168 169

przekraczały moje możliwości finansowe, a perspektywa kłopotów z transportem sprawiała, że w ogóle nie było o czym mówić. Urządzenie takie stało jednak w opuszczonym domu holenderskich lingwistów, którzy pracowali nad językiem Dowayów. Pewnego dnia miałem szczęście natknąć się na nich w Ngaoundere. Zaproponowali, że mi je pożyczą. Nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu - będę miał zimną wodę i świeże mięso. Uzależnienie od żywności z puszek zostanie ' znacznie ograniczone, mogą też zmniejszyć się moje trudności finansowe. Ustawiłem chłodziarkę przed nowym domem - kończono właśnie dach. Budowniczości uznali za dobry żart, kiedy spytałem, dlaczego nie umieścili na dachu szpikulców, które chronią przed złymi mocami. Każdy wie, że biały nie może być zaatakowany przez złe moce, tak samo jak każdy wie, że biały musi mieszkać w prostokątnym domu, a nie w okrągłym. Mój dom zbudowano więc na planie kwadratu; a zamiast remediów na złe moce umieszczono na dachu butelkę po piwie.

Na oblewanie przybyli Jon i Jeannie i piliśmy zimne piwo w towarzystwie pełnego entuzjazmu Zuuldiba. Mój "zimny spichlerz" stał się źródłem powszechnego podziwu. Każdego zdumiewało - mnie także - jak ogień mojego "spichlerza" czyni go tak zimnym. Nie mogłem oprzeć się pokusie, by pokazać im lód, z którym nikt, poza najbardziej obytymi, dotychczas się nie zetknął. Byli przerażeni. Nie doświadczwszy nigdy tak wielkiej różnicy temperatur, Dowayowie skłonni byli się upierać, że lód jest "gorący" i jeśli go dotkna, poparzą się. Nie udało mi się ich przekonać, że jest to jedynie inna postać wody. Obserwując, jak topi się w słońcu, mówili: ;,To; co stałe, odeszło. Została tylko woda, która była w środku". Nawet Stary Człowiek z Kpan, będący znawcą spraw tajemnych, poczuł się w obowiązku przyjąć i obejrzeć to cudo.

Odnowily się dzięki temu nasze kontakty i mogłem przypomnieć mu o obietnicy, że mnie zaprosi. Zaplanowaliśmy wizytę na następny tydzień. Powiedział, że przyśle syna, który wskaże nam drogę.

Ku mojemu zdziwieniu chłopiec rzeczywiście pojawił się umówionego dnia. Zuuldibo koniecznie chciał nam towarzyszyć. Kiedy dotarliśmy do groźnie wyglądających gór, wędrowni nabrała kolorów - dzięki spotkaniom z ich mieszkańcami. Z rozbawieniem stwierdziłem, że tutejsze kobiety pozdrawiają mnie jako swego "kochanka". Wyjaśniono mi, że jest to miejscowa osobliwość, będąca obiektem wielu żartów. Pokonawszy wielką gorącą równinę, upstrzoną lizawkami, gdzie dzikie bestie łeb w łeb z bydlęm szukały niezbędnych składników odżywczych, rozpoczęliśmy wspinaczkę. O tej porze roku temperatura przekraczała w południe 40°C i obaj z Matthieu wkrótce zaczęliśmy spływać potem. Miałem z sobą wodę do picia, ale on z konieczności za nią dziękował; nie mogąc zarazem napić się z jedynej napotkanego przez nas strumienia, bo - jak już wspomniałem - Dowayom z nizin nie wolno pić wody z górskich strumieni, póki nie zostaną nią poczęstowani przez tubylców. Syn Starego Człowieka okazał się jakimś krewnym Matthieu, wobec czego nie mógł zaproponować poczęstunku. Ścieżka wznosiła się nieustannie wśród rosnących tu i ówdzie drzew. Niezależnie od pory roku przechodzenie tędy niosło z sobą poważne zagrożenie dla życia. W porze deszczowej podczas wspinaczki po skale można było trzymać się roślin, ale na ziemi pokrytej trawą noga łatwo ześlizgiwała się w pustą przestrzeń, kiedy szlak stawał się na ścianie prawie niewidoczny. W porze suchej lepiej się widziało, gdzie postawić stopę, ale nie było się czego chwycić, by skorygować ewentualny błąd.

Dzieliliśmy tę ścieżkę z gadatliwymi pawianami, które zsyłały na nas kaskady sypkiego łupku. Pod nami, u stóp pionowej stumetrowej ściany, wiała się pomiędzy granitowymi głazami rwąca rzeka. Wybuchnęliśmy nerwowym śmiechem, gdy Zuuldibo wyznał, że nie chciałby spaść, bo nie umie pływać. Po kilku godzinach górskiej przeprawy wyszliśmy na płaskowyż, skąd rozciągały się fantastyczne widoki na

całą krainę Dowayów, hen, aż po Nigerię. Ledwie pomyślałem, że teraz pójdzie o wiele łatwiej, stok okazał się poprzerzynany głębokimi szczelinami. Pokonanie go oznaczało po prostu przeskakiwanie ponad otchłaniami i przywieranie do ziemi po drugiej stronie, by odzyskać równowagę.

W końcu dotarliśmy do chłodnej zielonej doliny, wspaniale nawodnionej przez strumyk, który zdawał się płynąć z samych szczytów. W głębi rozłożone było stosunkowo duże

170 ~ 171

domostwo zaklinacza deszczu. Powitało nas kilka młodych kobiet, żon Starego Człowieka, które cmokały i nadskakiwały nam, jak mogły. Czy usiadziemy w środku, czy na zewnątrz? Czy mamy ochotę coś zjeść? Czy napijemy się wody lub piwa? Będziemy pić zimne jak biali, czy ciepłe jak Dowayowie? Stary Człowiek był na odległym polu, leczył chorą kobietę - ale zaraz po niego poślą. Siedzieliśmy jakąś godzinę, gawędząc

i drżąc, aż powiedziano nam, że kiedy pasłaniec dotarł na miejsce, by oznajmić o naszym przybyciu, Stary Człowiek wyruszył już inną drogą do Poli. Byłem przekonany, że to ukartowano, Ale musiałem robić dobrą minę do złej gry. W górach ani Matthieu, ani ja nie mieliśmy szans nawet z górale w podobnym wieku, pościg był zatem wykluczony. Zuuldibo, ocknąwszy się z drzemki, obwieścił, że śniło mu się, iż jedna z jego krów jest chora, musi wobec tego wracać, by się przekonać, czy to prawda, czy też duchy przodków płatają mu figle. Wracaliśmy w dół tą samą drogą.

Taki oto był początek mojej akcji pozyskiwania zaklinaczy deszczu i namawiania ich, by zdradzili mi swoje tajemnice. Wszyscy "eksperci" - misjonarze, urzędnicy i im podobni przekonywali mnie, że ze względu na niedorzeczny upór Dowayów na pewno niczego od nich nie wydobędę. Przyznaję, sam też tak sądziłem.

Zacząłem jednak stosować politykę polegającą na składaniu im, wszystkim po kolei, wizyt i zachęcaniu do odwiedzenia mnie, gdyby przechodzili przez Kongle, oraz na bezwstydnym wykorzystywaniu jednych przeciw drugim. Udawałem przed zaklinaczem-mistrzem z Mango, że przyszedłem do niego tylko po to, by się dowiedzieć czegoś o prawdziwym mistrzu, zaklinaczu z Kpan. Kiedy następnym razem spotkałem Starego Człowieka z Kpan, przyznałem się mu, że kiedyś błędnie uważałem go za zaklinacza-mistrza, ale dowiedziałem się, że on niewiele się na tym zna. Może mi jednak powie, jak jest z tą sprawą w Mango? A ponieważ ci dwaj byli wielkimi rywalami, trafiłem w dziesiątkę. Kiedy pewnego razu Stary Człowiek przechodził przez Kongle; powiedziano mu, że wybrałem się na dwa dni do Mango. Załamał się wówczas; pozwolił mi

; . . ~ ° się odwiedzać. Już za pierwszym razem zdradził mi, że to jego ojciec był zaklinaczem-mistrzem, on sam zaś, wypytawszy

w moim imieniu wiele osób w okolicy, uzyskał kilka ogólnych informacji dotyczących niektórych technik. Starąłem się być wylewny w podziękowaniach i szczerze go nagrodzić, chociaż znów znajdowałem się w strasznych tarapatkach finansowych.

W ciągu następnych sześciu tygodni wędrowałem w góry ze sześć albo i siedem razy. Za każdym razem coś stawało na przeszkodzie spełnieniu jego obietnic, ale mówi coraz więcej. Najdrobniejszy zdradzony mi przez niego szczegół mogłem wykorzystać w rozmowie z ludźmi w mojej wsi, którzy przypuszczając, że wiem więcej, niż wiedziałem, wyjawiali mi kolejne szczegóły. Niebywała okazja stała się dla mnie nienawiść, którą zapalał do Starego Człowieka Mayo z powodu nie spłaconej należności za oblubienicę. Mayo zaczął gorliwie demaskować zaklinacza i jego postęпки, wyliczając minione przewinienia, mordowanie ludzi piorunami, niszczenie pól za pośrednictwem jeżozwierz i tak dalej. Mayo nie bał się Starego Człowieka, nawet gdyby ten spowodował suszę. Wymienił mi góry mające związek ze sprowadzaniem deszczu i objaśnił, dlaczego są ważne; powiedział, jakie rodzaje deszczu można wywołać za sprawą rozmaitych kamieni. Zanim Mayo i Stary Człowiek doszli do zgody, ja miałem już niezłe pojęcie o całości

zagadnienia. Niezwykle istotne było wszakże potwierdzenie wszystkich informacji i podjęcie próby zobaczenia na własne oczy dokonywanych przez zaklinacza czynności, gdyż skupiały one kilka obszarów symbolizmu, związanych z seksualnością i śmiercią.

Parę spraw pomogło nam bardziej zbliżyć się do siebie. Sugerowano, że mistrz-zaklinacz posiada magiczną roślinę, zepto, która leczy impotencję. Sugestiom tym nie przeszkadzała w żadnym stopniu jego własna niedomoga, na którą skarżyło się, jak niosła wieść gminna, jego trzynaście żon i co potwierdził osobistymi dociekaniem i moim przyjacielem Augustin podczas kontaktów z nieusatysfakcjonowanymi damami kraju Dowayów. Stary Człowiek z Kpan spytał mnie, czy biali ludzie nie znają przypadkiem korzeni leczących impotencję. Odrzekłem, że słyszałem o czymś takim, choć nie potrafię powiedzieć, czy ich działanie jest skuteczne. Odpowiedź ta wielce go uradowała i wyrobiła mi opinię "człowieka prostolinijnego".

172 , 173

Z londyńskiego sex-shopu sprowadziłem wyciąg z korzeni żeń-szenia w butelce z jaskrawym obrazkiem i dałem mu go, zaznaczając, że tylko to mogę zrobić. Jedynym rezultatem był rozstrój żołądka, ale Stary Człowiek nie miał mi tego za złe. Przyznał że nawet najlepsze lekarstwa wywołują czasami przykre skutki. Kiwał głową, jak przystało na mędrca:

- Nie ma sposobu, by stare pole zamienić w nowe - rzekł. Kolejną sprawą, która scementowała naszą solidarność, była nadzwyczajna wizyta w wiosce nowego sous prefeta, mająca miejsce nieco później tego samego roku. Sous prefet przybył, by ogłosić, że w ramach unowocześniania Dowayów powinno się położyć kres zabijaniu bydła na ofiary, a wykonywanie zabiegu obrzezania należy ograniczyć do okresu wakacji szkolnych. Z Poli ściągnęli flotyllą samochodów rozmaici oficjale i biurokraci i rozsiadli się pod wielkim drzewem. Jeden po drugim wygłaszali płomienne mowy, zabraniające tego lub owego. Dowayowie z powagą kiwali głowami i ukradkiem uśmiechali się do siebie. Nauczyciel, Bamileke, zawczasu przygotował się do wizyty, najwyraźniej przez kogoś o niej uprzedzony. Wykorzystał okazję, by oskarżyć ludzi z wioski o lenistwo i barbarzyńskie postępowanie. Od lat obiecywali mu budowę nowej szkoły, lecz podjęcie prac stale odraczano. Ilekroć wracał do wioski po wakacjach, brakowało części mebli, a nawet budynku. Poruszyłem się niespokojnie na to stwierdzenie, wiedząc, że niektóre elementy mojego nowego domu stanowiły uprzednio zapadający się dach pomieszczenia klasowego. Stary Człowiek z Kpan, siedzący w kucki z dala od innych, zaczął słać mi wymowne spojrzenia i pokazywać głową w stronę gór. Kończyła się właśnie pora sucha, ale choć zbierały się chmury, nie spadła jeszcze ani jedna kropla deszczu. Jednakże w górach, ze dwanaście - piętnaście kilometrów dalej, już padało. Sous-prefet rozpoczął długą mowę o znaczeniu edukacji, o tym, że tutejsi mieszkańcy także powinni doceniać jej wartość i korzystać z uprzywilejowanego statusu, jaki mają obszary słabo rozwinięte. Deszcz był coraz bliżej. Dyrektor szkoły, zachęcony odgórnie, przedstawił listę rodziców, którzy nie posyłają dzieci na lekcje. Druga lista nazwisk dotyczyła rodziców, którzy nie dają dzieciom do szkoły żadnego innego pożywienia poza tradycyjnym posiłkiem południowym, czyli piwem. W rezultacie czego dzieci są pijane przez całe popołudnie. W momencie przekazywania listy spadła na zgromadzonych potężna ulewa. Złorzeczając i przeklinając, przybysze zniknęli w samochodach i ruszyli w stronę miasta. My pomknęliśmy do chat. Mistrz-zaklinacz i dyrektor szkoły wylądowali u mnie. Wypiliśmy na rozgrzewkę kawę.

- Widzieliście? - wyrzekł Bamileke. - Co za ludzie! Mają tu zaklinaczy deszczu. Ktoś umyślnie sprowadzi burzę, by mi przeszkodzić. Tym ludziom nie da się pomóc.

Matthieu tłumaczył jego słowa na język Dowayów wprost do ucha zaklinacza. Ten zareagował zduszonym śmiechem, ja także. Odbyłem długi spór z dyrektorem, podając w wątpliwość czyjekolwiek umiejętności sprowadzania deszczu, istnienie

zaklinaczy i możliwości tajemnych sił. On bronił tego wszystkiego z jak największym przejęciem. Mistrz-zaklinacz chichotał coraz śmielej i śmielej, aż wreszcie jego twarz zrobiła się czerwona jak burak.

Kiedy dyrektor sobie poszedł, spytałem Starego Człowieka, czy to on sprowadził deszcz. Spojrzał na mnie wzrokiem spłoszonej sarny,;

- Ależ tylko Bóg potrafi sprowadzić deszcz! - wybuchnął śmiechem, najwyraźniej zadowolony ze swoich dokonań. Ale jeśli przyjdiesz do mnie za tydzień, pokażę ci, jak pomagam Bogu.

Już wtedy wiedziałem od zaklinacza większość z tego, czego w ogóle miałem się dowiedzieć o sprowadzaniu deszczu. Wszystko zależało od specjalnych kamieni, takich jak te, które podtrzymują płodność u bydła czy sprzyjają wzrostowi roślin. Minęło wiele miesięcy, zanim zobaczyłem te kamienie w tajemnej górskiej jaskini, wysoko, pod wodospadem. Za każdym razem obiecywano mi, że stanie się to przy następnej wizycie. I za każdym razem okazywało się to niemożliwe, ponieważ wciąż trwała pora sucha i zbliżenie się do kamieni mogło spowodować powódź, lub też nastąpiła właśnie pora deszczowa i mogłyby nas osiągnąć pioruny, albo któraś z kobiet miała akurat miesiączkę, co było niebezpieczne dla kamieni. Z trzynastoma kobietami w domu trudno o moment, gdy żadna nie miesiączkuje.

174 175

Tymczasem więc mistrz pokazał mi swój podręczny zestaw do wywoływania deszczu. Kiedy już rozpoczął sezon - dzięki specjalnym kamieniom z gór - mógł wywoływać lokalne opady dzięki zawartości wydrażonego rogu kozy. Zabrał mnie do buszu, gdzie przycupnęliśmy za skalą, przesadnie rozglądając się dokoła aż po horyzont. W rogu tkwił czop baraniej wełny - "na chmury", jak mi wyjaśnił. Potem wyjął żelazny pierścień, który z kolei służy do zlokalizowania deszczu. Jeśli na przykład zaklinacz brał udział w święcie czaszek, mógł spowodować, że lało na samą wioskę, póki ludzie nie przynieśli mu piwa. Następnie doszliśmy do przedmiotu o największej mocy. Była to wielka tajemnica, której nikomu nie pokazywał. Podał ciało ku przodowi i z przejęciem nachylił róg. Powoli wytoczyła się na jego dłoń dziecięca niebieska szklana kulka, jaką można wszędzie kupić. Chciałem wziąć ją w pałce. Przerażony cofnął rękę.

- Mogłaby cię zabić.

Zacząłem więc pytać. Czy to nie kulka ze świata białych ludzi? Oczywiście, że nie; należała do przodków od tysięcy lat. W jaki sposób kulka sprowadza deszcz? Pociera się ją baranym tłuszczem. Zainteresowało mnie to, bo czaszki, przed pozostawieniem w buszu, także powinny być natarte tłuszczem. Zacząłem podejrzewać, że czaszki, naczynia i kamienie tworzyły wspólną grupę. Okazało się, że rzeczywiście tak było, a mistrzowie-zaklinacze stanowili punkt łączący jeden obszar z drugim. Czaszki mistrzów sprowadzają deszcz i podczas świąt są często zastępowane naczyniami na wodę, góra zaś, gdzie przechowuje się deszczowe kamienie, nazywa się "koroną chłopięcej głowy". Innymi słowy góry traktowane są tak, jakby były "czaszkami ziemi". Po raz kolejny pojedynczy model, skonstruowany wokół kamieni i czaszek, został wykorzystany do ukształtowania wielu obszarów i powiązania opadów deszczu z płodnością człowieka.

Podziękowałem Staremu Człowiekowi i wynagrodziłem go, po czym zamyśleni i cisi zeszedliśmy z Matthieu z gór. Po powrocie do wioski stwierdziłem, że moja znakomita chłodziarka przestała działać, marnując zapas mięsa na kilka tygodni. Od tego czasu nigdy już nie pracowała prawidłowo, jakby wiedziała, kiedy mnie nie ma, czyli kiedy nie mogę nad nią czuwać. Z chwilą gdy się odwracałem, wyłączała się samoistnie i gotowała zawartość godzinami, aż do zaawansowanego rozkładu. Kilkakrotnie zastawałem Dowayów przed "zimnym spichlerzem" dosłownie lejących łyż nad zmarnowanym jedzeniem, nie potrafiących uruchomić urządzenia i zarazem deklarujących, że nie mogą tknąć żywności, która nie do nich przecież należy. Wkrótce zdegradowałem chłodziarkę do roli pospolitej szafki.

- Afryka Zachodnia znowu zwycięża - triumfował Herbert Brown.

Będąc w górach u mistrza-zaklinacza, obmyśliłem pewien plan. A ponieważ Jon i Jeannie zaoferowali mi podwiezienie po zakupy do Ngaoundere następnego dnia, mogłem go natychmiast zrealizować. Pozbyłem się zepsutego mięsa, zmieniłem koszulę i wyruszyłem w drogę do misji. Posłużwszy się subtelną kombinacją wyłudzenia i przekupstwa, zdobyłem od dzieci Waltera jedną niebieską szklaną kulkę i triumfalnie zabrałem ją ze sobą. Trzy dni później byłem znów w wiosce mistrza.

- Pamiętasz kamień, który mi pokazałeś? - Tak.

- Spytałem cię, czy ten kamień pochodzi z kraju białego człowieka.

- Tak.

- Czy jest taki jak ten?

Wręczyłem mu kulkę, a on z zapartym tchem oglądał ją pod światło.

- Taki sam. Chmury są w nim ciemniejsze. - Czy ten kamień sprowadzi deszcz?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Skąd mam wiedzieć? Musiałbym go wypróbować. Sprawdzić, czy działa.

Potrząsnął głową, wyraźnie zaskoczony, że oczekuję od niego stwierdzeń nie potwierdzonych doświadczeniem.

Nie wcześniej niż ostatniego tygodnia mojego pobytu w krainie Dowayów pozwolono mi wstąpić na magiczną górę. Kiedy zostało mi już niewiele czasu, uznałem, że muszę podjąć ostateczną - wszystko albo nic - próbę odsłonięcia tajemnicy.

Obwieściłem, że odwiedzę zaklinacza pewnego konkretnego

Niewinny antropolog 17%

dnia, by się z nim pożegnać - zadowolony, że odbędę ową ryzykowną wyprawę po raz ostatni. Kiedy dotarliśmy do wsi, panowała tam kompletna cisza. Kobietom kazano się oddalić. Rozmawialiśmy krótką chwilę. Czy proso będzie już posiane'. przez moje żony, kiedy wrócę do swojej wsi? Czy mój ojciec ma dużo bydła? Czy pora deszczowa już się zaczęła? Przyszła moja kolej. Matthieu szczegółowo przygotował mnie do :< wygłoszenia krótkiej mowy, w której podziękowania przeplatały się z gorzkimi wyrzutami. Byłem wdzięczny, że zaklinacz ze mną rozmawiał, lecz moje serce się smuciło, że wrócę do kraju białego człowieka, nie zobaczywszy deszczowych-i kamieni. Musiało to być powiedziane w bardziej kwiecistym stylu, by zostało przez Dowayów dobrze przyjęte.

- To tak jak z małym chłopcem, wyruszającym w drogę ze , swoim ojcem - improwizowałem. - Ojciec rzekł do chłopca: "Nie zmęczysz się. Kiedy dotrzemy do gór, wezmę cię na ba-`~ rana". Ale gdy dotarli do gór, ojciec nie dotrzymał słowa. "Nie bądź smutny - mówił ojciec - wezmę cię na barana w połowie drogi". Ale gdy uszli połowę drogi, ojciec nie dotrzymał słowa...

Stary Człowiek zrozumiał, o co mi chodzi, i nagroził oklaskami moje małe przedstawienie. Wiedział, że będzie mi przy-, kro, i postanowił mi zaufać, licząc, że nie wygadam głupio '` przed kobietami tego, czego się dowiem.

Pójdziemy do kamieni. Matthieu zaczął przewracać oczami i błagać, żebym . nie szedł, bo zginę. Przypomniałem mu, że białego człowieka

pioruny się nie imają. Stary Człowiek polecił mi zdjąć ubranie i sam zrobił to samo. Żuł jakieś ziele. Rozpoznałem aromatyczny zapach geelyo, kiedy opluł mnie całego owym ziele

i wtarł mi je w piersi. Musiałem osłonić penis tykwą, ale czyniąc ustępstwo na rzecz mojej "miękkiej skóry", pozwolił mi zostać w butach. Ostrzegł, że nie wolno mi mówić, wykonywać gwałtownych ruchów i niczego dotykać. Wyruszyliśmy. i Stok był bardzo stromy, ślizgaliśmy się na kruchej skale. Stary Człowiek chichotał, najwyraźniej świetnie się bawił: Ja byłem nieco mniej zrelaksowany, pilnując aparatu i cierpiąc od cierni, którymi zbocze było upstrzone. W końcu dotarliśmy do -' miejsca tuż pod szczytem, na wysokość dwóch tysięcy metrów. '' Było okropnie zimno. Z góry spadała ściana wody, poniżej

178

Lodowatej mgły kropielek widniała dziura w skale. We wnętrzu stały wielkie, nieforemne gliniane naczynia, podobne do naczyń na wodę, a w środku znajdowały

się różnobarwne kamienie męskich i żeńskich deszczy. Stary Człowiek opryskał je tymi samymi remediami, którymi uprzednio opluł mnie, i wyciągnął kamienie, żebym mógł im się przyjrzeć. I jeszcze coś. Przeszliśmy przez wodę ku ogromnej białej skale. Stanowiła ostateczną broń Dowayów. Gdyby zaklinacz ową skałę usunął, cały świat zostałby zatopiony, wszystko musiałoby zginąć.

Wracaliśmy z zawrotną prędkością, radzi względnie ciepłej dolinie, po czym umyliśmy się i ubrali. Stary Człowiek zasiadł z powrotem w swojej chacie. To wszystko, co miał do pokazania. Opowiedział o rozmaitych rodzajach deszczu, wyjaśnił, jak wywołać tęczę, pocierając czerwoną ochrą sierp, i jak odgadnąć miejsce opadów. Czy byłem zadowolony? Byłem bardzo zadowolony i nagrodziłem go za odkrycie przede mną tych tajemnic. Nigdy jednak właściwie nie widziałem, jak sprowadza deszcz. Czy mogłoby to zrobić teraz?

Uśmiechnął się pobłaźliwie. Czy nie zauważyłem, jak opryskiwał kamienie? Będzie padało między miejscem, w którym się znajdujemy, a Poli. A w ogóle, powinniśmy już wracać, zejść z gór, zanim się ściemni. On, rzecz wiadoma, ciemności się nie boi - pił do plotek o tym, że potrafi przemienić się w nocnego leoparda.

Burza złapała nas na najgorszym odcinku drogi, akurat gdy skakaliśmy niczym kozice ponad przepastnymi szczelinami. Wilgotny granit staje się bardzo śliski. W pewnym momencie zmuszony byłem pełzać na czterech łapach. Stary Człowiek chichotał i wskazywał na niebo. Widzę teraz? Przekrzykiwaliśmy burzę, by się słyszeć.

- Wystarczy - wołałem. - Możesz to już zatrzymać. Spojrzał na mnie z radosną iskrą w oku.

- Mężczyzna nie żeni się z kobietą, by się rozwieść tego samego dnia - odparł. Matthieu i mistrz byli uradowani z powodu burzy. Ja naturalnie nigdy nie uwierzyłem w coś tak sprzecznego z duchem mojej kultury bez dowodów większej wagi. Ja - podobnie jak oni - widzę to, co chcę zobaczyć. Antropolog pracujący w terenie rzadko ma kłopoty z "fałszywymi" wierzeniami

179

otaczających go ludzi. Antropolog takie wierzenia grupuje, potem` sprawdza, czy wzajemnie do siebie pasują i, dzień po dniu; uczy się z nimi żyć.

Mariyo zachwycała się naszą oplakaną kondycją, gdy wróciliśmy do Kongle.

Powszechnie wiadoma impotencja mistrza oraz liczba jego żon skłoniła ją do wysnucia pewnych wniosków na temat mojej gotowości do wspinania się pod górę zwłaszcza że Stary Człowiek podczas moich wizyt tak często był nieobecny.

Zaczęła nawet nazywać mnie na wzór góralek swoim "kochankiem". Alternatywnym sposobem na rozładowanie moich niższych instynktów miała być, wedle wymysłu Mariyo, tłusta Fulanka z kółkiem w nosie, którą trzymałem w Garowa. Owa kobieta miała naturalnie stosowne wymiary była tak tęga, że trzeba ją było wozić ciężarówką, nie mogłem chodzić bez pomocy służących, a w porze suchej ja i moi krewni mogliśmy odpoczywać w jej cieniu.

Zemściłem się, wypytując o starca z plemienia Koma, którego obdarzała względami.

Każde plemię ma jakieś inne plemię, które lekceważy. W przypadku Dowayów tę konieczną rolę pełnili Koma, żyjący jakieś pięćdziesiąt kilometrów z rzeką.

Dowayowie przypisywali im podlejszą formę języka; mieli ich za dzikusów, bytujących w niesamowitej nędzy, za ludzi przerażająco prymitywnych. Ich brzydota była wśród Dowayów stałym tematem żartów.

Ilekcję dawałem Mariyo jakiś prezent, udawałem, że zostawił go dla niej ów leciwy Koma, z którym potrafiłem się świetnie dogadać, chociaż wypadły mu już ze starości wszystkie zęby, i który dał mi do zrozumienia, że upominek jest zapłatą za usługi seksualne. Opisywałem w szczegółach ubranie z materiału grzebalnego, które mu sprawiła. Ponieważ był tak bliski śmierci, nie trzeba będzie owijać jego ciała, pochowa się go od razu w tym ubraniu. Kiedyś złapałem patyczaka i trzymałem go dla niej, niby to sądząc, iż to jej zasuszony Koma przyszedł ją odwiedzić. Każde jej zmęczenie przypisywałem wysiłkom kochanka, kiedy to rzekomo chodziła po wodę - oboje wiedzieliśmy, że to zwykły wykręt, że chodzi da buszu

na randki. Żarciki tego rodzaju przeciwdziałały nudzie wiejskiego życia i stanowiły główny czynnik w zyskiwaniu "akceptacji", jaką obdarzali mnie Dowayowie.

Dowayowie, sami będąc bardzo aktywni seksualnie, dziwili się mojej powściągliwości i mężczyźni często mnie o to nagabywali. Jak ja to robię? Jak to jest, że nie choruję? W Afryce obowiązują dwa podstawowe modele relacji seksualnych. Wedle pierwszego, kobiety osłabiają mężczyznę i okradając go z istoty jego męskości, są dla niego niebezpieczne. Wedle drugiego, seksualność mężczyzny karmi się kobietami - im więcej mężczyzna współżyje, tym staje się silniejszy.

Ku mojemu zdziwieniu - wobec dążeń do męskiej "odrębności" w praktykach obrzezania - Dowayowie optowali za modelem numer dwa. Moją umiejętność życia bez kobiety uważali za wysoce zagadkową i porównywali ją do zwyczajów katolickich duchownych, którzy żyli powściągliwie, acz w towarzystwie mniszek. Księża słusznie nalegali, by nie nazywać mniszek "siostrami", co w języku Dowayów oznaczało każdą kobietę w podobnym wieku, lecz "matkami", z którymi stosunki seksualne nie były dozwolone. Szybko powstały plotki o moich niezmiernie erotycznych wyprawach do miasta, które czyniły wiarygodnymi żarty Mariyo. Ponieważ jednym z głównych celów tych wypraw było poszukiwanie części zamiennych do rozmaitych urządzeń, które padały ofiarą nieubłaganej afrykańskiej entropii, zwrot "Jadę po części" natychmiast zdobył lubieżny wydźwięk w związku ze mną i Jonem. Niestety moje podróże w niczym nie przypominały owych orgii z powszechnych wyobrażeń Dowayów. Kontakty seksualne w Afryce są tak nieromantyczne i zwierzęce; że bardziej przyczyniają się do pogłębienia alienacji badacza niż do jej złagodzenia i najchętniej się ich unika. Wiem jednak z moich rozmów z kolegami, że nie zawsze tak się dzieje. Sytuacja badacza, jeśli o seks chodzi, uległa gruntownej rewizji wraz ze zmianami seksualnego morale na Zachodzie. Podczas gdy w czasach kolonialnych stosunki z przedstawicielami innych ras nie były dozwolone - podobnie jak z przedstawicielami innych klas czy religii - w dzisiejszych czasach linie podziału nie są tak klarowne. Zadziwiające, jak wiele kobiet mogło poruszać się samotnie wśród "dzikusów" i nie były w żaden sposób nagabywane. Działo się tak zwłaszcza dlatego, że także w odczuciu tubylców kobiety te nie figurowały na ich mapie seksualnej. Dzisiaj wszystko się zmieniło i samotna

180 ~ 181

kobieta wręcz powinna wchodzić w relacje seksualne w swoim "'' otoczeniu, w ramach nowego pojmowania "bycia akceptowaną". Każda samotna kobieta, która powraca z terenu bez tego rodzaju doświadczeń, wywołuje zdziwienie, a nawet pełne wyrzutu komentarze ze strony kolegów. Zanedbana bowiem

' została okazja do przeprowadzenia obserwacji naukowej. Mężczyznom naturalnie nadarzają się okazje, i to często nie tak okropne, jak te oparte na zasadach komercyjnych. Wszystko to - podobnie jak asystent - nieobecne jest w literaturze antropologicznej, lecz nie w doświadczeniu antropologa. Badacz może dojść do wniosku, że lepiej unikać tematu wobec sporych komplikacji, jakie może on wywołać w życiu domowym i osobistym, problem jednakże musi zaistnieć w przypadku wszystkich przebywających samotnie przez dłuższy czas w obcej kulturze. W moim przypadku fakt, że męska część Dowayów postrzegała mnie jako istotę nieobecną seksualnie na terenie wioski, był prawdziwym błogosławieństwem. Miałem dzięki temu rozmaite swobody, na które nie pozwolono by żadnemu mężczyźnie Dowayów. Przebywanie z kobietą sam na sam w chacie jest jawnym dowodem na cudzołóstwo, ale pomyśl, że ja mógłbym cudzołożyć z panią Dowayów był, szczerze mówiąc, śmieszny - i cieszyło mnie niezmiernie, że tak sądzono.

Problem mojej akuratannej natury oraz mojego statusu niepokoił także policję.

Sprawa wypłynęła z końcem pory suchej. Ale najpierw miało miejsce wydarzenie z helikopterem. Szwajcarska organizacja misyjna, zasobna w fundusze, uznała w swej mądrości, że pogańscy górale dadzą się łatwiej nawrócić pastorowi przybywającemu

do ich odosobnionych siedlisk prosto z nieba, czyli helikopterem. Efekty musiały być rzecz jasna oplakane. Pewnego dnia, kiedy byłem w misji, maszyna opadła z wysokich przestworzy i krążyła nisko, warcząc potężnie - wyraźnie przyzywając kogoś na miejscowe lądowisko. Ponieważ byłem w pobliżu jedyną osobą, która potrafiła prowadzić, pożyczyłem samochód i pojechałem. Helikopter mieścił w sobie dwóch ogłupiających duchownych z Ngaoundere, poszukujących Herberta Browna, który tymczasem wyruszył do Ngaoundere szosą. Postanowili namierzyć jego samochód ',

,= z powietrza. Unieśli się w tumanach kurzu i odfrunęli dokładnie w tym momencie, gdy pojawiła się ciężarówka pełna uzbrojonych po zęby żandarmów, zamierzających aresztować "przemysłowców z Nigerii", którzy właśnie wylądowali. Zostałem wywleczony z samochodu. Pozwolenie na lądowanie, plan lotu, licencja pilota? Zapewnienia o mojej kompletnej niewiedzy nie robiły żadnego wrażenia. Nie potrafiłem dokładnie określić, kto był na pokładzie i co robił, nie potrafiłem też podać rejestracji helikoptera. Brak gotowości do złożenia przysięgi, że maszyna ta nigdy nie zbliżyła się do granicy na odległość mniejszą niż piętnaście kilometrów, został przyjęty za bezsporny dowód na działalność przemysłową. Minęło trochę czasu, nim się uwolniłem, odnawiając swój status nieszkodliwego idioty.

Ledwie sprawa ucichła, popadłem w nowe kłopoty. Pewnego wieczora wyruszyłem do miejscowego szpitala odwiedzić człowieka z mojej wsi, którego ukąsił wąż. Ponieważ zepsuła mi się latarka, zagubiłem się w labiryncie ścieżek okalających miasteczko i byłem szczęśliwy, gdy po półgodzinnym krążeniu po omacku w kompletnych ciemnościach ujrzałem światło. Udałem się w jego kierunku i ze zdziwieniem stwierdziłem, że znalazłem się na tyłach domu asystenta sous prefeta. Zatrzymałem się i wyjaśniwszy napotkanemu u bramy młodzieńcowi, co zaszło, ruszyłem ku głównej ulicy.

W dwa dni później, gdy pracowałem z garncarzami, pojawili się w Kongle Jon i Jeannie, od których się dowiedziałem, że wypytywali o mnie żandarmi. Wyglądający bardzo oficjalnie dokument wzywał mnie na policję dla sprawdzenia tożsamości. Upewniłem się, że wypalanie naczyń nie rozpocznie się przed następnym dniem, i ruszyłem z Jonem i Jeannie do miasteczka. Komendant ze szpilką w zębach wziął mnie do swojego gabinetu, gdzie przez pół godziny mozoliliśmy nad ustaleniem, kim właściwie jestem i co robię w Poli. Towarzyszyło temu mnóstwo krótkich a wymownych łypnięć spode łba oraz pełnych wyrazu badawczych spojrzeń. Zacząłem się niepokoić.

Wyglądało na to, że oskarżono mnie o fotografowanie tylnej ściany domu, w którym mieszkał asystent sous-prefeta. Była to "informacja strategiczna". Znaleźli się świadkowie, którzy widzieli, że trzymałem w ręce aparat fotograficzny

182 ~ 183

w chwili, gdy nakryto mnie skradającego się pod domem. Jak często bywam w Nigerii? Moje zaprzeczenia zostały pominięte - byli świadkowie. Czy wiem, że przekraczanie granicy jest przestępstwem? Widziano mnie. Ciągnął tę rolę przez pewien czas, aż w końcu pozwolił mi odejść z samym ostrzeżeniem, że będę obserwowany. Obsesja krajów Trzeciego Świata tycząca szpiegowania stanowi dla badaczy nieustanne zagrożenie, częściowo tylko usprawiedliwione faktycznymi przypadkami penetracji drażliwych stref, finansowanej przez zainteresowane kręgi. Prawdziwy problem tkwi ~'~' niemożności wytłumaczenia komuś, kto nie miał pojęcia o czystej formie badań naukowych, dlaczego obcy rząd miałby się interesować jakimś odosobnionym plemieniem górskich degeneratów. Dla szefa policji jedynym rozsądnym wyjaśnieniem była bliskość nigeryjskiej granicy. Byłem więc albo przemysłowcem, albo szpiegiem przygotowującym szlak na wypadek inwazji. Jakie znaczenie dla sprawy miałyby fotografie tylnej ściany domu asystenta sous prefeta, nie wiem do dziś.

Dopiero dużo później, kiedy lepiej go poznałem sous prefet powiedział mi, że trzymał rękę na pulsie i obroniłby mnie przed swymi nadgorliwymi żandarmami;

całą sprawę traktował jak niezły żart. Moja reakcja należała niestety do tych z gatunku dręczącego niepokoju, pogłębianej Jeszcze faktem, że policjanci zaczęli znienacka wpadać do wsi i sprawdzać, gdzie jestem. Wydarzenie to powiązało się takie - Przez przypadek lub rozmyślnie - z zagubieniem paczki filmów, które nadałem na poczcie w Poli. Jon, jak zwykle był mi wierną podporą w kłopotach - zabrał mnie do misji i wlewał we mnie piwo, póki nie poczułem się lepiej.

PIERWSZE I Ostatnie OWOCE

Już od roku byłem poza Anglią i choć nie mogę powiedzieć, że czułem się w kraju Dowayów jak w domu, osiągnąłem rodzaj stanu przejściowego, kiedy to większość spraw wydawała mi się zwodniczo naturalna. Przyszła pora, by uporządkować notatki i zabrać się do dziedzin, które odłożyłem na czas większej sprawności językowej, licząc na to, że osobiste kontakty ułatwią dociekania. Taką szczególnie ważną sferą były obrzędy dotyczące urodzajów. Skupiały się one częściowo wokół Starego Człowieka z Kpan, a częściowo wokół jego krewnych, których poznałem w odległej części kraju Dowayów przy okazji pierwszego święta czaszek, w jakim uczestniczyłem. Podczas obrzędów magiczne kamienie zapewniające urodzaj traktowano różnymi remediami. W Kpan łączono to z wywoływaniem deszczu i uważano, że remedia "naprawiają ziemię", padając na nią wraz z deszczem. W innym zakątku Dowayowie układali kamienie w linii prostej w poprzek obu krańców doliny jako "barierę dla głodu". Rozpocząłem tedy serię krótkich wypraw na tamte obszary, by rozmawiać ze znawcami tajemnic urodzaju, Panami Ziemi.

I znów, ponieważ mój samochód nadal był niesprawny, korzystałem ze wspaniałomyślności Jona i Jeannie. Dzięki nim mogłem często odwiedzać odległe tereny, nie przemierzając na piechotę więcej niż piętnaście kilometrów i nie tracąc kontaktu ze Starym Człowiekiem z Kpan, Ku mojemu zdziwieniu miejscowi chętnie pokazywali mi przybory, których używano podczas ceremonii, pod jednym wszakże warunkiem - że n~'

~;~"189 a

.,~~,~.

powiem niczego kobietom. Teraz, kiedy wszyscy wiedzieli, że współpracuję ze Starym Człowiekiem, darzono mnie dużym zaufaniem, zwłaszcza wobec krążących pogłosek, że jestem skłonny pokryć wszelkie koszty. Przez kilka tygodni kursowałem pomiędzy jaskinią, górami i domem czaszek, wracając co jakiś czas do Kpan, by wydobyć kolejne informacje od Starego Człowieka. W tym samym czasie inny zaklinacz hm deszczu, z Mango, przysłał wiadomość, że on także rozpoczyna porę deszczową, a więc mam przerwać swoje zajęcia i pośpieszyć w jego góry. Tutaj górale zastosowali wobec nas znaną sztuczkę: kazali nam krążyć po okolicy przez cały dzień, sądząc, że się zmęczymy i odejdziemy. Strategia ta okazywała się pożyteczna od czasu, gdy w Poli założono pierwszy rządowy posterunek. Matthieu i ja, uodpornieni na metody Dowayów, opłaciliśmy jednego z miejscowych, by został naszym ' przewodnikiem, i za nic nie chcieliśmy się zgodzić, by nas opuścił, nim dotrzemy do zaklinacza deszczu. Zaręczaliśmy, i że będziemy spać przed jego chatą i chodzić za nim przez cały następny dzień, jeśli zajdzie potrzeba. Zaklinacz został więc wkrótce odnaleziony, całkiem niedaleko, i przywitał nas z wielkim zadowoleniem. Należało więc przypuszczać, że technika "wodzenia po górach" była jedynie stałym punktem programu wobec wszystkich obcych. O dziwo, zaklinacz ów słyszał o moich kłopotach z szefem policji, co wzbudziło jego sympatię do mnie; tak się złożyło, że on także miał z nim na pieńku. Zaklinacz był bystrym, wesołym młodym człowiekiem, który bez problemu rozpocząłby sezon deszczowy, zabijając czarną kozę i mażąc jej krwią naczyń

deszczowe schowane w domu czaszek. Jednak jego doradca, starzec o wyglądzie pirata podający się za jego wuja, nie pozwolił na to. Skąd pewność, że nie miałem kontaktu z miesiączkującą kobietą? Co z Dowayami, którzy nie spodziewają się deszczu jeszcze przez kilka następnych tygodni? Kiedy jednak uznał za nierozsądne dopuszczenie nie obrzezanego mężczyzny do naczyń deszczowych, zdałem sobie sprawę, że zależy mu na stwarzaniu trudności. Obcy nie muszą być obrzezani, by uczestniczyć w rytuałach Dowayów; toleruje się nawet obce kobiety. Zaczęliśmy rozmawiać o pieniędzach. Poświęciłem całą godzinę. h P na kręcenie głową i robienie przerażonej miny, kiedy on wymieniał kwoty. W końcu ustaliliśmy cenę. Za największy sekret kraju Dowayów zapłaciłem - i nie czułem się oszukany około ośmiu funtów, zyskując też prawo do połowy kozy. Sprawę załatwiono szybko i wcale nie w atmosferze grozy, towarzyszącej wydarzeniom w Kpan. Uśmiercenie zwierzęcia było niewiele bardziej dramatyczne niż zwykły ubój. Kozę przewrócono na bok i duszono ją, naciskając stopą gardło. Gdy straciła przytomność, gardło rozplątano, a krew zebrano do tykwy.

Ruszyliśmy do buszu, do stojącego u stóp wzgórza domu czaszek, gdzie znajdowały się naczynia - takie same, jakie później widziałem w Kpan. W okolicy nie wolno było przebywać obcym, musieliśmy więc czołgać się na brzuchach wśród ostów, by dotrzeć do zarośniętej mrocznej polany, gdzie stał dom czaszek. Po pobieżnym opryskaniu wszystkiego wokół wróciliśmy do wioski, gdzie rozpoczęła się kilkugodzinna rozmowa.

Tam właśnie zdobyłem najistotniejsze dane do interpretacji symbolizmu w kulturze Dowayów. Poprzednie informacje o zaklinaczach kojarzyły płodność człowieka z opadami deszczu. Żniwa u "prawdziwego rolnika" powiązały urodzajność roślin z obrzezaniem poprzez "bicie na śmierć starej Fulanki". Tu dowiedziałem się o współzależnościach między deszczem, obrzezaniem i urodzajami. Okazało się, że dzień, kiedy kamienie wycierane są do czysta na rozpoczęcie pory suchej, był dniem, kiedy góra, "korona chłopięcej głowy", została po raz pierwszy spalona (to znaczy "wysuszona"), oraz dniem, kiedy wnoszono do wioski pierwsze plody zebrane w danym roku i kiedy chłopcy wracali do wioski po obrzezaniu: Oni także, jak później ustaliłem, przechodzili zmianę z "mokrego" w "suche". Dowayowie gardzą bowiem napletkiem jako tym, co czyni chłopca mokrym i brzydko pachnącym niczym zwyczajna kobieta, obrzezany penis jest natomiast czysty i suchy. Kiedy chłopcy opuszczają wioskę, udając się na obrzeza- ; nie, są "wilgotni" i muszą klęczeć w rzece przez trzy dni. Kiedy zostaną obrzezani, zaczyna padać. Grupkami opuszczają obozowisko nad rzeką i ruszają w stronę gór. Do wioski mogą ~:'~ wrócić tylko podczas pory suchej. Ustawia się ich przy sanktuarium, gdzie leżą bydlęce czaszki. Tego samego dnia rozrzuca

189

f.

się w tym miejscu pierwsze zbiory z pól. Innymi słowy rozmaite sfery płodności należą do jednego systemu, a zmiana pory wilgotnej w suchą łączy się ze zmianą z wilgotnego nie v obrzezanego chłopca w suchego obrzezanego mężczyznę. Trzeba było wielu miesięcy badań i wnikliwych analiz, już po powrocie do domu, zanim udało mi się opracować szczegóły systemu, ale same podstawy - wydarzenia, których byłem świadkiem i które tak skrupulatnie spisywałem, pracując w terenie - zespoliły się i "nabrały sensu" w jednej chwili. Moment olśnienia, gdy wołamy: "Eureka!", jest zawsze wspianiały. A to, że chwila ta przyszła do mnie zupełnie nieoczekiwanie, wysoko w górach, że człowiek, który udzielał mi informacji, ; nie miał pojęcia, jak są dla mnie ważne, zwielokrotniło jeszcze przyjemność wychwytywania całej prostoty owej struktury, która kryła się pod rytuałami.

Matthieu musiała dziwić moja bez troska, gdy schodziliśmy w dół. W uniesieniu piłem zimną wodę płynącą wprost z gór, nie dbając o chlorowanie i gotowanie. Nigdy się nie dowiem, czy zostałem ukarany za nadmiar entuzjazmu, czy też wirus utajony w mojej wątrobie czekał okazji. Jakkolwiek było, znów zapadłem na żółtaczkę.

Przeżywałem stan najsilniejszego kryzysu, gdy zaszczycili mnie wizytą Augustin i jego aktualna przyjaciółka. Naradzali się nade mną ponuro; wiedzieli, co mi dolega.

- Najlepiej byłoby wymiotować - stwierdził Augustin zdecydowanie. - Musisz jak najwięcej wymiotować.

Jego towarzyszka inaczej zapatrywała się na tę sprawę:

- Musi wziąć na przeczyszczenie. Tylko przeczyszczenie może usunąć chorobę. W mojej wiosce wielu ludzi umiera z jej powodu.

- Przeczyszczenie nie jest dobre. Musi wymiotować.

- Wcale nie. Trzeba brać na przeczyszczenie, aż będzie widać krew.

Podawano argumenty za i przeciw. Podziękowałem im i zanotowałem nazwy rozmaitych substancji na przeczyszczenie i na wymioty, by ich zadowolić.

Jakaś dobra dusza z misji w Ngaoundere zdradziła mi sekret leczenia żółtaczki - wywar z liści gujawy. To mi mogło pomóc bardziej niż cokolwiek innego. Później dowiedziałem się, że pewien niemiecki koncern farmaceutyczny testował lekarstwo otrzymane z tegoż wywaru. Wyprawiłem więc Matthieu po liście gujawy, które niełatwo było znaleźć tak daleko na północy. Matthieu twierdził jednak, że zna miejsce w lasku nad rzeką, z osiem kilometrów od wioski, gdzie rośnie poszukiwane przez nas drzewo. Mogłem co najwyżej mieć pobożne życzenie, że rozmawiamy o tym samym gatunku drzewa, i wręcz byłem zdziwiony, gdy powrócił po kilku godzinach z torbą pełną czegoś, co w istocie okazało się liśćmi gujawy. Stan mojego zdrowia powoli się poprawiał. Dowayowie byli pod takim wrażeniem, że zaczęli stosować ten sam środek. A zatem każdy antropolog zmienia nieco ludzi, którymi się zajmuje. Inny wiadomy mi skutek mojej działalności dotyczył nazewnictwa geograficznego. Miejsce, gdzie mój ogród stał się dowodem na stosowność klimatu do uprawy sałaty, jeszcze wiele lat później zwane było Sałatowym Polem.

Spadły tymczasem pierwsze tegoroczne deszcze. Nieznośne upały późnego okresu pory suchej ustąpiły wraz z pierwszymi ulewami ku ogólnemu zadowoleniu. Ja osobiście byłem nastawiony nieco mniej entuzjastycznie, albowiem przez dach mojej nowej chaty ciekło całą noc jak przez sito. Musiałem przycupnąć w kącie, trzęsąc się z zimna, chowając się przed deszczem pod walizką wspartą o występ w ścianie i ściskając kurczowo w ręce notatki. Następnego ranka strzecharz poinformował mnie sucho, że mój dach dzieli los wszystkich nowych dachów i że za kilka dni przestanie przeciekać samoistnie. Nie twierdzę, że mu uwierzyłem. Po prostu brakowało mi koniecznego doświadczenia, by podważyć jego stanowisko. Ale to, co powiedział, brzmiało równie niebezpiecznie jak zapewnienia właścicieli dziurawych łodzi, że drewno wkrótce namoknie i nie będzie przepuszczało wody, albo przysięgi kameruńskiego dentysty, że moje zęby skurczą się i dopasują do chwiejącej mi się w ustach protezy. Po tygodniu nieustannego zalewania uznałem, że nadszedł czas odwołać się do gwarancji - rozpoczęto naprawę. Ku mojemu zdziwieniu polegała ona na uderzaniu dachu kawałkiem drewna; zdziwiłem się jeszcze bardziej, stwierdziwszy, że pomogło.

W owym czasie, będąc w stanie nerwowego niepokoju, właściwego człowiekowi kończącemu badania w terenie, wyniosłem

189

notatki do misji, aby uchronić je przed wilgocią, termitami a mi, kozami, małymi chłopcami i innymi zagrożeniami, które wyczarowywała moja wyobraźnia.

Byłem akurat w misji sam, Jon i Jeannie wyjechali w swoich sprawach, kiedy wezwały mnie do drzwi głośne krzyki: ` Stał za nimi spawacz, potężny gość bawiący się przednio imieniem, które sam sobie nadał: Czarny Tryk.

- Słuchaj no, Biały Człowieku - krzyczał - twój samochód' o mało mnie nie zabił. Okazało się, że spawał część samochodu, o którego istnieniu usilnie starałem się zapomnieć, i część owa wymsknęła się i spadła wprost na niego. Najwyraźniej sądził, że wydarzyło się to za sprawą mojej do niego niechęci.

- Czy nic się nie stało? - wypytywałem. - Nie stało? Popatrz tylko'

Wyciągnął ze spodni ogromny penis i machał mi nim Oskarżycielsko przed nosem. Zasadność owego obnażenia omal nie uszła mej uwagi. Dopiero przy bardziej wnikliwych oględzinach ukazała się moim oczom niewielka ranka, w związku z którą żądał "natychmiastowej pierwszej pomocy". Przyznaję, byłem w kłopotcie. Nie bardzo wiedziałem, skąd wziąć lekarstwo. Pobieżne poszukiwania zakończyły się znalezieniem skoncentrowanej bielinki. Uznawszy, że nie byłoby to najlepsze rozwiązanie, zachęciłem poszkodowanego, by skorzystał z porady Herberta Browna, który, o ile mi wiadomo, ma odpowiednie leki. Czarny Tryk szurnął spod moich drzwi rozwścieczony.

Nie zdążyłem nawet Wrócić do porządkowania notatek, kiedy uświadomiłem sobie, że Herberta Browna nie ma w misji, bo pojechał reperować ciężarówkę, jest natomiast w domu jego żona, cokolwiek nerwowa kobieta. Wyobraziłem sobie Czarnego Tryka dopadającego drzwi i pokazującego jej, co się stało. Może powinienem biec za nim i interweniować? W końcu jednak uznałem, że lepsza rozwaga niż odwaga. Ponieważ nie było słyhać przenikliwych krzyków, pomyślałem, że Czarny Tryk zachował w tajemnicy lokalizację rany.

Wykurowawszy się na tyle, by podjąć trud następnej wyprawy, odbyłem z Matthieu ostatni wypad na zachodnie krańce kraju Dowayów, by obejrzeć żniwa palm borassa. Drzewa

te dawały okrągłe, podobne do kokosów orzechy, które traktowano jak ludzkie czaszki i umieszczano na bydlęcym sanktuarium, żeby skorpiony nie zaatakowały wioski. Nigdy przedtem nie widziałem tych owoców i bardzo chciałem ich posmakować .

Kiedy dotarliśmy do wioski, zastaliśmy Pana Ziemi siedzącego wśród tychże owoców i z ukontentowaniem chrupiącego ich miąższ. Można je jeść na dwa sposoby: zanurzyć w wodzie, by zakiełkowały, i jeść młode pędy, które smakują podobnie jak seler, albo spożywać je takimi, jakie są. Miąższ o pomarańczowej barwie jest włóknisty, zapachem przypomina brzoskwinie, w dotyku - wycieraczkę spod drzwi. Żując go dzielnie przez pewien czas, nabrałem w tym pewnej sprawności i nawet zaczęło mi się podobać. Uprzejma starsza kobieta, zauważywszy widocznie, że owoc sprawia mi jednak pewien kłopot, przyniosła kalebasę miąższu pozbawionego włókien. Ten był o wiele delikatniejszy. Zwróciłem na to uwagę Matthieu.

- Naturalnie - odparł - ona już go dla ciebie przeżuła. Teraz, kiedy czas mojego pobytu w kraju Dowayów dobiegał końca, zaczęły składać mi wizyty rozmaite osoby, które rozglądały się po mojej posesji, nadmieniając, jak bardzo przydałby im się koc, albo zachwycaly się urodą mojego rondla. Naczelnik powiedział, że będzie mu mnie brakowało, że będzie wspominał to, co razem przeżyliśmy, i że były to przyjemne chwile, choć czasami przysparzały mu sporo kłopotu. Matthieu zaczął opowiadać mi w roztargnieniu o problemach, jakich mu nastręcza zakup żony.

- Trzeba taką kupić, kiedy jest młoda - wyjaśniał - i wychować wedle własnego uznania.

Jego wybranka miała dwanaście lat.

- Ale kiedy są młode, żądają pieniędzy na szkołę. Westchnął. Czy zna kogoś, kto mógłby mu dać tyle pieniędzy, żeby żona mogła chodzić do szkoły? Jedna Mariyo zdawała się nie myśleć o mnie jak o źródle finansowych korzyści. Kiedy rozmawialiśmy o moim wyjeździe, chlipała i mówiła, że będzie tęskniła do naszych rozmów.

Miasteczko krzątało się przed nadchodzącym świętem narodowym. Przygotowywano rozmaite atrakcje i Dowayowie

mieli wystawić tancerzy, by pokazali taniec wykonywany pod czas obrzezania. Bardzo mnie to zainteresowało, gdyż nie byłem świadkiem ceremonii obrzezania. Lata w kraju Dowayów w dziela się na męskie i żeńskie. Obrzezanie może mieć miejsc wyłącznie w roku męskim. Ja przyjechałem w roku żeńskim. Poza tym nawet w męskich latach nie starczało prosa, by wyżywić chłopców podczas ich długiego pobytu w buszu: Ceremonii nie odprawiano już od pięciu lat i sytuacja zaczynała zakrawać na skandal. Musiałem więc polegać na opisach informatorów, którzy sami przeszli obrzezanie, na sprawozdaniach z ich .

organizowania, a także czerpać z materiałów fotograficznych# jakie znajdowały się w archiwach i u misjonarzy mieszkających wśród Dowayów wiele lat. Brak tego najważniejszego elementu symbolizmu Dowayów w moich osobistych doświadczeniach nie był zbyt dokuczliwy, ponieważ większość innych obrzędów "przytaczała" fragmenty ceremonii obrzezania, odtwarzając dokładnie to, co się podczas niej działo.

Niemniej bardzo byłem rad, że na własne oczy ujrzę taniec nie obrzezanych chłopców. Ubiera się ich w tkaniny grzebał- skóry leopardów, rogi zwierząt, ciężkie szaty i materiały dekoracyjne. Tego niewygodnego i wręcz upokarzającego zadania musieli podjąć się dwaj obrzezani już chłopcy, ponieważ nie starczyło czasu na przyuczenie młodszych. Obaj byli, oburzeni pomysłem i za nic nie chcieli mieć z nim nic wspólnego. Zuuldibo obiecywał im piwo i pieniądze; aż wreszcie, z oporami, zgodzili się. Następnego dnia Zuuldibo pojawił się w mojej chacie, prosząc, bym zwrócił mu poniesione koszty, bo całą uroczystość zorganizowano przecież dla mnie.

Tymczasem jego gorliwe pobbłażanie własnemu lenistwu zostało zagrożone dekretem sous prefeta, który nakazywał wszystkim mieszkańcom uprawianie ogródków.

Zuuldibo oświadczył;

że uprawianie ogródka nie ma sensu, dopóki ogródek nie zostanie otoczony solidnym płotem z kaktusów, który powstrzyma wałęsające się zwierzęta.

Utrzymywał, że dopiero po roku'

można stwierdzić, czy kaktusy się ukorzeniły. Później uznał za

bezsensowną uprawę poletka, póki nie ma się w pobliżu chaty;

w której można częstować robotników piwem. Niestety, nie

była to stosowna pora na budowanie, a zatem i ta sprawa potrzebowała roku.

Zuuldibo przypuszczał, że pierwsza skiba ziemi zostanie ruszona mniej więcej za

trzy lata; każdego ranka oznajmiał ponuro, że "idzie na pole", siadał pod

drzewem, nierzadko w moim towarzystwie, i gadał, co mu ślina na język

przyniosła. Czasami czułem się jak nie opłacany psychiatra, kiedy przechodził z tematu swoich snów na temat znajomych kobiet i ciężarów swego urzędu.

W dniu święta narodowego wybitni mieszkańcy stawili się na boisku futbolowym.

Skorzystałem ze sposobności, by podokuczać Staremu Człowiekowi z Kpan, który

pojawił się w fulańskim stroju z mieczem. Inne plemiona także przysłały

tancerzy, którzy tupali i powrzaskiwali w duszącym pyłe. Wszyscy wielcy

urzędnicy nałożyli najlepsze ubrania; sous-prefet wyglądał podejrzenie niczym

steward Air France. Podnoszono i ściągano flagi, żandarmi stąpali ciężko,

uzbrojeni po zęby, służby porządkowe korzystały z okazji, by bić ludzi.

Odśpiewano hymn państwowy. Z powagą ustawiono na krzesła radio i salutowano

podczas przemówienia prezydenta, które wydobywało się z odbiornika przy

akompaniamencie silnych zakłóceń. Dzieci naśladowały maszerujących żandarmów i

bawiły się. Póki był obecny sous prefet, nikt nie mógł opuścić miejsca i wszyscy

więdliśmy w oczach na skwarze. Sporo dzieciaków, którym towarzyszyły mamusie,

zaczęło wrzeszczeć, zmuszając rodzicielki do wcześniejszego odejścia. Mówiono,

że kobiety umyślnie dzieciom dokuczały. Wśród garstki białych toczyła się

rozmowa na temat zamordowania i okaleczenia dwóch misjonarzy na Północy. Amerykanie byli zdenerwowani, Francuzi z przesadną dokładnością pokazywali, co zrobiono z ciałami, radośnie rozbudzając swój niepokój. Mnie, jako jedyemu Anglikowi, przypadło w udziale zachowanie niewzruszonego spokoju; niezależnie od tego, że w starych filmach taki bohater nieuchronnie ginie już w połowie drugiej szpuli.

Całe piwo i wszystkie napoje bezalkoholowe zostały zarekwirowane przez sous prefeta, powlokłem się więc do misji, by z Jonem i Jeannie czekać na wieczorne rozrywki, a wśród nich - na konkurs piękności.

Tego szczególnego wieczora Poli nastawiło się na przesadę. Oczekiwano, że ludzie na ulicach w sposób nie pozbawiony hysterii dadzą wyraz swemu zadowoleniu z niepodległości

193 192

Istniało pewne subtelne rozgraniczenie pomiędzy zaproszonymi i nie zaproszonymi na przyjęcie do sous profeta policja uwydatniła je, pobierając opłaty od widzów i bijąc się, od czasu do czasu.

i Na głównej ulicy masa ludzka śpiewała, tańczyła i wykrzykiwała serdeczności.

Wielu, jeśli nie większość, było kompletnie zalanych. Może to była ta okazja, na którą powinienem mieć garnitur; jeśli tak, to rozpuściłbym się z gorąca.

Ponieważ przyjęcie miało charakter oficjalny, wszystko odbywało się zgodnie z protokołem. Twarde i bardzo niewygodne krzesła ustawiono zwartymi szeregami.

Musiał istnieć jakiś tajemny system ich rozmieszczenia, zgodny ze sztywnymi regułami hierarchii, nie potrafiłem go wszak zrozumieć. Wśród gości był doktor ze swoją wielką żoną. Byli urzędnicy. Naczelnik policji przyglądał mi się

wymownie. Poczmistrz lodowato mnie ignorował - niewątpliwie wskutek moich dociekań, dla~; czego wszystkie przesyłki z Poli dochodzą do Anglii bez

znaczków. Pojawiła się też spora liczba krewnych człowieka sprawdzającego przy wejściu zaproszenia.

Konkurs piękności został zorganizowany w bardzo prosty sposób. Wysłano oficjalne listy do wszystkich naczelników, by~' określonego dnia przysłali do miasteczka

określoną liczbę" młodych kobiet. Ciarki mnie przechodzą na samą myśl, co się r

działo w związku z tym na wzgórzach. W dawniejszych czasach Fulanie mieli zwyczaj werbowania spośród mieszkańców tychże okolic niewolników i konkubin;

obawiano się więc' prawdopodobnie powrotu tamtego systemu. Niezależnie od interpretacji polecenia wszystkie kobiety wyglądały na zgnębione. Niewątpliwie

wiele z nich odbyło daleką drogę i były najzwyczajniej brudne po podróży. Fulanie uważali oczywiście za uwłaczające pokazywanie swoich kobiet w takim

stanie, ale z radością przyglądali się kobietom z innych plemion. Panie miały chodzić, czy raczej - w większości przypadków - sunąć ociężale obok widzów

stojących szerokim kołem. Wyglądały jak zalękniony towar na rynku niewolników; oczyma pełnymi łez patrzyły w ziemię albo spoglądały nienawistnie

v i syczały na dręczycieli. Widzowie stanęli na wysokości zadania w sposób godny podziwu - prześmiewcze pogwizdywania'; mieszały się z entuzjastycznymi ofertami

rozmaitego rodzaju

związków z wyjątkiem małżeństwa. Wywiązała się niezbyt elegancka dyskusja pomiędzy zaproszonymi a napierającą na nich ciżbą. Niektórzy wspięli się na

drzewa, by lepiej widzieć, lecz służby porządkowe zajęły się sprawą i trzęsły pniami, póki tamci nie pospadali ku ucieście tłumu. Po krótkiej naradzie

ogłoszono Miss Poli, Wice miss Poli oraz Miss Pocieszenia. Wydelegowano młodego asystenta sous profeta, by wręczył nagrody, uścisnął skromnie laureatki i

zatańczył ze zwyciężczynią. Zwyciężczyni musiała pochodzić z odległych wzgórz, bo była bardzo przerażona. Cofnęła się ze strachem, kiedy asystent chciał ją

niewinnie przygarnąć. Namawiana do tańca, zacisnęła pięści i z płaczem odmówiła. Pełne zażenowania uśmiechy ustąpiły miejsca szeptanym pogrożkom. Wtedy tupnęła

nogą odzianą w nowe niebieskie plastikowe buty. Dopadli jej dwaj żandarmi i ja

wyrzucili. Tłum wrzeszczał. Trafnie nazwana Miss Pocieszenia wzięła na siebie obowiązki pierwszej. Zaczęło się przyjęcie.

Muzykę stanowiła mieszanka najnowszych przebojów zachodnich i niesłychanie rozbudowanych kawałków produkcji nigeryjskiej. Miałem wyjątkowego pecha, że zobligowano mnie do odtańczenia jednego z owych kawałków z żoną doktora - utwór trwał chyba ze dwadzieścia minut. Krążyliśmy po parkiecie bez mała samotnie, gdyż inni albo nie wytrzymywali upału, albo osłupiali przyglądali się naszym wdzięcznym ruchom. Żona doktora była ogromną kobietą i po jakichś dziesięciu minutach zaczęła przejawiać wyczerpanie, wpadając na krzesła i potykając się o własne nogi. Żadne z nas nie chciało wszakże obrazić drugiego, rezygnując z tańca, ślanialiśmy się więc do końca, oczekując potem i dysząc ciężko, póki jakaś dobra dusza nie wręczyła nam dwóch piw. Nie jest łatwo pić z butelki, gdy się tańczy; ale wywiązaliśmy się z zadania pierwszorzędnie, za co tłum nagroził nas owacją.

Uznałem swój wkład w obchody święta za wystarczający i siadłem spokojnie w kącie, namawiany do picia przez doktora, który powinien był wiedzieć, co jest dla mnie dobre. Uroczystości trwały - suto podlewane trunkami przy obfitości jadła w rodzaju przypalonych jelit bydłych. Około północy dostałem się w towarzystwo dwóch młodych nauczycieli z buszu, Patrice'a i Huberta. Osobliwością Patrice'a było to, że

194 - 195

dokądkolwiek się udawał, brał ze sobą składane krzesło. Zdaje się, że spędził rok wśród plemienia Voko całkowicie po

~, " zbawiony mebli. Warunki te wprawiły go w stan takiego przygnębienia, że wybrał się z przyjacielem do Garoua, nabył składane krzesło i poprzysiągł, że nigdy się z nim nie rozstanie:

Tańczył nawet z owym krzesłem, dopóki nie upomniał go kuzyn żandarma, który zapewnił mu wstęp. Tymczasem piwo zaczęło się kończyć i wiele osób przerzuciło się na czerwone wino. Wiedziałem z doświadczenia, że nie jest to najlepszy pomysł, i byłem nawet rad, że trochę zwolnię tempo. Inni jednakże żądali alkoholu. Pozostało, jak się zdaje, jedyne źródło: melina na odległym krańcu miasteczka, prowadzona przez prawowiernego muzułmanina. Wysłano tam wesołego pielęgniarza, który był już kompletnie pijany, na jego motorynce: Przeniesiono go i posadzono na siodełko, bo trudno mu było'

v chodzić o własnych siłach. Ruszył w ciemność. Nie mogłem r sobie wyobrazić, jak on zatrzyma skuter, nie mówiąc już o przywiezieniu piwa. A jednak zaledwie po pięciu minutach jego maszyna zajechała z warkotem na posesję. Przeniesiony raz jeszcze - tym razem ze skutera na miejsce - z powrotem przy

`;: stąpił do picia, w roli bohatera. Patrice, krzesło i ja oddaliliśmy się, by posłuchać Dowayów śpiewających na zewnątrz wesołą piosenkę o cudzołóstwie.

Patrice łaskawie użyczył mi krzesła. Radosne pienia zakłócił niebawem strażnik więzienny; który postanowił nagrać je na magnetofon. Byłem skonsternowany sposobem, w jaki go potraktowano, gdy zaniedbał uiszczenia niewielkiej opłaty za nagrywanie. Mężczyźni zaatakowali z pasją - nie przerywając śpiewania - kobiety deptały magnetofon, mali chłopcy gryźli strażnika w łydki i próbowali wepchnąć mu patyki do uszu. Patrice zaniepokoił się o swoje krzesło. Ja rozmyślałem, ileż to razy moje zachowanie przypominało zachowanie strażnika. Postanowiłem następnego

v ~~~ dnia porozmawiać z Zuuldibem i dowiedzieć się, co chroniło 5 mnie przed podobnym zachowaniem Dowayów. W Afryce Zachodniej nie jest rozsądnie być świadkiem przestępstwa.

Metody policji polegają w dużej mierze na gromadzeniu świadków, przyjaciół poszkodowanego, i biciu ich, póki któryś nie ł; weźmie winy na siebie. Jest to zadziwiająco skuteczny sposób. Patrice, krzesło i ja odeszliśmy na stronę.

Wróciliśmy na przyjęcie opanowane już w całości przez tańczących ze sobą policjantów. Po jednym nieśmiałym kawałku z sierżantem doszedłem do wniosku, że

pora kończyć, i koło piątej nad ranem powlokłem się do misji, gdzie Jon powitał mnie zduszonym chichotem, nie chcąc dać wiary, że tej nocy nie przydarzyło mi się nic gorszego.

Mając już prawie na ukończeniu poważne badania, postanowiłem zająć się rzeczami bardziej przyziemnymi. Powiedziano mi, że opuszczenie Kamerunu stanowi wysiłek znacznie przekraczający przybycie na lotnisko z ważnym biletem. Wyglądało na to, że powinienem mieć pozwolenie na wyjazd. Póki go nie miałem, byłem więźniem tego kraju. Uznałem to za oburzające. Co dokładnie należało zrobić, wyjaśniono mi w misji. I raz jeszcze odniosłem wrażenie, że to idiotyczne, by jakakolwiek procedura urzędowa, tak uciążliwa i bezsensowna, mogła być traktowana poważnie. Przekonałem się, że było inaczej.

Pierwsze strzały tej bitwy padły w Ngaoundere. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności prosiłem o wizę wyjazdową w momencie, w którym kończyła się moja wiza pobytowa. Nikt w biurze rządowym nie mógł zrozumieć, dlaczego chcę jednej i drugiej wizy naraz: albo zostaję, albo wyjeżdżam. Wiedziałem z doświadczenia, że dać się przyłapać bez ważnej wizy podczas którejś z licznych kontroli, przerywających nieustannie każdą podróż, to żaden interes, tylko strata czasu i pieniędzy. Kazali mi przyjść za trzy dni.

Następny etap stanowiło biuro podatkowe. Tu też powstał problem. Nie było jasne, czy powinienem udać się do stosownego urzędu w Ngaoundere, czy gdzie indziej. Moje pozwolenie na badania zostało wydane w stolicy, Jaunde. Obszar, gdzie pracowałem, znajdowali się na Północy, a zatem administrowany był przez urzędy w Garoua, ale moja ostatnia wiza pobytowa pochodziła z Ngaoundere. Tam więc powinni rozpatrzyć moją sprawę. Dano mi do wypełnienia formularz podatkowy, zawierający pytanie: "Liczba dzieci. Czy któreś z nich jeszcze żyje?" - smutne odzwierciedlenie wskaźnika śmiertelności potomstwa. Spędziłem kilka dni, krążąc po urzędzie w poszukiwaniu inspektora. W końcu zostałem dopuszczony. Zgodził się zająć moją sprawą. Fakt, że przez cały rok

196 ~ 197

płaciłem brytyjski podatek dochodowy, okazał się kolejną kłoda rzuconą mi pod nogi. Zapytał, czy istnieje porozumienie podatkowe pomiędzy Kamerunem a Wielką Brytanią. Przyznałem, że nie wiem. Zamknął teczkę z dokumentami ruchem stanowczym. Wobec tego powinienem dostarczyć pismo z mojej ambasady, wyjaśniające przepisy podatkowe. Powątpiewałem, czy uda mi się nakłonić ambasadę do złożenia w tej °- a

sprawie jakiegokolwiek oświadczenia, a co więcej, nie uśmiechało mi się jechać do Jaunde, zaczęliśmy więc się spierać: Ale on był twardy.

Wąleśałem się przez kilka następnych dni, czekając z nadzieją na wizę pobytową.

Po tychże paru dniach powiedziano mi, że zepsuło się radio. To znaczy: jest zepsute od miesiąca: Nie ma mowy o wydaniu wiz bez porozumienia się ze stolicą:

Następny miesiąc spędziłem między Garoua, Ngaoundere i Jaunde, nadwerężając znacznie moje finanse i zdrowie. Po miesiącu wiedziałem na pewno, że nie ma sposobu na legalne wydostanie się z tego kraju, w przypadku gdy ktoś, tak jak ja, przynależy do trzech okręgów administracyjnych. Przedyskutowałem sprawę z moimi francuskimi przyjaciółmi z Jaunde. Obywatele francuscy mieli o wiele mniej kłopotów - mogli podróżować wedle życzenia bez mała ze zwykłym

'~' dowodem tożsamości. Skontaktowali mnie ze specjalistą od dokumentów z francuskiego urzędu skarbowego, który ze smutkiem wysłuchał opowieści o moich rozlicznych bolączkach. Nie ma sprawy, powiedział z uśmiechem, i radził skorzystać z prostego wybiegu, z którego korzystają oni wszyscy. Powiem po prostu, że przez cacy czas mieszkałem w stolicy. Muszę podać jakiś adres, na przykład adres moich

"~ przyjaciół. Ponieważ jestem biały, musiałem mieć służących. .. ~' Skoro miałem służących, muszę mieć dokument potwierdzający, że płaciłem im wynagrodzenie, przynajmniej w wysokości minimum rządowego, i składki na ubezpieczenie społeczne. Taki dokument pożyczę od przyjaciół. Ponieważ

mieszkaliśmy razem, wszystkie papiery, dla ułatwienia, wystawiane były na jedno nazwisko - oto dlaczego moje nazwisko nie figuruje na rachunkach. Do powyższego sposobu uciekały się regularnie rozmaite organizacje, by ominąć tutejszą horrendalną biurokrację. Jedyne niebezpieczeństwo tkwiło w tym, że

198

urzędnicy mogli odwiedzić moje domostwo. Ryzyko było niewielkie, należało jedynie przekupić służących, by mówili, co trzeba.

Plan został uruchomiony. Ze spokojem przez kilka następnych tygodni jeździłem w tę i w tę, żeby zebrać dziewięć koniecznych, odpowiednio ostemplowanych dokumentów. Wymagało to wielu zabiegów przypominających te, które musiałem ścierpieć zaraz po przyjeździe, ale nie dziwiły mnie już one tak bardzo ani nie drażniły.

Pożyczone dokumenty spełniały swoją rolę znakomicie. Inspektor Bezpieczeństwa Publicznego rzeczywiście postanowił złożyć mi wizytę, ale szybko zarzucił pomysł, dowiedziawszy się, że nie mam samochodu; by go do siebie zawieźć. Była to pora deszczowa, nie chciało mu się więc nigdzie chodzić. Dostałem stempel i dalej robiłem swoje.

Na koniec trafiłem do komendantury policji, gdzie wydawano wizy. Jak zwykle rozpocząłem dzień od wędrówki z pokoju do pokoju, jakby w całym urzędzie nikt nigdy nie słyszał o wydawaniu wiz, Wystartowałem o dziewiątej rano. Już o trzeciej po południu dotarłem do biura szefa policji. Tylko on mógł postanowić, jak należy postąpić, ponieważ nie miałem ani wizy na pobyt, ani wizy na wyjazd. Słuchał mojej opowieści ze znużoną wyższością.

- Dajcie mu wizę! - rzucił podwładnemu.

Nikt nie prosił o dokumenty, które w takich bólach, za takie pieniądze i z udziałem tuzinów ludzi zbierałem przez siedem tygodni. Opuściłem jego gabinet, zataczając się z oszołomienia i niedowierzania. Tak musiał czuć się Mojżesz, gdy Bóg wręczył mu kamienne tablice.

Rozpocząłem stopniowe wycofywanie się z Poli, raz jeszcze korzystając z pomocy misji, by przewieźć cały ekwipunek do Ngaoundere, gdzie wieści o moich laokoonowych zmaganiach z biurokracją nabrały tymczasem charakteru obiegowego dowcipu.

Po przyjęciu u sous-profeta postanowiłem, w dużej mierze pod presją Matthieu, wydać własne przyjęcie pożegnalne w wiosce. Udało się nam zdobyć na ten cel, rozmaitymi sposobami, czterdzieści butelek piwa, a Mariyo zgodziła się uwarzyć pewną ilość piwa z prosa. Powstał w związku z tym

199

problemem w prawdziwie Dowayowym stylu. Pieniądze za prości' poszły do człowieka, którego brat uważał, że Zuuldibo jest' mu winien krowę. Mężczyzna wziął pieniądze, ale jego bratu` : winni byli proso rodzice jego żony, którzy mieli je wziąć od:

v~ wuja kobiety, która... i tak dalej. W rezultacie proso przyniesiono i piwo zaczęto warzyć w ostatniej chwili. Przez dwa dni ~` ` ~ w wiosce wrzało od przygotowań. Zuuldibo powyciągał maty;

do siedzenia dla gości. Słyszał było, jak Mariyo śpiewa piosenki na mielenie prosa. Dzieci biegały tam i z powrotem, pożyczając kalebasy i naczynia, przede wszystkim zaś plątały

się pod nogami. Zabierały z radością wszystko, co wyrzucałem z chaty. Pojemniki po aerozolu służyły za instrumenty muzyczne, pudełka od zapalek stawały się szkatułkami na fajne przedmioty, nalepki odklejano ostrożnie i wykorzystywano jako bibułkę do papierosów. Puste puszki miały szczególnie wzięcie - przeznaczano je na naczynia do gotowania. i

Nadmiar lekarstw musiałem wynieść do buszu i zakopać, żeby dzieci nie grzebały w nich i ich nie jadły. Mężczyźni wpadali, by popatrzeć na piwo i zamienić parę słów.

°!~, Razem wzięwszy, przyjęcie udało się nadzwyczajnie. Matthieu był niepokieszony, bo odmówiłem wygłoszenia mowy a przecież sous prefet wygłosił mowę na swoim przyjęciu ,:;,.

~! i zarazem szczęśliwy, bo powierzyłem mu zadanie rozdzielania piwa. Kazał wszystkim ustawić się w ogonku i polecił swemu asystentowi, powołanemu na tę okoliczność, by wręczył każdemu mieszkańcowi wioski jedną butelkę piwa, informując go w szczegółach, od kogo ją dostaje i dlaczego. Chyba tylko ja jeden czułem się zażenowany tą procedurą. Wkrótce cała

;·wieś była radośnie pijana. Pojawiły się instrumenty muzyczne, jakiś starzec zaczął szurać nogami, ktoś inny podjął rytm. i Chętnych do tańca było coraz więcej. Zapadła noc, nowi ludzie

wciąż nadciągali od strony pól, a zapasów w jakiś tajemniczy sposób nie ubywało. Dwie spośród żon naczelnika przycupnęły u moich nóg i zaczęły chlipać. Bębni sta przyklęknął przede mną i w migotliwym blasku ogniska wybijał rytm coraz natarczywiej. Tancerze otoczyli nas kołem, klaszcząc i przytupując. Odniosłem wrażenie, że czekają na jakiś gest z mojej strony.

Nie mogłem wygłosić mowy, nie mogłem też się ruszyć pod naporem ciżby, wykluczone więc było przyłączenie się do tańca

200

Jakimś cudem pojawił się nagle za mną Matthieu z garścią stufrankowych monet.

- Przyłóż każdemu monetę do czoła - zasyczał.

Zrobiłem, co kazał. Poddawszy się w nastrojowi, wygłaszałem błogosławieństwo: "Oby twoje czoło nie było gładkie" na znak sprzyjającej fortuny.

Chyba o to chodziło. Dowayowie, usatysfakcjonowani tradycyjnym błogosławieństwem, tańcząc ruszyli w stronę piwa. Matthieu i ja udaliśmy się do chaty, gdzie siedział Zuuldibo

z innymi tuzami, i w końcu wydukałem krótką mowę pożegnalno-dziękczynną. Później musieliśmy siedzieć i pić przez kilka godzin, chociaż rozpaczliwie pragnąłem twardej samotności mojego łóża. Spostrzegłem ze zdziwieniem, że w służbie u mnie Matthieu przemienił się z całkowitego abstynenta w niezłego pijaka, podczas gdy ja stałem się prawdziwie niepijący dzięki żółtaczce. Na zewnątrz trwała zabawa, a my w środku ucichliśmy i słuchaliśmy muzyki. Goście zaczęli wymykać się jeden po drugim. Wkrótce zostałem sam i z rozkoszą wyciągnąłem się na łóżku. Zaczęło padać. Dach znowu przeciekał.

Następnego dnia dowiedziałem się znieca, że samochód, o którym wielkim wysiłkiem woli zdołałem już zapomnieć, jest "prawie gotowy". Wstępne rozeznanie potwierdziło, że prace posunęły się naprzód. Stał na wszystkich czterech kołach, acz filuternie przechylony na jedną stronę. W rzeczy samej odstawienie go zaledwie do wioski wymagało aż trzech prób. Za pierwszym i drugim razem psuł się silnik. Za trzecim - samochód stanął w płomieniach, gdy włączyłem światła. To wszystko jednakże było niczym wobec problemu zdobycia paliwa, które ostatecznie kupiłem za sprawą Augustina od pracownika zajmującego się samochodami sous prefeta. Wolałem nie wnikać, skąd pochodziło.

Byłem gotów do odjazdu. Rozsądek nakazywał nie wyłączać raz uruchomionego silnika - wobec stanu, w jakim znajdował się rozrusznik. Pojawiła się grupka Dowayów, którzy chcieli mnie odprowadzić. Uśmiechali się zagadkowo i szurali nogami, pies Barney machał ogonem, Jon i Jeannie próbowali się nie śmiać, szacując moje szanse na dotarcie do Ngaoundere. Ostatnie pożegnanie, zgrzyt w skrzyni biegów i opuściłem

201

góry, gdzie spędziłem tyle miesięcy, wykonując tak dziwne zajęcia. Każde rozstanie pozostawia po sobie uczucie pustki i jest jak muśnięcie kosmicznej samotności. Natychmiast też zaczyna się zapominać, że badania terenowe to w dużej mierze dotkliwa nuda, tęsknota oraz intelektualne i fizyczne!

'a~ ` odosobnienie. Opada złota mgiełka, dzicy ludzie stają się bardziej szlachetni, rytuały bardziej poruszające, przeszłość przetwarza się, wiodąc

nieubłaganie ku wielkim celom teraźniejszości. I tylko dzięki dziennikowi, który prowadziłem, wiem, że czułem wówczas przede wszystkim histeryczną radość, iż zrywam z krainą Dowayów.

Ale podróż jeszcze się nie skończyła. Mój samochód miał tę nową właściwość, tę mianowicie, że zebrana na karoserii woda deszczowa przedostawała się do przewodów wentylacyjnych, a następnie rozpylana była na pasażerów. Dotarłem jednak szczęśliwie do Ngaoundere, gdzie poświęciłem dwa następne tygodnie na próbę wysłania statkiem kufra pełnego naczyń. Nie było dla mnie zaskoczeniem, że mój pomysł został potraktowany jako wyjątkowy afront dla kameruńskiej dumy narodowej i jako wydarzenie wymagające bezpośredniej interwencji siedmiu niezależnych zespołów urzędniczych. Przeszedł jednak taki dzień, kiedy pomachałem na do widzenia moim przyjaciom z misji, bez których pomocy nie zrobiłbym tego wszystkiego, co zrobiłem, kiedy Matthieu po ;3` prosił mnie o ostatnią "pożyczkę" .i kiedy wszedłem na pokład samolotu.

' Kameruńczycy rzucili na stół jeszcze jedną kartę. Musiałem spędzić noc w Duali, gdzie zjedzenie jednego posiłku wystarczyło, by dostać ataku niepowstrzymanych wymiotów

' ~- i biegunki, z czego owo miasto słynie. Na szczęście miałem do dyspozycji zarówno miskę klozetową, jak i bidet, dzięki czemu uniknąłem rozpaczliwych wyborów narzucanych przez łazienki w Anglii. Następnego ranka dosłownie niesiono mnie do samolotu.

. ,
Obcy swój

Większość powietrznych wojaży jest okropna, nieludzka i zbyt długa. Ostatni etap mojej wyprawy odbierałem tym gorzej, że musiałem siedzieć prosto i sztywno, popijając z butelki wodę Vichy jak stara ciotka, skupiając całą uwagę na swoich mdłościach, podczas gdy w samolocie pokazywano głupawo francuskie komedie w angielskim stylu, z głosem na cały regulator, rzekomo dla mojej przyjemności. W dole umykała nam Sahara.

Wtedy właśnie wpadłem na znakomity pomysł zatrzymania się w Rzymie, gdzie miałem przesiadkę. Roztaczała się przede mną błoga wizja cichego, chłodnego pokoju ze świeżą, lekko nakrochmaloną pościelą. Cień liściastego drzewa padający na łóżko... może kojący szmer fontanny.

Po wylądowaniu okazało się, że nie mogę dłużej nosić swoich bagaży i muszę zostawić je w przechowalni. Patrzyłem, jak moje drogocenne notatki i aparat fotograficzny znikają w przepastnych magazynach, nie mogąc uwierzyć ani w to, że stamtąd powrócą, ani w swoją głupotę, że się z nimi rozstałem. Ścisnąłem w ręce przybrudzoną trudami podróży garderobę. Spodnie podarowane mi fez żoną misjonarza przyciągały spojrzenia eleganckich Rzymian. Mój nieprzytomny wzrok i nędzny wygląd sprawiały, że wodzili za mną oczyma carabinieri.

Znalazłem pokój. Był gorący i głośny, lampy wydawały charakterystyczne brzęczenie, cena była nieprzyzwoicie wysoka. Wszystko wskazywało na prawidłową zależność między pragnieniami a osiągnięciami. Położyłem się spać.

203

Jedną z najmniej docenianych różnic między afrykańską

,, wioską a europejskim miastem jest upływ czasu. Dla kogoś przyzwyczajonego do regularności wiejskiego życia, gdzie myśli się porami roku, a dni nie mają nazw, mieszkańcy obszarów miejskich zdają się przemykać obok w szale próżnych.

wysiłków. Przemierzałem ulice Rzymu niczym czarownik Dowayów, którego nieziemska powolność wyróżnia jego rytualną rolę od codziennych zajęć. Menu w kafejkach oferowały tak wiele możliwości, że nie dawałem sobie z tym fantem rady. Brak wyboru w kraju Dowayów sprawił, że byłem nie` ~` zdolny do podjęcia decyzji. W Afryce marzyłem nieustannie

o wielkim żarciu; tu żyłem kanapkami z szynką.

Ponieważ ciągle mnie ostrzegano, że nieuchronnie zostanę napadnięty, okradziony i pobity na ulicy, starałem się nie mieć przy' sobie więcej pieniędzy, niż

potrzeba na kanapki. Nie powinienem był więc się dziwić, gdy po powrocie do brzęczącego pokoju hotelowego zastałem drzwi wyjęte z zawiasów. Wyniesiono wszystkie moje rzeczy: bilet lotniczy, paszport, pieniądze - nawet resztki afrykańskiej garderoby zniknęły bez śladu. Dyrekcja twardo nie ponosiła odpowiedzialności. Moja zachodnioafrykańska umiejętność wściekania się i wrzeszczenia podziwiano stosownie do jej poziomu, nie wpłynęło to jednak na zmianę sytuacji. Szybki przegląd jedynej nienaruszonej kieszeni uświadomił mi, że został mi wszystkiego jeden funt. A z jednym funtem można zrobić tylko jedno - poszedłem do kawiarni i obywając się bez kanapek z szynką, zamówiłem piwo. Zacząłem rozmyślać o swoim położeniu. Właściciel był wielki i wesoły. Wkrótce ustalił moją narodowość, zawód, stan cywilny. Pokazał mi dobrze sfatygowaną fotografię swojej licznej i bardzo kochanej dzieciarni. Zdradził mi też, że podczas wojny więziono go w Walii. Tamtejsze dziewczyny, zaręczał wstydliwie, były bardzo namiętne. Wkrótce wszystko mu opowiedziałem.

,~g~ e_

~,~,~,~ n ~; - A zatem - skwitował z osobliwym romańsko-celtyckim akcentem - nie ma pan ani pieniędzy, ani biletu, ani dowodu. - j tożsamości.

Przytaknąłem. - Wobec tego pożyczam panu dziesięć tysięcy lirów. Rzucił banknoty na ladę. Zamówiłem kanapki z szynką.

Ogłupiały, uznałem tę niesamowitą szczodrość za coś równie niedorzecznego jak katastrofa, która ją poprzedziła. Wrzuciłem bieg: badania terenowe.

Mój dobrodziej zadzwonił do ambasady brytyjskiej, choć ja wzdragałem się przed takim posunięciem, wyobrażając sobie nie kończące się rajdy po Rzymie w pogoni za osteplowanymi dokumentami, które i tak zostaną mi wyrwane przez ragazzi, zanim wsiądę do samolotu. Wszystko zostało uzgodnione. Najpierw muszę iść na policję i złożyć oświadczenie, a następnie ambasada postara się dla mnie o repatriację. Zabrzmiało, jakby mnie chcieli odesłać w łańcuchach.

Na posterunku policji zgromadziła się rzesza rozsierdzonych, zrozpaczonych i stroskanych turystów wszystkich narodowości, którzy doświadczyli, zdaje się, uprzejmości rzymskiej młodzieży. Brytyjczycy byli z jakichś powodów wyławiani z tłumu przez znudzonych i obojętnych policjantów i sadzani w jednym pomieszczeniu z Niemcami. Francuzom przydzielono, co spostrzegliśmy z wściekłością, pokój większy i chłodniejszy. Mężczyzna o silnym akcencie z Bradford obwieścił, zwracając się do zebranych:

- Żal mi Beryl. Mojej żony - wskazał skromną matronę w tweedowej sukni. - Nie mogła wyjechać z kempingu, a oni myśleli, że czeka na. okazję. Mężczyźni podjeżdżali do niej, trąbiąc klaksonami. Musiała obrzucić jednego typu śliwkami. Wszyscy bacznie przyglądaliśmy się kobiecie.

- Potem tych dwóch gówniarzy podjechało do nas na skuterach, wybili tylną szybę młotkiem i wyciągnęli nasze walizki z bagażnika, jakby nas nie było w samochodzie.

Niemcy domagali się tłumacza, sądząc, że ukrywamy przed nimi coś ważnego.

Podjąłem próbę wyjaśnienia, o co idzie, ale dałem spokój, bo była to najwyraźniej grupa z tej części Tyrolu, gdzie nie używa się samogłosek.

Nasycony kanapkami z szynką, znów poczułem się jak w terenie. Poprowadzono mnie wreszcie do pokoju głęboko w podziemiach, gdzie odbyłem rozmowę z policjantem.

- Okradziono pana na stacji kolejowej? - Nie, w hotelu.

Odchrząknął i zanotował. - Co panu zginęło? Wyliczyłem straty.

204 s~ 205

- Ile było w gotówce? - Około stu funtów. Wyszedł, powłócząc nogami.

Pojawił się inny oficer i, bez wyjaśnień, posadził na krześle naprzeciwko mnie zakutego w kajdanki, nieprawdopodobnie włochatego mężczyznę o dzikim spojrzeniu, po czym wyszedł. Mężczyzna pochylił się do przodu i wbił we mnie szalony wzrok. Obaj wiedzieliśmy, że jeśli tylko spuszcze go z oczu, skoczy mi do gardła.

Przyglądał mi się. Ja przyglądałem się jemu. Żaden z nas nic nie mówił. Minęła wieczność, nim powrócił mój policjant i nie zwracając uwagi na włochatego w kajdanach, wręczył mi moje oświadczenie do podpisania. Wykwintny włoski nie był trudny do zrozumienia. Było wyraźnie napisane, że ukradziono mi tysiąc funtów na stacji kolejowej. Uznawszy, że nie takie szwindle mam na sumieniu, radośnie podpisałem.

Byłem gotów przypuścić atak na ambasadę. Tu znów zastałem grupę ogołoconych turystów, obsługiwanych przez urzędniczkę konsulatu - surową kobietę o zaciśniętych ustach. Udzielała właśnie nagany bardzo młodej i brudnej dziewczynie w wytartych dżinsach.

- Już trzeci raz okradziono cię na stacji kolejowej. Nie możemy wciąż wydawać ci nowych paszportów. Zatelefonuję do rodziców.

Mała rozpustnica pociągnęła nosem. - To ich nie obchodzi, tak?

Urzędniczka zacięła usta z efektowną dezaprobatą. - Kto to był tym razem?

- Poznałyśmy tych chłopaków w...

Nie pochwalająca takiego zachowania dama przerwała dziewczynie, machnąwszy ręką.

- Jestem zmuszona zatelefonować do twoich rodziców. Proszę poczekać.

Wyszła, zostawiając nas wszystkich z mieszanymi uczuciami: sympatii, zażenowania i zdziwienia. Dziewczyna patrzyła na nas wyzywająco. Mężczyzna siedzący z przodu powiedział coś do niej, a ona się roześmiała. Podeszli do okna i usiedli razem, podczas gdy ja popadłem znowu w stan wyczekującego odrętwienia.

W końcu surowa urzędniczka wróciła.

- Podejź tutaj. Uzgodniłam z twoimi rodzicami, że założymy za ciebie pieniądze na powrót do Anglii, ale nie mogę pozwolić ci tu dłużej zostać. Jutro wyjedziesz.

Zdrętwieliśmy wszyscy, czując, że dziewczyna nie jest na tyle potulna, by biernie przyjąć podobne traktowanie, tymczasem ku naszemu zdumieniu uśmiechnęła się słodko.

- W porządku, najdroższa. Ten facio - wskazała na mężczyznę, z którym przed chwilą rozmawiała - zaprasza mnie na swój jacht.

Wyszli razem zdecydowanym krokiem, przy gorącym, choć bezgłośnym aplauzie nas wszystkich.

Moja sprawa należała do bardziej zwyczajnych. Załatwienie podróży trwało nie dłużej niż pełne niesmaku spojrzenie na moje spodnie i pogardliwe wydęcie ust. Powziąłem środki ostrożności, by dopasować swoją wersję wydarzeń do tej, która była w oświadczeniu.

I tak, w osiemnaście miesięcy po wyjeździe, powróciłem do Anglii, mając przy sobie parę wytartych spodni, osiem pomazanych i poplamionych zeszytów z notatkami o Afryce Zachodniej, aparat fotograficzny pełen piasku i oświadczenie w języku włoskim. Straciłem dwadzieścia kilogramów, byłem przypieczony na ciemnobrazowo, a moje gałki oczne nabrały jaskrawożółtej barwy. Stałem przed kontrolerem paszportów.

- Paszport?

- Niestety, skradziono mi paszport - wręczyłem mu oświadczenie po włosku. Zmrużył oczy.

- Ale pan jest Anglikiem? - Jaaa... hmm... Tak.

- Zechce pan złożyć w tej sprawie oświadczenie? - Naturalnie.

- W porządku. Proszę przejść.

To nie mogło być takie łatwe. Podejrzewałem zasadzkę. Spojrzałem chytrze.

- To znaczy, że nie muszę krzyczeć, straszyć pana ani dać łapówki?

- Będzie pan uprzejmy przejść.

Paradoks, który najżywiej zajmuje matematyków, to astronauta Einsteina. Po kilkumiesięcznej podróży odbywanej z

206 , ~ 207

wielką prędkością w przestrzeni kosmicznej podróżnik wraca na Ziemię, by stwierdzić, że upłynęły całe dziesięciolecia. Antropolog jest dokładnie w

odwrotnej sytuacji. Wyjeżdża, zdawać by się mogło, na niezmiernie długo do innego świata, gdzie rozważa problemy uniwersum i starzeje się znacznie. Po czym wraca i spostrzega, że minęło zaledwie kilka miesięcy. Zasadzona przez niego żołądz nie stała się jeszcze wielkim drzewem, zdażyła jedynie wypuścić delikatne pędy. Dzieci nie osiągnęły pełnoletności i tylko najbliżsi przyjaciele zauważyli, że go w ogóle nie było.

To wręcz oburzające, że świat funkcjonuje bez nas tak dobrze. Pod nieobecność badacza, który gdzieś daleko podaje w wątpliwość najoczywistsze z prawd, życie toczy się po staremu. Przyjaciele nadal kolekcjonują francuskie rondle. Akacja nadal pięknie się rozwija.

Antropolog powracający z terenu nie oczekuje powitań należnych bohaterowi, lecz obojętność niektórych wydaje się przesadna. W godzinę po moim powrocie zatelefonował jeden ze znajomych i powiedział krótko:

- Słuchaj, nie wiem, gdzie się podziewałeś, ale zostawiłeś u mnie sweter, już chyba ze dwa lata temu. Kiedy przyjdiesz go odebrać?

Daremnie czuje człowiek, że takie sprawy nie zasługują na uwagę powracającego wieszczka.

Ogarnia cię ponadto uczucie dziwnej obcości, nie dlatego, że coś się zmieniło, ale dlatego, że nie patrzysz już na pewne rzeczy jako na "naturalne" lub "normalne". "Być Anglikiem" to taka sama poza co "być Dowayem". Stwierdzasz nagle, że dyskutujesz z przyjaciółmi o sprawach, które zdają się dla nich ważne, z tą samą obojętną powagą, z jaką dyskutowałeś kwestie złych mocy z twoimi wieśniakami. Rezultatem owego braku dopasowania się jest głębokie poczucie braku bezpieczeństwa, wzmagane wielką liczbą pędzących białych ludzi, których się wszędzie spotyka.

Wszystko, co ma związek z zakupami, wydaje się niewyobrażalnie trudne. Widok pólek supermarketów, uginających się pod superobfitością produktów spożywczych, wywołuje albo obrzydzenie, które przyprawia o mdłości, albo rozpaczliwą niemożność zdecydowania się na cokolwiek. Zdarzało

mi się obejść trzykrotnie sklep dookoła i wyjść z niczym, bo nie potrafiłem dokonać wyboru, albo kupowałem ogromne ilości najbardziej luksusowych produktów i umierałem ze strachu, że ktoś mi je odbierze.

Po miesiącach izolacji uprzejma rozmowa jest czymś nadzwyczajnie obciążającym. Długie milczenie odbierane jest jako wyraz niezadowolenia, natomiast na ulicach ludzie nie najlepiej reagują na człowieka głośno mówiącego do samego siebie. Przystosowanie się do zasad wzajemnych kontaktów także przysparza wielu trudności. Kiedy pewnego dnia mleczarz zostawił mi przed domem nie zamówione mleko, zareagowałem pogonią za nim z wrzaskiem i wściekłością na zachodnioafrykańską modłę. Chyba nawet schwyciłem go za kołnierz. Nieszczęsny człowiek był całkiem zbity z tropu. Wedle norm zachodnioafrykańskich byłem jedynie stanowczy, wedle angielskich - nieokrzesany. Ujrzenie siebie samego w takim świetle może być poniżającym doświadczeniem.

Niektóre drobiazgi sprawiają człowiekowi ogromną przyjemność. Ja uzależniłem się od ciastek z kremem; przyjaciel nabawił się beznadziejnej namiętności do truskawek. Bieżąca woda i światło elektryczne to po prostu coś nadzwyczajnego. Jednocześnie prezentowałem osobliwe maniery. Kłopotalo mnie wyrzucanie pustych butelek i papierowych toreb w Afryce miały taką wartość! Najpiękniejszą chwilą dnia był poranek - po przebudzeniu rozlewała się po moim wnętrzu ciepła fala uczucia ulgi, że nie jestem już w Afryce. Notatki leżały nie tknięte na biurku; głęboka niechęć, by je choćby wziąć do ręki, trwała przez wiele miesięcy.

Jedno z najdziwniejszych doświadczeń psychicznych zostało wywołane pojawieniem się kufra z naczyniami, który wyekspediowałem, zdawać by się mogło, bardzo dawno temu. Dokładnie owinałem naczynia w tkaniny Dowayów i umieściłem w metalowym kufrze, oklejonym nalepkami informującymi w czterech językach, że zawartość łatwo się tłucze. Zuuldibo był zatrwożony takim skąpstwem. Dlaczego nie rozdaj ich wszystkim wieśniakom? Wiedzano, że jestem równie bogaty jak kobieta, która naczynia wyrabiała, więc mógłbym sobie kupić wystawny emaliowany komplet z

Nigerii. Moje żony z pewnością nie będą zachwycone, gdy wręczone im wiejskie garnki.

208 - 209

x' Poczuję się nieswojo, zobaczywszy kufer, który stał nie-: gdyś w mojej chacie, a teraz leżał w wilgotnej, zimnej szopie w Londynie. Jego wygląd uległ całkowitej zmianie. Gdy go' wysyłałem, miał kształt prostopadłościanu, teraz był prawie

- ~ okrągły. Wielkie ślady butów na wieku wskazywały na czynnik będący przyczyną tego cudu. Trzeba było podważyć wieko lewarkiem samochodowym. Zawsze to dziwne otrzymać

w. przesyłkę od samego siebie. Rzecz zakrawa na rozdwojenie ~` r jaźni, zwłaszcza kiedy osoba, która rzecz wysyła, tak gwałtownie staje się obca osobie, która ją otrzymuje. Wszyscy moi przyjaciele, bez wyjątku, podziwiali elegancką prostotę na~, , czyń. Jaka szkoda, że zniszczyły się nieco w użyciu! Dlaczego nie kupiłem sobie garnków z importu, które przecież nie kosztują drogo, a tych, które są zbyt ładne na codzienny użytek, nie oszczędziłem? Miło byłoby przedstawić moich przyjaciół Zuuldibowi i pozwolić im się w tej materii pospierać. Badacz powracający z terenu akceptuje oba poglądy, z żadnym się nie utożsamia.

Nieemożliwe, rzecz jasna, nie próbować w takich chwilach bilansowania zysków i strat. Na pewno wiele się dowiedziałem ~'` o niewiele znaczących ludziach z Afryki Zachodniej. Zakończenie badań terenowych to zwykle kwestia umowna, a nie rzeczywisty akt. Można by spędzić pięć następnych lat w kraju Dowayów, aczkolwiek z coraz mniej istotnymi rezultatami, i nie wyczerpać zakresu prac, mających na celu "zrozumienie" ludzi tak bardzo odmiennych od nas samych. Ale ogólna znajomość rzeczy nigdy nie dorównuje szczegółowej. Od tamtego czasu monografie, tworzące antropologię jako

t~, przedmiot, ukazywały mi się w zupełnie innym świetle. Potrafiłem wyczuć, które fragmenty pisano umyślnie w sposób niejasny, wymijający, sztuczny i w którym miejscu dane były

~; i nieprawdziwe lub błahe, czego nie dostrzegałem przed pobytem w terenie. A zatem prace innych antropologów rozumiałem teraz lepiej aniżeli przedtem.

Odniosłem też wrażenie, że próbując ogarnąć sposób, w jaki Dowayowie postrzegali świat, ~_~` przetestowałem trafność pewnych ogólnych modeli interpretacyjnych i modeli symbolizmu kulturowego. Generalnie rzecz biorąc, wypadły nie najgorzej, co przyjąłem z dużym zadowoleniem.

Jeśli chodzi o mnie samego, także nastąpiły duże zmiany. podobnie jak inni badacze pracujący w terenie, podupałem na zdrowiu. Moja nieokreślona wiara w ostateczne kulturalne i ekonomiczne zbawienie Trzeciego Świata otrzymała silny cios. Wspólną cechą powracających z terenu badaczy - błądzących po własnej kulturze z niezdarnością świeżo przybyłego z kosmosu astronauty - jest prosta, bezkrytyczna wdzięczność losowi za fakt przynależenia do społeczności Zachodu, za możliwość uczestniczenia w kulturze, która wydaje się nagle bardzo wartościowa i wysublimowana. Nie byłem wyjątkiem. Ale jest też w pracy terenowej coś, co podstępnie naraża człowieka na popadanie w nawyki. Kac etnograficzny nie jest skuteczniejszym sposobem obrzydzenia nałogu niż jakikolwiek inny rodzaj kaca. W parę tygodni po powrocie zatelefonowałem do przyjaciela, za którego sprawą wyjechałem w teren. - Wróciłeś!

- Tak.

- Nudno było? - Tak.

- Bardzo chorowałeś? - Tak.

- Przywiozłeś notatki, których nie możesz zrozumieć? Zapomniałeś zadać najważniejsze pytania?

- Tak.

- Kiedy jedziesz z powrotem?

Kiepski żart. A jednak w sześć miesięcy później wróciłem do kraju Dowayów.

.. . / ..

Dotychczas w serii ukazały się:

Spis treści

Dlaczego by nie?	7
Pełna gotowość	15
W góry.....	21
Honi soit qui Malinowski.	31
Zaprowadźcie mnie do waszego wodza	41 "
Czy niebo jest dla ciebie czyste?	57
"Kamerunie, kolebko naszych ojców"	77 ;
Dno.....	
Ex Africa semper quid złego	130
Obrzędy i urzędy	137
Mokre i suche	162
Pierwsze i ostatnie owoce	185
Obcy swój	203

Jan Długosz KOMIN POKUTMKÓW

Teresa Hołówka DELICJE CIOTKI DEE

Farley Mowat NIE TAKI STRASZNY WILK

Farley Mowat ZWARIOWANA ŁÓDKA

Tadeusz Perkitny ORRAŻMY ŚWIAT RAZ JESZCZE

Andrzej Wilczkowski KAŻDEMU WEDŁUG MARZEŃ

Robyn Davidson NA ZACHÓD OD ALICE SPRINGS

Alan Rabinowitz JAGUAR

Thor Heyerdahl WYPRAWA KON-TIKI

Peter Mayle ROK W PROWANSJI

Michael Asher PUSTYNNNA MIŁOŚĆ

Marcin Kydryński CHWILA PRZED ZMIERZCHEM

Mike Stroud CIENIE NA PUSTKOWIU

Jim Lovell, Jeffrey Kluger APOLLO 13. UTRACONY KSIEŻYC

John Roskelley OPOWIEŚCI ZE ŚCIANY

Redmond O'Hanlon W SERCU BORNEO

Farley Mowat WIRUNGA

Joe Kane Z NURTEM AMAZONKI

SERIA PODRÓINICZA

MARCII`I KYDRYI`ISKI

CHWILA PRZED ZMIERZCI~IEM

Zapis afrykańskiej podróży. Refleksyjna, a zarazem

anegdotyczna proza unosi czytelnika niczym ż ~"

rzeki.

y ~,~.:~..

Jest taki gest, który często można spostrzec w tych stronach:; Gest palców jednej dłoni: spotykają się, jak płatki kwiatu, zwrócone koniuszkami w stronę twarzy gestykulującego. Ten znak mówi: poczekaj, nie spiesz się. Odpręż swoje ciało i zapanuj nad`nerwami. Nic nie jest tak ważne i nie cierpiące zwinki, jak się z początku wydaje. Myślę, że filozofia tego znaku rodzi się z piękna afrykańskiego krajobrazu. Z urody pustyni i pysznej grzywy dżungli. W bezruchu, w obserwacji mijającego czasu tkwi część prawdy o Afryce. Bycie jest często jedynym zajęciem jej mieszkańców. Na kontemplacji swego fachu spędzają tedy kolejne fazy drogi słońca. Trudno mieć o to pretensje. Ludzie, którzy żyją patrząc na czas, na wędrówkę piasku, na ogromniejącą nad Nilem w porze deszczu

zielen, na malachitowy chłód oceanu, wydają się tym żywić. Sprawiają wrażenie szczęśliwych.

SERIA PODRÓŻNICZA

FARLEY MOWAT

WIRUI~GA

Biografia Dian Fossey, która przez blisko dwadzieścia lat czuwała nad losem goryli górskich, zamieszkujących zbocza wulkanów w Zairze i Ruandzie. Przygotowywała się do ostatecznej obrony. W połowie sierpnia napisała kilka listów do przyjaciół, wszystkie w podobnym duchu:

"Przedmiotem całej tej rozgrywki są grupy goryli przyzwyczajone do widoku ludzi, wyszkoleni afrykańscy pracownicy i siedem umeblowanych chat. Nie mogę wyrwać goryli z rąk tych, którzy chcą je przeznaczyć dla turystów, za to moi Afrykanie mówią, że odejdą, jeśli zostaną stąd odesłana. Mam teraz kilka dużych kanistrów z naftą i mnóstwo zapalek. Moi pracownicy są przestraszeni - co jest niesprawiedliwe, gdyż to bardzo porządni ludzie - ale mówią, że mi pomogą, jeśli będę musiała spalić wszystkie siedem chat razem z ich zawartością. Ta groźba jest prawdopodobnie jedynym sposobem na ocalenie wyników pracy całego mojego życia".

SLRIA PODRÓŻNICZA